WYKLĘCI W GOTOWOŚCI
Jak podziemie szykowało się do kolejnej wojny

ZŁOTO DECEBALA
Bogactwo króla Daków przeszło do legendy

AMERYKAŃSKI SEN STALINA
USA pomogły Sowietom zbudować potęgę przemysłową

NR 4(134)/2024 KWIECIEŃ 2024

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Supertajny plan ataku na ZSRS

WOJNA ŚWIATOWA O POLSKĘ

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA WIOLETTA SAWICKA: „WILCZE DZIECI"

Dziecko wobec wojny jest zawsze ofiarą, niezależnie po której stronie frontu się urodziło.

Historie i świadectwa „wilczych dzieci", czyli wojennych sierot z obecnych terenów Warmii i Mazur oraz obwodu kaliningradzkiego, które jeszcze długo po 1945 roku ukrywały się w lasach.

Upadek Trzeciej Rzeszy rozpoczął się z chwilą wkroczenia Armii Czerwonej do Prus Wschodnich, pierwszego terytorium Rzeszy, do którego dotarli sowieccy żołnierze. Rosjanie wystawili Niemcom bardzo wysoki rachunek za zbrodnie popełnione przez nazistów na froncie wschodnim. Bojowy szlak czerwonoarmistów znaczyły stosy bestialsko pomordowanych bezbronnych ludzi, masowe gwałty, grabieże, pożary i powszechna dewastacja mienia. Nikt nie był bezpieczny od żądnych zemsty sowieckich zdobywców. Śmiertelne żniwo wśród ludności cywilnej zbierał też przeraźliwy głód. Gdy umierały matki, dzieci, często kilkuletnie, zostawały same.

Według różnych źródeł w lasach i ruinach tych terenów ukrywało się około dziesięciu tysięcy sierot. Niektóre źródła podają, że nawet dwadzieścia tysięcy. By zdobyć cokolwiek do jedzenia, przemierzały pieszo wiele kilometrów. Przekradały się też na Litwę, gdzie żebrząc o żywność, miesiącami, czasem latami, tułały się od wioski do wioski. Kilka dekad później nazwano je wilczymi dziećmi.

Ktoś mógłby rzec - co to za nazwa! Ale czyż nie jesteśmy trochę, jak wilki? Razem z wilkami spędzaliśmy czas w lasach - mówi jedno z byłych „wilcząt". To jest prawdziwa opowieść o nich.

155 zł

oszczędność 42 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 1b6002f8cf

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI ORLE PIÓRO:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Kraków, październik 1935 r.

Uroczystości otrzęsinowe na dziedzińcu Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Włoczyk

Wojna nie do pomyślenia

Gdy zachód Europy świętował w maju 1945 r. zwycięstwo nad III Rzeszą, Polacy nie mieli większych powodów do radości. Owszem, brunatny, niemiecki wróg, który zmierzał do kompletnego zniszczenia polskości, został rozgromiony, ale jedna okupacja zastąpiona została drugą, sowiecką. Wielu naszym rodakom wydawało się jednak, że jest to tylko przejściowa sytuacja. Sojusz Brytyjczyków, Amerykanów i Sowietów musi się rozpaść, skoro pokonany został wspólny wróg – rozumowali Polacy. Jak doskonale wiemy, mimo rozpadu sojuszu tak wyczekiwana w Polsce wojna Zachodu ze Wschodem nie stała się faktem. A jednak w momencie, gdy Zachód cieszył się z upadku Berlina, a Polacy z ogromnym niepokojem obserwowali instalowanie się w kraju komunistycznych porządków, zespół najbardziej doświadczonych brytyjskich planistów realizował supertajne zlecenie Winstona Churchilla.

Premier Wielkiej Brytanii chciał się dowiedzieć, czy możliwe jest wyrzucenie Armii Czerwonej z Europy Środkowo-Wschodniej. Nie chodziło mu jedynie o pomoc uciśnionym Polakom. Churchill doskonale rozumiał, że Stalin będzie napierał na zachodnią Europę. Planowana operacja miała pokazać Sowietom, że ich miejsce jest daleko na wschodzie. W wojnie z ZSRS mieli oczywiście wziąć udział Amerykanie – byliby tu absolutnie kluczowi – a także żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz… Niemcy. Ci ostatni również byliby świetnie zmotywowani, by wziąć udział w operacji „Unthinkable" („Nie do pomyślenia"), bo o niej mowa.

W tym numerze nie tylko analizujemy plany Churchilla (i wszystkie wiążące się z wojną z ZSRS gigantyczne problemy), lecz także przyglądamy się temu, jak polskie podziemie szykowało się na wybuch trzeciej wojny światowej. Widać bowiem wyraźnie, że Żołnierze Wyklęci nie byli samobójcami – polskie podziemie wiedziało, że Polskę wyzwolić nie może samo, lecz tylko w ramach czegoś na kształt operacji „Unthinkable". ©℗

eprasa.pl 1b6002f8cf

/ TEMAT NUMERU

.6 PIOTR WŁOCZYK
Trzecia wojna o Polskę

.10 TOMASZ ŁABUSZEWSKI
Czekając na aliantów

.13 TOMASZ STAŃCZYK
„Pogoń" przeciw Sowietom

/ CZASY I LUDZIE

.16 LESZEK LUBICKI
Oczy Skarbimira

.21 PIOTR TYLUS
Ciemność oświecenia

.24 JAKUB OSTROMĘCKI
Biała odwaga, bruntatna zdrada

.28 ANNA SZCZEPAŃSKA
Odyseja Wielkiego Treku

.32 MIKOŁAJ IWANOW
Amerykański sen Stalina

.36 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Chwała i hańba greckich partyzantów

.40 TOMASZ STAŃCZYK
Pokreślona historia

.42 PIOTR SEMKA
Morski diabeł z Niderlandów

.46 ŁUKASZ CZARNECKI
Kryptonim Fugu

.50 SŁAWOMIR KOPER
Przekleństwo Medyceuszy

eprasa.pl 1b6002f8cf

.54 MAREK GAŁĘZOWSKI
Jadę z Kozielska przez Smoleńsk w nieznane

.58 DAMIAN KAROL MARKOWSKI
Brunatny car Hitlera

/ CO CZYTAĆ

.62 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Gdzie leży prawda Łysiaka

.66 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Prawdziwe „Psy wojny”

.71 PIOTR SEMKA
Nad grobem Gustáva Husáka

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Złoto Decebala

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Kozak w czajce z samopałem

/ TECHNIKA

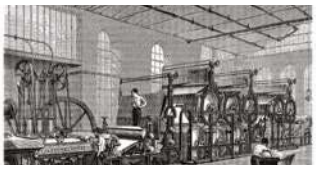

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Koła zębate powieści

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Tragedia wioski Al-Bassa

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Pierwsza kobieta generał

REKLAMA

eprasa.pl 1b6002f8cf

Premier Winston Churchill podczas wizytacji w jednostce wojskowej, 1942 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/WILLIAM HORTON

1945 r. / Operacja „Unthinkable”

Trzecia wojna o Polskę

Piotr Włoczyk

Winston Churchill planował wiosną 1945 r. przeprowadzenie ataku wyprzedzającego na Armię Czerwoną. Uderzenie z Zachodu miało być pokazem siły i determinacji Londynu i Waszyngtonu

Amerykańskie shermany i dużo potężniejsze pershingi zajmowały swoje pozycje na lewej flance. Brytyjskie czołgi pędziły już w kierunku prawej flanki. Wszystko wskazywało na to, że Sowieci zagapili się i uda się ich oskrzydlić. Zachodnie dywizje pancerne były mniej liczne, ale niebo nad Piłą w pełni kontrolowały amerykańskie i brytyjskie myśliwce, polując na sowieckie czołgi. Tych było istne mrowie i ciężko było na nie nie trafić. Zaczynała się największa bitwa pancerna w historii. Starcie, przy którym zmagania czołgów na łuku kurskim były zaledwie potyczką. Brytyjczycy i Amerykanie chcieli pod Piłą rozstrzygnąć przyszłość Europy Środkowo-Wschodniej, odrzucając daleko na wschód Armię Czerwoną. Równolegle na wybrzeżu Bałtyku trwał desant – Sowieci musieli rzucić w tamtym kierunku znaczną część swoich sił.

Tak wyglądać miał kulminacyjny moment operacji „Unthinkable” (ang. Nie do pomyślenia), do której miało dojść latem 1945 r. Operacji, która – w zamierzeniach Winstona Churchilla – miała zmienić układ sił na kontynencie. Churchill rozumiał bowiem doskonale, że zajęcie Europy Środkowo-Wschodniej nie zadowoli Stalina. Planowana wojna z Sowietami miała być więc w istocie uderzeniem wyprzedzającym.

Absolutna tajemnica

„Jaka będzie nasza pozycja w tym roku czy za kilka lat, jeśli armia brytyjska i amerykańska stopnieje, a francuska nie będzie jeszcze dostatecznie sformowana, jeśli dysponujemy zaledwie garstką dywizji, podczas gdy Rosjanie utrzymują być może dwieście lub trzysta dywizji

eprasa.pl 1b6002f8cf

RYS. MARZENA WŁOCZYK

w pełnej gotowości?" – pisał Churchill do Trumana 12 maja 1945 r. Gdy nowy amerykański prezydent czytał te słowa, brytyjscy planiści – działający w bardzo wąskim gronie – głowili się właśnie nad przygotowaniem szczegółów operacji, o której myślał ich premier.

– Szefowie sztabów zapoznali się z koncepcją operacji „Unthinkable" pod koniec maja. Przygotowanie planu ataku na Armię Czerwoną musiało zająć ok. czterech tygodni, stąd można podejrzewać, że Churchill pod koniec kwietnia postanowił stworzyć koncepcję wojny z Sowietami. Miała ona wybuchnąć 1 lipca 1945 r. – powiedział w rozmowie z „Historią Do Rzeczy" Jonathan Walker, brytyjski historyk wojskowości, autor książki „Trzecia wojna światowa. Tajny plan wyrwania Polski z rąk Stalina", który jako pierwszy badacz szczegółowo opisał założenia operacji „Unthinkable".

Przygotowanie zarysu wojny z Sowietami zostało zlecone trzem doświadczonym oficerom z Połączonego Sztabu Planowania (PSP). Każdy odpowiadał za swoją „działkę": wojska lądowe, marynarkę wojenną i lotnictwo.

– Plan operacji „Unthinkable" powstawał w absolutnej tajemnicy. Trzej oficerowie z PSP mieli do pomocy jedynie trzech asystentów. Krąg wtajemniczonych kończył się na marszałku polnym Bernardzie Montgomerym, którego premier poinstruował, by zabezpieczył niemiecką broń na wypadek kolejnej wojny. Większość dokumentacji związanej z operacją „Unthinkable" upubliczniono w 1998 r., ale do dziś tajne pozostają bardzo szczegółowe mapy planowanego ataku na Sowietów – podkreśla Walker.

Co ciekawe, Sowieci przechwycili depeszę Churchilla wysłaną do „Monty'ego", w której premier polecił mu zabezpieczyć niemiecką broń. W odpowiedzi Stalin kazał marszałkowi Gieorgijowi Żukowowi postawić sprawę na ostrzu noża w trakcie obrad Sojuszniczej Rady Kontroli. Brytyjski marszałek stanowczo zaprzeczył, że chodzi o plan rozpoczęcia kolejnej wojny, ale Sowieci wiedzieli swoje.

Jednym z głównych celów operacji „Unthinkable" miało być według Churchilla „narzucenie Rosji woli Stanów Zjednoczonych i Imperium Brytyjskiego w sprawie zapewnienia uczciwych warunków dla Polski". Ale nie był to jedyny cel.

– Przyszłość Polski była ważną kwestią, ale chodziło też o to, by przekonać Stalina, że Zachód nie da sobą pomiatać. Operacja „Unthinkable" miała być pokazem siły. W tamtym okresie szef brytyjskiego rządu bał się, że Stalin będzie chciał się wedrzeć dalej na zachód. To miała być wojna wyprzedzająca, dzięki której wschodnie Niemcy i duży obszar Polski miały zostać wyrwane ZSRS. W ten sposób brytyjski premier chciał odeprzeć komunistyczne zagrożenie od zachodniej Europy – tłumaczy Jonathan Walker. – Pod koniec 1944 r. Churchill wciąż uważał, że możliwy jest dialog ze Stalinem i uda się włączyć do nowego polskiego rządu siły demokratyczne. Brytyjski premier jeszcze w Jałcie mógł mieć nadzieję, że będzie można osiągnąć taki układ, jednak wiosną 1945 r. ostatecznie pozbył się złudzeń co do intencji Stalina. Momentem przełomowym był marzec 1945 r., gdy rumuński premier Nicolae Rădescu został odsunięty od władzy przez komunistów. Churchill zdał sobie sprawę, że to samo będzie się działo w innych krajach tego regionu i trzeba będzie siłą powstrzymać zapędy Stalina.

20:36

Operacja „Unthinkable" miała dwa warianty: „szybki sukces" i „wojna totalna". Planiści z PSP zakładali, że oba są równie prawdopodobne.

– Pierwotny plan zakładał przedarcie się przez wschodnie Niemcy i odrzucenie Armii Czerwonej poza linię łączącą Gdańsk z Wrocławiem. To nie wygląda może zbyt ambitnie, ale planiści bali się sił sowieckich stacjonujących na terenie Czechosłowacji. W przypadku pogłębiania ofensywy w głąb Polski uderzenie z południa mogło odciąć wojska alianckie. Północna flanka natarcia miała być już jednak dużo silniejsza. Na wybrzeżu Bałtyku miało dojść do serii desantów wspieranych przez Royal Navy – tłumaczy Jonathan Walker. – Przed linią Gdańsk – Wrocław miała zostać zgnieciona potęga sowieckich sił pancernych. Zakładano, że Stalin będzie parł do starcia wojsk pancernych, w związku z czym alianci nie byliby wciągani przez Armię Czerwoną coraz to dalej na wschód, jak to miało miejsce w przypadku Niemców. Planiści oceniali, że w okolicach Piły dojdzie do ogromnej bitwy pancernej – o wiele większej od starcia na łuku kurskim. Zakładano, że alianci będą mieli do dyspozycji minimum 20 dywizji pancernych wobec 36 dywizji sowieckich. Po rozbiciu sił sowieckich

eprasa.pl 1b6002f8cf

Żołnierze amerykański i sowiecki. W kwietniu 1945 r. jeszcze sojusznicy...

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WILLIAM E. POULSON

wojska amerykańsko-brytyjskie miały utrzymać tę linię, co miało zmusić Stalina do przemyślenia planu zdominowania Europy Wschodniej.

Tak wyglądał pierwszy wariant – szybkie zwycięstwo w walnej bitwie. Drugi wariant zakładał już jednak wciągnięcie aliantów zachodnich dużo głębiej na wschód, w przypadku braku jednoznacznego rozstrzygnięcia na zachodzie Polski. Oznaczałoby to faktyczną wojnę totalną z Sowietami – wojnę na wyniszczenie.

Brytyjscy planiści rozumieli, że już samo osiągnięcie linii Gdańsk – Wrocław będzie zadaniem niezwykle trudnym. Jak bowiem szacowali oficerowie z PSP, Armia Czerwona przeważała nad aliantami w stosunku 4:1 w piechocie i 2:1 w czołgach. Znacząca przewaga aliantów w powietrzu i na morzu kompensowała do pewnego stopnia te dysproporcje, ale jednak finalny stosunek sił między aliantami zachodnimi a ZSRS sprawiał, że rozpoczęcie wojny prewencyjnej z Sowietami zostało uznane jednak za zbyt ryzykowne. Ostatecznie operację „Unthinkable" pogrzebała opinia szefów sztabów, która 8 czerwca 1945 r. wylądowała na biurku Churchilla.

– Stwierdzili oni, że w związku z olbrzymią przewagą Armii Czerwonej w przypadku realizacji tego planu alianci zostaliby zgnieceni. Sir Alan Brooke, przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów, stwierdził, że ten plan to czysta fantazja – mówi autor „Trzeciej wojny światowej…". –Brytyjczycy nawet nie konsultowali się w tej sprawie z Amerykanami. Churchill nie chciał wtajemniczać w to Waszyngtonu do czasu, aż szefowie sztabów wyrażą w tej sprawie swoją opinię.

Rola Amerykanów byłaby oczywiście absolutnie kluczowa w wojnie z ZSRS. Churchill doskonale rozumiał, jak trudne pod względem politycznym byłoby skierowanie ostrza USA przeciw Stalinowi, który cały czas nazywany był przez amerykańskie gazety „Wujaszkiem Joe". Wizerunek Związku Sowieckiego wciąż był, niestety, zbyt pozytywny w oczach przeciętnego obywatela USA, co było dziełem amerykańskiej propagandy wojennej, sławiącej męstwo i ofiarność żołnierzy Armii Czerwonej. Bardzo trudno byłoby odwrócić tę narrację o 180 stopni w ciągu zaledwie kilku tygodni po zakończeniu wojny z Niemcami, a przecież czas odgrywał tu kluczowe znaczenie.

– Amerykanie nie mieli jeszcze wtedy [późną wiosną 1945 r. – przyp. red.] gotowej bomby atomowej, więc sądzili, że wojna na Pacyfiku przeciągnie się do 1946 r. Ponadto obawiano się, że w przypadku ataku aliantów pierwszą rzeczą, którą zrobiłby Stalin, byłoby zawarcie sojuszu z Japonią. Byłby to wielki problem dla Amerykanów. Taki wariant zmieniłby układ sił na Dalekim Wschodzie. Amerykanie musieliby zrewidować plany inwazji na Wyspy Japońskie. Waszyngton w tamtym okresie – tuż po upadku Berlina – przerzucał powoli swoje jednostki z Europy na Pacyfik. Churchill bał się, że Stalin, widząc powstającą próżnię, postanowi uderzyć na zachodnią Europę. Brytyjski premier obawiał się ponadto konieczności demobilizacji własnego wojska – dlatego zdawał sobie sprawę, że operacja „Unthinkable" mogłaby zostać zrealizowana jedynie tuż po zakończeniu walk z Niemcami – podkreśla brytyjski historyk.

„Dobry" Wehrmacht

Osobnym problemem była konieczność sięgnięcia po dywizje niemieckie. Alianci zachodni mieli zbyt mało żołnierzy w Europie, więc przewidywano wykorzystanie co najmniej 10 dywizji Wehrmachtu. Lecz trudno byłoby przekonać żołnierzy amerykańskich i brytyjskich do konieczności walki ramię w ramię z dotychczasowym śmiertelnym wrogiem. Jeszcze trudniejsze (o ile w ogóle możliwe) byłoby przekonanie do tego samego Polaków. A przecież udział naszych rodaków w wojnie prewencyjnej przeciw Sowietom byłby nieodzowny.

– Mowa była o użyciu czterech dywizji. 2. Korpus Polski gen. Władysława Andersa stacjonował wówczas w północnych Włoszech. Jego żołnierze zajęliby – najprawdopodobniej – pozycje na południowej flance uderzenia. W przeciwieństwie do demobilizowanych stopniowo po zakończeniu walk z Niemcami wojsk amerykańskich i brytyjskich polskie siły rosły z każdym tygodniem, ponieważ ich szeregi zasilali zwalniani z niewoli żołnierze siłą wcielani do Wehrmachtu. Ci ludzie z utęsknieniem czekali na wybuch trzeciej wojny światowej, więc planiści z PSP nie musieli się martwić o ich morale – podkreśla Jonathan Walker.

Ważna rola w operacji „Unthinkable" miała też przypaść polskiemu podziemiu niepodległościowemu działającemu na zapleczu Armii Czerwonej.

– Pomocne w ofensywie miało być sabotowanie sowieckich tyłów na terenie byłego Generalnego Gubernatorstwa. Żołnierze ci stanowiliby poważne wzmocnienie, gdyby alianci musieli wejść głębiej na terytorium Polski. W zachodniej części kraju, która została przejęta od III Rzeszy, polski ruch oporu był bardzo słaby, więc alianci mogli liczyć na większe wsparcie dopiero w przypadku ewentualnego dalszego marszu na wschód – mówił historyk.

Kolejnym słabym punktem planu było zaskoczenie. A właściwie jego brak.

– Trudno sobie wyobrazić, aby przy tak masowych ruchach jednostek można

eprasa.pl 1b6002f8cf

było zaskoczyć Stalina. Weźmy choćby 2. Korpus Polski, który musiałby zostać przetransportowany z północnych Włoch do Niemiec. Nie sposób byłoby ukryć takiego ruchu przed czujnym wzrokiem sowieckiego wywiadu – mówił Walker. – Planiści nie uwzględnili jeszcze jednej poważnej przeszkody – w tamtym okresie miliony Europejczyków tułało się po drogach. To z pewnością utrudniłoby sprawny przerzut wojsk i marsz w kierunku Polski. Byłby to jeden wielki chaos.

Churchill zlecił przygotowanie operacji „Unthinkable" tuż po śmierci Roosevelta. Jego następca od początku wydawał się politykiem znacznie bardziej skory do hamowania agresywnych zapędów sowieckiego dyktatora. Rzeczywistość amerykańskiego systemu władzy była jednak dużo bardziej skomplikowana.

– Objęcie prezydentury przez Trumana pobudziło Churchilla do działania. Brytyjskiemu premierowi wydawało się wtedy, że wreszcie w Białym Domu pojawił się człowiek, z którym będzie mógł się postawić Stalinowi. Churchill jednak nie rozumiał, że amerykański Departament Stanu nie zmienił się ani o jotę. Nikt specjalnie nie interesował się tam losem krajów Europy Wschodniej. Poza tym Waszyngton wciąż obawiał się, że Wielka Brytania chce rozbudowywać swoje imperium. Departamentowi Stanu nie było wówczas na rękę nic, co wzmacniałoby wpływy Brytyjczyków. Sam początek prezydentury Trumana sprawiał wrażenie, że nowy prezydent rzeczywiście będzie bardziej stanowczy w stosunku do Stalina, ale – za sprawą doradców z Departamentu Stanu – następca Roosevelta szybko złagodził swój ton w relacjach z Kremlem – mówi autor „Trzeciej wojny światowej…".

Gdy okazało się, że wojna prewencyjna przeciw ZSRS absolutnie nie wchodzi w grę, Churchill poprosił swoich planistów o nakreślenie zupełnie innego planu – obronnego. Dokument, który trafił na jego biurko, mroził krew w żyłach. Oficerowie z PSP doszli do wniosku, że wraz z dalszym redukowaniem obecności Amerykanów na kontynencie w przypadku ataku Stalina nie tylko nie udałoby się obronić Europy Zachodniej, lecz także sama Wielka Brytania mogłaby paść pod gradem rakiet wystrzeliwanych przez Sowietów z Belgii i Holandii – wiadomo było bowiem, że ZSRS przejął od Niemców technologię budowy rakiet.

Atomowe plany

Wiadomość o pierwszej udanej eksplozji bomby atomowej przywróciła Churchillowi wiarę w możliwość szybkiego pokonania Sowietów i odepchnięcia ich daleko na wschód bez konieczności wikłania się w wyniszczającą obie strony wojnę totalną. Skoro Amerykanie mieli bombę atomową, a Sowieci przez co najmniej kilka lat nie byliby w stanie zdobyć tej broni, to dlaczego alianci zachodni nie mieliby tego wykorzystać?

– W amerykańskim wojsku słychać było głosy, że to okno możliwości w końcu się zamknie i jeżeli Ameryka miałaby walczyć z Sowietami, to właśnie teraz jest najlepszy ku temu czas. Jednak w Białym Domu nie było to brane na poważnie – powiedział w rozmowie z „HDR" prof. David Holloway, amerykański sowietolog, autor książki „Stalin i Bomba". – Pamiętajmy, że nawet w czasie wojny koreańskiej Truman był przeciwny używaniu bomb atomowych, mimo że Sowieci mieli ich wówczas bardzo niewiele – nie mogli się równać na tym polu z USA – i nie byli w stanie realnie zagrozić Ameryce. W 1949 r. powstał amerykański raport, który stwierdzał, że same bomby atomowe nie pozwolą na wygranie wojny z ZSRS. Amerykanie liczyli się z tym, ZSRS mimo ciosów nuklearnych mógłby wyprzeć wojska USA z Europy swoimi gigantycznymi siłami konwencjonalnymi. To byłaby powtórka z drugiej wojny światowej, ale tym razem powrót na kontynent byłby jeszcze trudniejszy. Sowieci z kolei pod koniec lat 40. szacowali, że naloty strategiczne na Niemcy były równe detonacji ok. 300 bomb atomowych z Hiroszimy. Kierownictwo kremlowskie wychodziło z założenia, że będzie w stanie przetrwać tego rodzaju uderzenie.

JONATHAN WALKER
„TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA. TAJNY PLAN WYRWANIA POLSKI Z RĄK STALINA"
HORYZONT ZNAK

Jak widać, nawet dodanie do planów wojny z Sowietami potencjału atomowego (przy braku zagrożenia uderzenia odwetowego) niespecjalnie zmieniało rachuby odnośnie do wyniku takiego starcia na linii Zachód – Wschód.

O możliwości wybuchu kolejnej wielkiej wojny pisał też prof. Norman Davies w swoim „Szlaku nadziei": „Perspektywa wybuchu III wojny światowej, a co za tym idzie – wznowienia walki o niepodległość Polski, wisiała w powietrzu przez kilka lat po roku 1945 [...]. Armia Polska w Wielkiej Brytanii nie została nigdy w pełni zdemobilizowana. Biuro Historyczne pod kierownictwem gen. Kukiela (w czasie wojny Ministerstwo Obrony) było trzonem zakamuflowanego sztabu generalnego, a zaplecze kadrowe stanowiły Koła Oddziałowe, których liczebność można było w razie potrzeby szybko zwiększyć. W tym samym czasie rezerwistów szkoliło Brygadowe Koło Młodych »Pogoń«, organizacja stworzona przez ppłk. Zygmunta Czarneckiego (1900–1989) [...]. Po roku 1949, gdy ZSRS miał już bombę atomową, sytuacja się zmieniła i nikt przy zdrowych zmysłach nie zaplanowałby konwencjonalnego ataku na państwa bloku wschodniego. W czasie zimnej wojny, która się wtedy rozpoczęła, było jasne, że wymiana nuklearnych ciosów między Wschodem a Zachodem może Polskę zniszczyć. Jedynym elementem, który pozostał aktywny, był tzw. polski łącznik, polegający na ścisłej współpracy oficerów dawnej »Dwójki« z brytyjskim wywiadem".

Wszystko to pokazuje, że w tamtym czasie nic nie było w stanie wyrwać Polski ze szponów Stalina. Nawet trwające kilka lat atomowe „okno możliwości" nie dawało realnych szans na wypchnięcie Sowietów z Europy Środkowo-Wschodniej. A jednak lektura planów operacji „Unthinkable" stawia Churchilla w nieco innym świetle, jeżeli chodzi o jego stosunek do Polski.

– Nie jest jasne, czy nazwę tę wymyślili Churchill czy Brooke. Możemy jednak śmiało podejrzewać, że „Unthinkable" było pomysłem Alana Brooke'a. Gdyby to Churchill miał wymyślić nazwę dla planu ataku na armie Związku Sowieckiego, to rozmawialibyśmy teraz zapewne o operacji „Thinkable" („Do pomyślenia") – kwituje Jonathan Walker.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

Żołnierze oddziału WiN, 1947 r. Drugi od lewej: Edward Taraszkiewicz „Żelazny"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ARCHIWUM „SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ"

Wywiad / Z dr. Tomaszem Łabuszewskim, historykiem z IPN

rozmawia Piotr Włoczyk

Czekając na aliantów

– Polacy mieli przystąpić do walki, gdy na wschód będą zmierzały alianckie jednostki – mówi dr Tomasz Łabuszewski

PIOTR WŁOCZYK: Jak wielu Żołnierzy Wyklętych czekało tuż po pokonaniu Niemiec na wybuch kolejnej wojny, tym razem między aliantami zachodnimi a ZSRS?

DR TOMASZ ŁABUSZEWSKI: Do utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, czyli do 28 czerwca 1945 r., bardzo powszechne było przekonanie o tym, że rządy komunistów w Polsce są zjawiskiem tymczasowym. Żołnierze i działacze polskiego podziemia niepodległościowego oczekiwali, że alianci zachodni już niedługo zwrócą się przeciw Związkowi Sowieckiemu. Świadczą o tym nie tylko wielość inicjatyw antykomunistycznych, które pojawiły się wiosną 1945 r. w różnych częściach Polski, lecz także masowa dezercja z szeregów ludowego Wojska Polskiego, Milicji Obywatelskiej i tych struktur siłowych, które miały zapewnić komunistom władzę.

Czyli ten olbrzymi opór, który z dzisiejszej perspektywy wydaje się czymś kompletnie nieracjonalnym wobec tak ogromnej dysproporcji sił, miał jednak swoje racjonalne podstawy – pod-

eprasa.pl 1b6002f8cf

Stanisław Sojczyński „Warszyc" FOT. COMMONS WIKIMEDIA/IPN

ziemie niepodległościowe wcale nie zamierzało samotnie rzucać się na Sowietów.

Oczywiście. Podziemie zdawało sobie w pełni sprawę z tego, że Armia Czerwona jest potężna. Tu nie było miejsca na fantazjowanie, że damy sobie z nią radę w pojedynkę. Polacy mieli przystąpić do walki z krasnoarmiejcami, gdy na wschód będą zmierzały alianckie jednostki.

Na jaką pomoc mogliby liczyć alianci zachodni, gdyby jednak zdecydowali się w połowie 1945 r. uderzyć na Armię Czerwoną?

Latem 1945 r. w oddziałach partyzanckich służyło ok. 20 tys. żołnierzy i ok. 200 tys. osób czynnie uczestniczyło w konspiracji na innych polach.

Co konkretnie oznacza ta druga kategoria konspiratorów?

Byli to członkowie siatek terenowych, którzy w przypadku mobilizacji mogliby dołączyć do oddziałów leśnych. Ludzie ci na początku nie zostali zdekonspirowani w wyniku akcji „Burza", nie rozszyfrował ich komunistyczny aparat bezpieczeństwa i w związku z tym mogli wciąż spokojnie mieszkać we własnych domach. Członkowie siatek terenowych odgrywali niezwykle istotne role w pionach logistycznych, w wywiadzie, kwatermistrzostwie, łączności i propagandzie. Musimy pamiętać, że Żołnierze Wyklęci to nie tylko członkowie zbrojnych oddziałów podziemia, lecz także właśnie tacy ludzie, którzy pracowali na zapleczu.

Jeżeli spojrzymy całościowo na mapę konspiracji niepodległościowej, to widzimy dosyć duże zróżnicowanie, jeżeli chodzi o koncepcje dalszego działania. Powodem były różne doświadczenia z ostatnich miesięcy.

Chodzi o przetaczający się front?

W okręgach znajdujących się na tzw. ścianie wschodniej obecnej Polski były nimi masowe represje sowieckie w 1944 r., które miały na celu złamanie kręgosłupa bardzo silnych struktur AK-owskich na Białostocczyźnie i Lubelszczyźnie. Warto przypomnieć, że te okręgi AK straciły w ciągu zaledwie kilku miesięcy drugiej okupacji sowieckiej więcej ludzi niż w trakcie całej okupacji niemieckiej! W sposób naturalny więc miejscowi konspiratorzy, którzy ocaleli z tego pogromu, po tym, gdy ruszyła sowiecka ofensywa styczniowa 1945 r. i nacisk ze strony NKWD na podziemie przejściowo trochę zelżał, dążyli do odwetu.

Co innego działo się natomiast na terenach zajmowanych przez Armię Czerwoną w początkach 1945 r. Mimo rozwiązania Armii Krajowej 19 stycznia 1945 r. przez wiele kolejnych miesięcy trwało tam odbudowywanie struktur AK-owskich, np. w okręgach poznańskim i pomorskim. Mamy więc do czynienia z nierównomierną chronologią działań w poszczególnych strukturach AK-owskich wynikającą z różnych doświadczeń i różnego tempa przesuwania się linii frontu.

W momencie wydania „nieszczęsnego" rozkazu o rozwiązaniu AK okręgi znajdujące się od lata 1944 r. pod okupacją sowiecką były już od kilku miesięcy de facto konspiracją antykomunistyczną, podczas gdy okręgi zachodnie miały jeszcze w tej kwestii „czystą kartę". W ten sposób np. okręgi śląski i krakowski AK zdążyły się w części rozwiązać, zanim nastąpiły tam masowe aresztowania ze strony NKWD i UB. Sytuacja wyglądała więc inaczej na różnych terenach, ale elementem łączącym wszystkich polskich żołnierzy i konspiratorów było przeświadczenie, że komunistyczny zamach stanu należy przeczekać i co najwyżej w ciągu kilku miesięcy po zakończeniu wojny z Niemcami wybuchnie nowy konflikt. Wiara w gwarancje aliantów zachodnich była jeszcze wówczas bardzo duża. Do tego dochodziło jeszcze przekonanie, że silna armia polska na Zachodzie nie pozostanie w tej sytuacji bierna.

Ponad 200 tys. ludzi dezorganizujących sowieckie zaplecze w przypadku wojny aliantów zachodnich z ZSRS na pewno byłoby wielkim bólem głowy dla Stalina...

Potencjał polskiego podziemia niepodległościowego w momencie zakończenia wojny w Europie był niebagatelny, szczególnie jeżeli weźmiemy pod uwagę polskie straty poniesione w ciągu poprzednich lat. Możemy też śmiało zakładać, że w przypadku starcia na linii Zachód – Wschód szeregi polskiej konspiracji szybko by się powiększyły. I łatwo sobie też wyobrazić, że żołnierze ludowego Wojska Polskiego, mając do wyboru walkę z biorącymi udział w ataku na ZSRS Polskimi Siłami Zbrojnymi przybyłymi z zachodu lub dezercję, w swojej masie wybraliby tę drugą opcję. Mamy przecież mnóstwo świadectw z 1945 r., pokazujących, że próby wykorzystywania tych oddziałów do pacyfikacji polskiego podziemia niepodległościowego kończyły się niepowodzeniem – zwykli żołnierze nie chcieli brać udziału w takich operacjach. Nie bez przyczyny w szeregach ludowego WP było tak wielu POP-ów, czyli Pełniących Obowiązki Polaka – sowieckich oficerów pilnujących podległości tego wojska Stalinowi. Wyżsi rangą oficerowie, czyli albo agenci sowieccy, albo zwyczajni zdrajcy, jak np. Zygmunt Berling, na pewno walczyliby do końca po stronie sowieckiej, ale większość szeregowych przeszłaby na drugą stronę. Trudno się temu dziwić, kiedy prześledzi się losy tych prostych żołnierzy. Dywizja im. Tadeusza Kościuszki składała się przecież z ofiar deportacji sowieckich. Natomiast komunistyczna 2. Armia opierała się w większości na przymusowo wciągniętych do wojska mężczyznach z terenów Polski Wschodniej. Bez wątpienia nie stanowili oni wiernego zaplecza dla polskich władz komunistycznych.

Miło pomyśleć przez chwilę, że historia mogła się potoczyć inaczej, gdyby Churchill był w stanie zrealizować swój plan...

Liczby mówiły jednak same za siebie. Jak wyliczyli angielscy planiści „Operation Unthinkable", Sowieci mieli nad aliantami zachodnimi przewagę 4:1 w piechocie i 2:1 w siłach pancernych. I mimo że Winston Churchill dostrzegał zagrożenie ze strony Sowietów, którzy z powodzeniem mogli myśleć o opanowaniu reszty Europy, musiał działać realistycznie. Dodatkową komplikacją byłoby wykorzystanie w takiej operacji oddziałów niemieckich. Wspólna walka Polaków i Niemców w 1945 r. była kompletną abstrakcją.

Jakie siły Stalin przeznaczył do zduszenia oporu w Polsce?

Zaraz po zakończeniu działań wojennych na terenie Polski dyslokowane były oddziały 2. Frontu Białoruskiego w sile

eprasa.pl 1b6002f8cf

Żołnierze V Wileńskiej Brygady AK. Trzeci z lewej: Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" FOT. COMMONS WIKIMEDIA/IPN

ok. 500 tys. żołnierzy. Utworzono z nich Północną Grupę Wojsk Armii Sowieckiej. Był to fundament stabilizujący władzę komunistyczną w Polsce. Ale to nie wszystko. Więcej niż połowa wszystkich Wojsk Wewnętrznych NKWD, którymi Sowieci dysponowali w Europie, stacjonowała w Polsce. Mówimy tu o 30 tys. enkawudzistów z Dywizji Strzeleckich 62., 63. i 64., co pokazuje, jakim problemem był dla ZSRS nasz kraj.

Bez tych sił nie udałoby się skomunizować Polski?

Nie ma żadnych wątpliwości, że bez nich polscy komuniści nie sięgnęliby po władzę i nie utrzymaliby jej.

Wspomniał pan, że Polacy jeszcze w pierwszej połowie 1945 r. mogli uważać okupację sowiecką za tymczasową.

Wówczas jeszcze wydawało się, że okupacja Europy Środkowej przez Armię Czerwoną była czymś, czego alianci nie zaakceptują. I dlatego traktowano to jako sytuację tymczasową. Nawet układ jałtański zakładał przecież, że w Polsce odbędą się jak najszybciej wolne, pięcioprzymiotnikowe wybory do Sejmu. Nie było tam mowy o systemie jednopartyjnym i represjach komunistycznego aparatu bezpieczeństwa.

Wraz z pogłębianiem się przepaści między zapisami umów zawartych przez dotychczasowych sojuszników a rzeczywistością bardzo wielu Polaków uważało, że mocarstwa zachodnie nie będą tolerowały siłowego komunizowania Polski i będą interweniowały. Jak jednak wiemy, wariant taki nie wchodził wtedy w grę. Bardzo wiele złego zrobił Stanisław Mikołajczyk, który dał legitymizację komunistycznemu Tymczasowemu Rządowi Jedności Narodowej. Polityk ten wychodził bowiem z fałszywego założenia, że część umowy jałtańskiej dotycząca wolnych wyborów zostanie przez Stalina dotrzymana i tym samym uda się obronić demokrację w Polsce. Planował on, dostosowując się do reguł narzuconych przez bolszewików, stworzyć oficjalną przeciwwagę polityczną dla PPR i jej akolitów. Było to jednak założenie z gruntu nierealistyczne, wręcz skrajnie naiwne, ponieważ nie uwzględniało totalitarnego charakteru reżimu, który nie przejmował się umowami niebędącymi na rękę Stalinowi.

Kiedy polskie podziemie zaczęło tracić wiarę w pomoc aliantów zachodnich i – co za tym idzie – w sens oporu zbrojnego?

Według mnie widać tu w chronologii trzy wyraźne punkty. Pierwszy to właśnie wspomniane utworzenie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej (28 czerwca 1945 r.).

Drugim momentem było referendum przeprowadzone 30 czerwca 1946 r. z inicjatywy komunistów – po to tylko, by odwlec decydujące starcie wyborcze oraz przetestować w praktyce system manipulacji. To był bardzo poważny sygnał dla całego polskiego społeczeństwa, że pokazanie komunistom czerwonej kartki nie ma żadnego znaczenia i że dążąc do objęcia pełni władzy w Polsce, posuną się oni nawet do sfałszowania aktu woli całego społeczeństwa, czego nigdy wcześniej u nas nie było. To był ogromny szok, tym bardziej że strona niepodległościowa była w stanie w wielu regionach zdobyć prawdziwe wyniki referendum. Polacy wiedzieli więc, jak ogromna była skala fałszerstw.

Trzecim momentem były „wybory" do Sejmu Ustawodawczego, które miały odbyć się w 1945 r., a przeprowadzono je dopiero w styczniu 1947 r. Społeczeństwo otrzymało wówczas cios między oczy. Był to dla niego namacalny dowód nie tylko na to, że Polska straciła szanse na niepodległość, lecz także nawet na namiastkę rządów demokratycznych. Owe „wybory" pokazywały, że Sowieci i ich akolici są w stanie zrobić z Polską wszystko, a zachodni alianci nie zareagują, nie kiwną nawet palcem w naszej obronie. Był to dramatyczny moment dla znacznej części konspiratorów, nie tylko tych z Wolności i Niezawisłości (ta organizacja miała „doholować" społeczeństwo do wyborów), lecz także dla działaczy Narodowego Zjednoczenia Wojskowego czy różnych lokalnych inicjatyw konspiracji poakowskiej. Ludzie, którzy zaczynali swoją służbę w konspiracji na początku lat 40., byli już siłą rzeczy zmęczeni. Utrata perspektywy na zmianę była ostatecznym ciosem dla morale bardzo wielu z nich.

Co ewentualna realizacja „Operation Unthinkable" oznaczałaby dla Polski?

Jedno nie ulega wątpliwości – byłaby to dla Polaków kolejna hekatomba. Abstrahując od wyniku starcia między Zachodem a ZSRS, ponieważ walka toczyłaby się na terenie Polski, liczba ofiar wśród naszej ludności cywilnej byłaby ogromna. Sowieci zamieniliby wcześniej nasze miasta w twierdze i nie liczyliby się z ofiarami cywilnymi. Gdyby nawet przyjąć skrajnie optymistyczny wariant i Polska zostałaby w końcu oswobodzona, cena za to byłaby trudna do wyobrażenia. A trzeba pamiętać, że drugą wojnę światową kończyliśmy i tak z niebotycznymi stratami ludzkimi sięgającymi 11 mln (w tym 6 mln strat bezpowrotnych). Stawiało to nas – według wielu specjalistów, polityków i dowódców – na granicy bezpieczeństwa biologicznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Tomasz Łabuszewski
jest dyrektorem Oddziału IPN w Warszawie, znawcą historii polskiego podziemia.

eprasa.pl 1b6002f8cf

Członkowie Brygadowego Koła Młodych „Pogoń” na francuskim poligonie

FOT. „SOWINIEC” 2014, NR 44

1949–1985 / Brygadowe Koło Młodych „Pogoń”

„Pogoń” przeciw Sowietom

Tomasz Stańczyk

Podpułkownik Zygmunt Czarnecki przygotowywał kadry oficerskie dywizji, która miała walczyć o wyzwolenie Polski spod okupacji sowieckiej

„Być zwyciężonym i nie ulec – to zwycięstwo”. Słowa Józefa Piłsudskiego stały się drogowskazem dla ppłk. Zygmunta Czarneckiego. Rozwiązanie w 1947 r. Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie uznał on za „tragiczną demobilizację” i wydarcie żołnierzowi broni przed osiągnięciem celu, o który walczył – niepodległą Polskę. Powołanie przez niego Brygadowego Koła Młodych „Pogoń” było, jak pisał, jakby krzykiem: „Nas nie rozbroicie zupełnie”. Za oficjalną datę utworzenia „Pogoni” przyjął, nieprzypadkowo, dzień 3 maja 1949 r.

Dobiegający wówczas pięćdziesiątki Czarnecki, kawaler Virtuti Militari, był w przeszłości członkiem POW, w 1918 r. znalazł się w szeregach 1. pułku piechoty Legionów, później 1. dywizji piechoty Legionów. Skończył Wyższą Szkołę Wojenną i był jej wykładowcą W 1939 r. był szefem sztabu grupy operacyjnej gen. Kruszewskiego. Wzięty do niewoli znalazł się w sowieckim łagrze. Po odzyskaniu wolności wstąpił do armii Andersa, w II Korpusie był zastępcą dowódcy 6. Lwowskiej Brygady Piechoty. W przedwojennej opinii służbowej napisano o nim: „Pełen energii, rzutkości i zdrowej, rozumnej inicjatywy [...]. Bardzo dobry organizator i kierownik”.

Właściwa chwila

Statut BKM „Pogoń” stwierdzał, że Koło „prowadzi pracę wychowawczą i wyszkoleniową celem przygotowania godnych następców żołnierzy legionowych, aby, gdy przyjdzie chwila właściwa, rozwinąć się jak najszybciej w jednostkę bojową”.

Tą chwilą właściwą miał być wybuch trzeciej wojny światowej. Jednostka bojowa – jak pisano – „przyczyni się do odbudowy Polski w granicach Traktatu Ryskiego na wschodzie, na linii Odry i Nysy na zachodzie oraz do zabezpieczenia Jej Wolności, niepodległości i Suwerenności w oparciu o Związek Ludów Międzymorza, z Ukrainą i Białorusią włącznie”. Czarnecki, były żołnierz 1. Dywizji Piechoty Legionów, stacjonującej w Wilnie, marzył o zwycięskim boju o ulubione miasto Marszałka. Taki cel zawarł w statucie Brygadowego Koła Młodych.

Statut podkreślał, że kontynuuje ono tradycje czynu zbrojnego 1. Kompanii Kadrowej, legionowej I Brygady i 1. dywizji Piechoty Legionów. Znakiem BKM była „Pogoń” – wizerunek rycerza ścigającego wroga, „herb ziemi, o którą walczyć będziemy” – wpisana w odznakę „Za wierną służbę” I Brygady Legionów.

„My – Pogoń – możemy słusznie uważać się za 2-gą kadrową” – stwierdzał Czarnecki. Wybrał drogę Piłsudskiego. Nazwał się komendantem, tak samo jak on. I tak samo jak Piłsudski czekał na wojnę, przygotowując do niej młodzież.

Przed wybuchem pierwszej wojny światowej najbardziej patriotyczna młodzież wstępowała do Związku Strzeleckiego i Strzelca będących pod rozkazami komendanta Piłsudskiego, a także do innych organizacji paramilitarnych. Po zakończeniu drugiej wojny światowej

eprasa.pl 1b6002f8cf

z Brygadowym Kołem Młodych „Pogoń” związali się ci młodzi ludzie, którzy zamierzali kształcić się wojskowo, w oczekiwaniu na kolejną wielką wojnę. Musieli mieć przynajmniej 18 lat i rekomendację dwóch członków koła 1. Dywizji Piechoty Legionów, której autonomiczną częścią było BKM „Pogoń”.

Zygmunt Czarnecki zaproponował Janowi Ciechanowskiemu wstąpienie do Brygadowego Koła Młodych. „Długo się nie zastanawiałem” – mówił Ciechanowski, historyk, autor książki „Powstanie Warszawskie. Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego”, w rozmowie z Piotrem Zychowiczem na łamach „Rzeczpospolitej”. „Chcieliśmy być gotowi do walki o niepodległość” – mówił z kolei Janusz Krasnodębski, podczas wojny słuchacz szkoły kadetów w Palestynie.

„Byliśmy ideowo nastawieni. Liczyliśmy się z tym, że będzie wojna. Nie chcieliśmy, żeby stało się tak, że będzie wojna, a my w niej nie weźmiemy udziału. Pragnęliśmy być gotowi” – tak przedstawiał swoją motywację Jerzy Ostoja-Koźniewski, jeden z pierwszych, którzy przyszli do „Pogoni” (po latach pełnił funkcję ministra skarbu w ostatnim rządzie RP na uchodźstwie). Ostoja-Koźniewski miał wówczas, w 1949 r., 23 lata, a za sobą działalność w Armii Krajowej, udział w powstaniu warszawskim i służbę w II Korpusie.

Do „Pogoni” wciągnął go przyjaciel, Jerzy Jan Zaleski, podporucznik 1. dywizji pancernej gen. Stanisława Maczka. Zaleski, który był adiutantem Komendy Głównej, a później szefem sztabu „Pogoni”, w latach 70. i 80. pełnił funkcje ministra do spraw krajowych i ministra bez teki w rządzie RP na uchodźstwie. O płk. Czarneckim Zaleski wypowiadał się następująco: „Ciągle się kształcił, zdobywał regulaminy angielskie, amerykańskie. Pisał broszury i artykuły na tematy wojskowe”.

„Czarnecki był człowiekiem ideowym – stwierdzał Ostoja-Koźniewski. – Miał temperament wojskowego, watażki czy zagończyka, ale ambicje wodzowskie przerastały jego możliwości. Finansowo wspomagał go, a więc jego »Pogoń«, brat zajmujący się we Francji sprzedażą broni.

Inżynier Stefan Czarnecki, młodszy brat Zygmunta Czarneckiego, dorobił się znacznego majątku na sprzedaży broni podczas wojny domowej w Hiszpanii dla obu walczących stron”.

Podpułkownik Zygmunt Czarnecki

FOT. PISMO „POGOŃ”

Artyleria atomowa

Celem „Pogoni” było wykształcenie kadr oficerskich dla przyszłej dywizji lekkiej, która miała posiadać jednostki szturmowo-desantowe. „Będziemy uczyli się nowoczesnych sposobów walki, przede wszystkim działań szturmowych i transportu lotniczego” – zapewniał Czarnecki. Za własne – a raczej brata – pieniądze wynajmował samoloty i śmigłowce do ćwiczeń.

W księdze pamiątkowej „Pogoni”, przechowywanej w Instytucie Polskim i Muzeum im. Sikorskiego w Londynie, znajduje się schemat 1. dywizji lekkiej Legionów im. Piłsudskiego. Jej pierwszy rzut bojowy miał liczyć 12 tys. ludzi. Miała posiadać broń nuklearną, co było dość śmiałą fantazją Czarneckiego, gdyż w schemacie widnieje kompania artylerii atomowej.

„Kiedyś Czarnecki zwrócił się do mnie: »W pobliżu Londynu wybuchł pocisk z głowicą atomową. Co pan proponuje?«. Teraz, panie pułkowniku, daję rozkaz do modlitwy – odpowiedziałem – wspominał Jan Ciechanowski. – Było dużo śmiechu”.

„Szkoliliśmy się w mundurach polowych na polskich farmach w różnych rejonach Wielkiej Brytanii. A także na mapach plastycznych i strzelnicach w polskich instytucjach społecznych i naukowych. Byłem na kursie przyszłych dowódców batalionów” – wspominał Ostoja-Koźniewski. Latem 1953 r. odbyło się miesięczne szkolenie Szkoły Oficerskiej „Pogoni” na farmie South Park w hrabstwie Surrey, a także w podlondyńskich lasach. Wzięło w nim udział ok. 50 oficerów i uczniów. Ćwiczono dowodzenie drużyną i plutonem strzeleckim.

Koła „Pogoni” istniały nie tylko w Wielkiej Brytanii (Londyn, Reading, Peterborough, Leicester, Manchester, Nottingham), lecz także we Francji (Verdun), w Belgii (Bruksela), Stanach Zjednoczonych (Nowy Jork, Chicago, Buffalo) i Kanadzie (St. Catherines).

BKM „Pogoń” powstało za aprobatą gen. Władysława Andersa, generalnego inspektora Sił Zbrojnych, choć można też spotkać opinię, że wręcz na jego rozkaz. W kwietniu 1951 r. Anders dokonał inspekcji kursu podoficerskiego, stwierdzając: „Ważnym jest, aby w momencie konfliktu zbrojnego, który niewątpliwie nastąpi, powstała Armia Polska na Zachodzie”.

Zimna wojna mogła przekształcić się w gorącą. Zresztą wolny świat prowadził już zmagania z komunizmem w Korei. Anders, o czym pisał prof. Janusz Cisek, prowadził w latach 50. rozmowy z wojskowymi brytyjskimi i amerykańskim w sprawie tworzenia oddziałów polskich, które mogłyby walczyć w ewentualnym konflikcie z ZSRS. W 1949 r. powstał amerykański plan wojny prewencyjnej „Dropshot”. Dwa lata później gen. Anders. złożył, jak stwierdzał Cisek, wraz z oficerami reprezentującymi osiem zdominowanych przez Moskwę narodów środkowo-wschodniej Europy memoriał w sprawie powstania na Zachodzie sił zbrojnych złożonych z przedstawicieli tych narodów.

NATO-wskie poligony

W grudniu 1953 r. odbył się w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Londynie egzamin pierwszych absolwentów trzyletniej szkoły oficerskiej „Pogoni”. Przystąpiło do niego – i zdało – osiem osób: Wojewódka, Kowalczyk, Winogrodzki, Wybraniec, Piekałkiewicz, Ostoja-Koźniewski, Naimski, Góra, Bernaś. Nominacje oficerskie wręczał gen. Anders.

Sześć lat później Czarnecki twierdził, że wyszkolono już 70 proc. kadry oficerskiej dla projektowanej dywizji. Miała ona być oczywiście uzbrojona w broń NATO. Trzeba było się z nią zapoznać. „W 1961 roku byłem na angielskim poligonie artyleryjskim w okolicy Nottingham. Umożliwiono mi prowadzenie strzelania całym dywizjonem armatohaubic” – wspominał Jerzy Jan Zaleski.

eprasa.pl 1b6002f8cf

Władysław Andrzej Chudy, syn oficera II Korpusu, pisał we wspomnieniach, że zanim wraz z kolegami został wysłany do Francji na kurs spadochronowy, „na kocu w Hyde Parku na trawie ćwiczyliśmy przewrotki, to znaczy przewracanie się na pośladki przy lądowaniu" („Sowiniec" 2014, nr 44).

„Pojechaliśmy do Francji, w wielkiej tajemnicy, żeby się ktoś nie dowiedział, bo byłby zatarg dyplomatyczny. Francuzi dali nam mundury i szkolili. Był kurs spadochronowy w obozie Camp d'Astra (w Pau) i desantowo-dywersyjny. Wzięło w nich udział kilkanaście osób z »Pogoni«" – opowiadał Janusz Krasnodębski.

Andrzej Szadkowski, syn oficera Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, uczestnika walk w Tobruku, także brał udział w szkoleniach spadochronowych, w latach 1960–1962, które prowadzili sierżanci z doświadczeniem z Wietnamu i Algierii. Były też szkolenia we francuskich oddziałach pancernych oraz komandosów. Kursy te trwały do połowy lat 60.

Komendant Czarnecki przewidywał, że polska jednostka, której kadrę stanowiliby absolwenci oficerskiej szkoły „Pogoni", zostanie użyta w kraju, w końcowym etapie trzeciej wojny światowej.

W 1950 r. ukazała się – jako pierwsza publikacja Biblioteczki „Pogoni" – broszura Czarneckiego „Polska wojna w trzeciej – światowej". Autor zakładał, że Zachód pokona ZSRS i nastąpi załamanie systemu komunistycznego. Wyobrażał sobie następujący scenariusz: „Rosja sparaliżowana, Niemcy niezorganizowane", pewnego rodzaju powtórkę roku 1918. Przewidywał, że kadry oficerskie „z małą ochroną kompanii szturmowych powinny natychmiast po załamaniu się reżymu komunistycznego zostać wysadzone z samolotów w poszczególnych punktach kraju dla nadania planowości działaniu improwizowanemu i pokierowaniu walką na operacyjnym szczeblu". Dlatego też planowana przez niego jednostka miała mieć charakter desantowo-szturmowy. Ludzie związani mocno z reżimem, stanowiący jego rdzeń, oceniany na 5 proc. społeczeństwa, nie mogli liczyć na łaskawość. Czarnecki stwierdzał: „Tych 5 procent aparatu kierowniczego będącego zaprzedanym Moskwie duszą i ciałem należy zlikwidować z całą bezwzględnością". Czy tej likwidacji miały dokonać oddziały złożone z absolwentów szkół podoficerskich i oficerskich „Pogoni", nie wiadomo.

W kwietniu 1962 r. gen. Anders pisał do Czarneckiego: „Przewidziałem pana pułkownika na dowódcę bojowej dywizji w razie odtwarzania wolnego wojska Rzeczypospolitej". Kilka miesięcy później, gdy wybuchł kryzys kubański, świat stanął na krawędzi trzeciej wojny. W 1963 r. odbyły się w „Pogoni" konferencja i ćwiczenia na temat „Bój spotkaniowy w warunkach wojny atomowej". Sam Czarnecki pisał książkę „Taktyka pola walki atomowej". Jednak rok później dał wyraz swojemu sceptycyzmowi co do szybkiego wybuchu wojny. W rozkazie do członków „Pogoni" pisał, że strzelcy Piłsudskiego czekali na wojnę pięć lat, oni zaś już 15. Bez skutku. Dlatego też stwierdzał: „Żołnierze 2-ej kadrowej, waszym świętym obowiązkiem w stosunku do zniewolonego Narodu Polskiego i jego współobywateli jest przedłużyć czyn strzelców i Pogończyków przez zmobilizowanie 3-ej kadrowej z Waszych synów i córek oraz dzieci innych Polaków. To są bowiem ziarna, z których powstanie nowy MŁODY LAS w Kraju". Zastanawiał się też nad powołaniem korpusu kadetów „Pogoni".

Podpułkownik Zygmunt Czarnecki przedstawia gen. Andersowi członków BKM „Pogoń" FOT. PISMO „POGOŃ"

Wymuszanie awansu

Emigracja była od 1954 r. rozbita na skutek nieustąpienia prezydenta Augusta Zaleskiego po siedmioletniej kadencji. Z jednej strony był więc „Zamek", z drugiej Rada Trzech – „zastępczy kolegialny prezydent" – w której skład wchodził gen. Anders. Czarnecki usiłował pogodzić dwa odłamy emigracji, stąd decyzja o podwójnym podporządkowaniu się – prezydentowi i Radzie Trzech.

Po kilkunastu latach kierowania „Pogonią" i jej szkołą oficerską Czarnecki czuł się zawiedziony, że ani Zaleski, ani Anders nie mianowali go generałem w uznaniu zasług, których przecież nie można było mu odmówić. Napisał więc do gen. Andersa list, w którym domagał się awansu na generała i oświadczał adresatowi, że brak takiego awansu jest odbierany jako brak aprobaty dla całej organizacji i powoduje zniechęcenie w szeregach jej członków. Anders odpisał, że list domagający się awansu jest niedopuszczalny. Generał zwolnił Czarneckiego ze stanowiska komendanta głównego „Pogoni". W tej sytuacji Czarnecki założył własną organizację, wzorowaną na „Pogoni", która była jednak cieniem pierwowzoru.

Mimo tych zawirowań BKM „Pogoń" nie przestało istnieć. Większość jego członków podporządkowała się gen. Andersowi. W 1967 r. organizacja wciąż liczyła ok. 200 członków. W kolejnych latach działalność „Pogoni" stopniowo jednak zamierała, choć organizację oficjalnie rozwiązano ostatecznie dopiero w 1985 r. Zygmunt Czarnecki przeżył „Pogoń" o cztery lata. Pochowany został w Warszawie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

Historia ukryta w obrazie / Triumf i tragedia palatyna

Oczy Skarbimira

eprasa.pl 1b6002f8cf

Aleksander Lesser, „Skarbek Habdank przed cesarzem Henrykiem V”

FOT. MUZEUM NARODOWE W SZCZECINIE

eprasa.pl 1b6002f8cf

Leszek Lubicki

Najpierw wychowawca, opiekun i wojewoda Krzywoustego Skarbimir Awdaniec rzucił pomysł wydłubania oczu Zbigniewowi, przyrodniemu bratu księcia. Później to samo spotkało jego samego. Dlaczego Krzywousty kazał tak okrutnie okaleczyć swojego zaufanego palatyna?

Powiada się, że potężny za czasów Piastów ród Awdańców był pochodzenia normańskiego, ponieważ już za Mieszka I odnotowujemy stosunki władcy polańskiego z Normanami. Przybywali oni na polskie ziemie dobrowolnie, a czasami także wygnani przez swoich władców. Tezę o skandynawskim pochodzeniu Awdańców propagował prof. Władysław Semkowicz (1878–1949), badacz tego rodu. Uczony twierdził, że wówczas Normanowie „wstępowali do drużyn wojskowych Mieszka I i Bolesława Chrobrego, a otrzymawszy z czasem od książąt uposażenie w ziemi, naturalizowali się i słowiańszczyli, zachowując jednak jako ślad swego pochodzenia, tradycję bądź imiona normańskie”. Jedną z najsłynniejszych postaci z tego rodu w naszych dziejach był Skarbimir (Skarbek), które to imię zaliczyć możemy do najczęściej używanych we wszystkich gałęziach Awdańców. Przypuszczalnie to właśnie Skarbimir, wraz z bratem, był inicjatorem powstania kroniki Galla Anonima.

Skarbimir (Skarbek), palatyn Bolesława Krzywoustego

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Złoto do złota

Legendę o powstaniu nazwy rodu Awdaniec-Habdank (Abdank) podaje nam jako pierwszy dopiero Jan Długosz. Nic nie mówi o tym jednak Gall Anonim, za którego czasów wydarzenie to miałoby miejsce i którego niewątpliwie byłby obserwatorem. Dlatego mówimy tu raczej o legendzie. Po nieudanym, słynnym w historii Polski oblężeniu Głogowa w roku 1109, kiedy Niemcy przywiązali polskie dzieci do maszyn oblężniczych, król Henryk V (później cesarz) zarządził naradę. Zastanawiano się, czy dalej oblegać gród czy może lepiej wracać już do Niemiec. Jego wojsko straciło wielu wojów i niczego nie osiągnęło, na dodatek odeszli sprzymierzeni Czesi, jak ich określił Gall, „urodzeni łupieżcy”, ponieważ ktoś ze swoich w obozie zamordował ich księcia Świętopełka. Wówczas to Bolesław Krzywousty w nadziei, że osłabieni najeźdźcy zaniechają oblegania Głogowa i opuszczą polskie ziemie, posyła do Henryka V poselstwo. Jednak niemiecki król żąda płacenia trybutu. Przy tym chce zaimponować polskiemu poselstwu swoim bogactwem. Otwiera zatem skrzynię pełną skarbów, ukazując „finansowe przygotowanie” do wojny, aby ich przestraszyć. Jak pisze Jan Długosz: „Przewodził temu poselstwu przypadkiem szlachcic, komes Skarbek […]. Ten, chcąc

eprasa.pl 1b6002f8cf

dać godną odpowiedź cesarzowi pokazującemu skarby i opowiadającemu o swojej potędze, ściągnąwszy złoty pierścień, który nosił na palcu, i wrzuciwszy go do skarbca pokazywanego przez cesarza, rzecze: Idź złoto do złota".

Później, jak to bywa w legendach, dodano kolejne słowa, jakoby przez Skarbimira wypowiedziane, często w literaturze cytowane razem z powyższą odpowiedzią daną Henrykowi V. Tych jednak Długosz nie zapisał, a miały brzmieć: „My, Polacy, bardziej się w żelazie kochamy i żelazem bronić będziemy". Dziejopis dalej snuje: „Król Henryk, człowiek bystry, domyśliwszy się łatwo, że poseł Bolesława rzuceniem pierścienia i słowami, które dodał, wyraził pogardę dla takich skarbów, chcąc pominąć milczeniem zauważony pogardliwy ton, rzekł po niemiecku: »Habdank«, co oznacza dziękuję" [...]. Zaś ów poseł i wszyscy jego następcy i potomkowie otrzymali jako nazwę swego herbu i rodu »Habdank«, którą zachowują do dnia dzisiejszego". Trybut, którego niemiecki król zażądał od Bolesława, wyglądał zaś w rzeczywistości, według Galla Anonima, następująco: „Codziennie bowiem ginęli tam szlachetni mężowie, których po wypruciu wnętrzności balsamowano solą oraz wonnościami i składano na ładownych wozach, aby cesarz mógł ich zawieźć do Bawarii lub do Saksonii, jako [jedyny] trybut [z] Polski".

Bolesław Krzywousty
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Bunt Skarbimira

Pierwszy nasz historiozof Gall Anonim, który swoją kronikę pisał na dworze Krzywoustego, jak ładnie ujął to Józef Ignacy Kraszewski, czyny swojego mocodawcy „potomności podał nie z kronikarską oschłością, ale z poetycznym zapałem, z gorącością i natchnieniem wyśpiewane". Jednak jeżeli uznamy, że „sponsorami" Galla przy pisaniu „Kroniki" byli członkowie rodu Awdańców, to nie dziwi fakt, że Anonim nic nie pisze o buncie Skarbimira, gdyż kończy swój opis na roku 1116. Wybitny uczony Tadeusz Wojciechowski zastanawia się, czy czasem „katastrofa Skarbimira nie była powodem, że Gallus przestał pisać swoją kronikę". Wcześniej kronikarz bardzo chwalił wojewodę: „O Skarbimirze wszakże opowiadamy to wszystko nie dlatego, aby go w czymkolwiek porównywać z jego panem (Krzywoustym), lecz aby trzymać się prawdy historycznej". Znawca dzieła Galla Marian Plezia pisze wprost: „Trudno więc przypuszczać, aby te wszystkie jego pochwały w Kronice były pisane po 1117 r.".

Herb Abdank (Habdank)
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BASTIANOW

Władcy kraju wówczas już wspierali się na możnowładcach niepochodzących z dynastii, gdyż „historii nie tworzą sami panujący". W tych czasach byli to: Sieciech, Skarbimir, Żelisław czy Piotr Włostowic. A ci mieli także swoje interesy; bywało, że sprzeczne z książęcymi. W „Roczniku kapituły krakowskiej" pod rokiem 1117 jest tylko jeden lakoniczny zapis: „Skarbimir Palatyn powstał przeciwko księciu Bolesławowi i został oślepiony". Zatem wcześniejszy piastun książęcy, doradca, twórca polskiej polityki w młodości księcia, wojewoda doprowadzający go do tronu jako inicjator oślepienia jego przyrodniego brata Zbigniewa, sam został oślepiony z rozkazu Krzywoustego, który nie zważał na jego dawne zasługi.

Dlaczego spotkała go tak drastyczna kara? Czy rzeczywiście „powstał przeciwko księciu", a jeżeli tak, to z jakiego powodu? Do końca nie wiemy na pewno, historycy snują różne przypuszczenia. Wymienia się tutaj „ambicje możnowładcze, porozumienie Skarbimira z Pomorzanami lub z wielkim księciem kijowskim Włodzimierzem Monomachem, konsekwencje sprawy Zbigniewa, wzrost wpływów niemieckich na dworze ks. Bolesława III w związku z jego drugim małżeństwem ze szwabską hrabianką Salomeą". Jednak te wszystkie przypuszczenia „pozostają w sprzeczności z całą uprzednią działalnością Skarbimira i z ówczesną sytuacją polityczną" (Bieniak, PSB).

Jan Długosz mówi tylko, że wielka pycha ogarnęła Skarbimira:

eprasa.pl 1b6002f8cf

„Zuchwalstwo wojewody Skarbimira wzrosło do tego stopnia, że ufając swoim wpływom oraz pomocy przyjaciół, braci, krewnych i ludzi [...], podjął otwarty bunt i wojnę przeciw swemu panu Bolesławowi". Jednak nasz dziejopis nie podaje, dlaczego wieloletni wierny współpracownik księcia bunt ten rozpoczął. Wspomina również o próbie zawiązania spisku, ale z jego kroniki nie poznamy przyczyny. Poznajemy tylko skutek – wydłubanie jedynego sprawnego oka i pozbawienie urzędu (wcześniej Skarbimir stracił oko podczas walk o Pomorze u boku swojego księcia). Przy czym taka kara nie była niczym niezwykłym. Wówczas za jakiekolwiek wystąpienie przeciwko władcy wydłubywano oczy. Dlaczego jednak palatyn się zbuntował?

Najbardziej prawdopodobne jest, że „Awdańcy byli zwolennikami elekcji przez rządzącą elitę możnowładczą sukcesora najbardziej jej odpowiadającego, niezależnie od jego wieku, a postępowanie Skarbimira popierającego zdolniejszego Piastowica nakazuje w nim upatrywać przeciwnika senioratu" (Bieniak, PSB). Jeżeli ta hipoteza jest właściwa, to musimy przyjąć, że założenia statutu Krzywoustego powstały, gdy książę miał ok. 30 lat. Czyli mówiąc wprost: „Po urodzeniu drugiego syna Bolesława [Leszka, z drugiej żony, wcześnie zmarłego – przyp. red.] mieli zaprzysiąc, że starszy – a potem zawsze najstarszy w rodzie – będzie przez nich uznawany za władcę najwyższego. I basta. Żadnego wybierania, który mądrzejszy, lepszy, lepiej do sprawowania tak odpowiedzialnej godności przygotowany albo i który wygodniejszy dla interesów możnych" (Nowak, 2012). Opierając się na badaniach wspomnianego wybitnego mediewisty Janusza Bieniaka, tak zagadnienie to widzi prof. Andrzej Nowak: „[...] wiec, na którym ogłoszono statut Krzywoustego [znany szerzej jako testament Krzywoustego – przyp. red.], odbył się na Boże Narodzenie 1117 roku. Skarbimir odmówił złożenia przysięgi". Mówiąc wprost, wojewoda chciał, aby przyszła sukcesja polskiego tronu zależała od możnowładczych elit skupionych wokół niego.

Wygląda na to, że podjął nawet walkę. W pierwszych tygodniach następnego roku panował w Polsce jakiś bliżej nieznany zamęt. Niemniej wiadomy jest tego zamętu rezultat końcowy – Skarbimir został skazany na oślepienie i był to koniec jego kariery... na razie. Wydawałoby się, że po tym wystąpieniu przeciwko Krzywoustemu już o Skarbimirze nie usłyszymy. Nic podobnego. Przeżył tę okrutną karę. Na jakiś czas jego miejsce zajmuje Piotr Włostowic, który popierał zasadę senioratu. Jednak po kilku latach Bolesław III pogodził się z Awdańcami i „około roku 1124 występuje ślepy Skarbimir znowu w roli pierwszego świeckiego możnowładcy w państwie Bolesława" (Nowak, 2012).

Cesarz Henryk V

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/WOLFGANG SAUBER

Agentka Abdank

Obraz, którym ilustrujemy tę opowieść, został namalowany przez artystę na zamówienie hrabiego Ferdynanda Floriana Skarbka herbu Abdank, ekonomisty, pisarza, działacza w Królestwie Polskim. Widać zatem, że nawet siedem stuleci później potomkowie rodu tak pięknie pielęgnują rodzinną tradycję. Współczesny malarzowi krytyk i estetyk uznał, że obraz ten należy do najpopularniejszych dzieł Aleksandra Lessera. „Postacie tego obrazu dobrze są znane każdemu miłośnikowi sztuki swojskiej, szczególniej zaś postać Skarbka, który jako poseł króla Bolesława nie korzy się przed potęgą i bogactwami cesarza niemieckiego Henryka V, lecz dorzuca jeszcze do tego skarbca swój własny pierścień i dumnie przyjmuje za to dank cesarski. I tym obrazem przemówił Lesser wprost do usposobienia i przekonania ziomków. Poczucie osobistej godności i pogarda bogactw i złota, jeśli one podkopują szlachetniejszy sposób myślenia, znalazły w tym utworze wymowne uplastycznienie, jednając dla artysty symaptyę powszechną" (Struve, 1885).

Obraz znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Szczecinie. Na odwrocie dzieła zapisano jego autorski tytuł: „Jan z Góry Wawelu w poselstwie do cesarza Henryka V oblegającego Głogowę roku 1109. Początek przydomku Skarbków". Jednak obrazu tego na muzealnej ekspozycji nie obejrzymy. Jak wynika z internetowego katalogu, znajduje się on w magazynie, a szkoda. Co prawda, patrząc na obraz ukazujący jakieś wydarzenie dawnych czasów, historii Polski się nie nauczymy, natomiast malarskie dzieło historyczne może nas zachęcić do głębszego poznania wycinka dziejów Polski na nim ukazanego. Nawet jeżeli jest to tylko legenda.

Na koniec ciekawostka odnośnie do dużo bliższej naszym czasom historii tego rodu. Krystyna Skarbek h. Abdank była pierwszą agentką w brytyjskim wywiadzie (MI6), działającą w czasie drugiej wojny światowej na froncie wschodnim, zachodnim i Bliskim Wschodzie. Są nawet tacy, którzy uważają, że postać Jamesa Bonda stworzona przez Iana Fleminga powstała dzięki znajomości autora z Krystyną Skarbek, którą pisarz uczynił pierwszą dziewczyną Bonda.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA LITERATURA:

Barański M.K., ***„Dynastia Piastów w Polsce",*** *Warszawa 2005; Bieniak J.,* ***„Skarbimir",*** *PSB, T. XXXVIII, 1997–1998; Maleczyński K.,* ***„Bolesław Krzywousty",*** *Wrocław 1975; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski", T. 1,*** *Kraków 2014; Semkowicz W.,* ***„Ród Awdańców w wiekach średnich",*** *Poznań 1920; Struve H.,* ***„Aleksander Lesser i jego rozwój artystyczny w historyi malarstwa polskiego",*** *Warszawa 1885.*

eprasa.pl 1b6002f8cf

Praojcowie buntu / Korzenie antycywilizacji

„Robespierre, Danton i Marat". Obraz Alfreda Loudeta FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ MUSEUM OF THE FRENCH REVOLUTION

Ciemność oświecenia

Piotr Tylus

Współcześni inżynierowie społeczni nie mają w sobie nic oryginalnego. Posługują się metodami wypracowanymi w oświeceniowym, rewolucyjnym i postrewolucyjnym francuskim laboratorium

Rewolucja Francuska, Kodeks Napoleona – daleka przeszłość, jakby bez znaczenia dla człowieka współczesnego, przedmiot badań prowadzonych przez historyków. A tym bardziej oświecenie francuskie, które to wszystko przygotowało – relikt z zamierzchłych czasów, o którym być może wypada cokolwiek wiedzieć na potrzeby maturalne, a później można spokojnie o tym zapomnieć. Czy należy zaprzątać sobie tym głowę? A może jednak tamten właśnie okres i tamten właśnie kraj, Francja, wyjaśniają naszą teraźniejszość i pozwalają nam zrozumieć nas samych, ludzi współczesnych i nowoczesnych, bo przecież nasze społeczeństwo staje się coraz bardziej nowoczesne, podążając na drodze postępu, ze wzrokiem utkwionym w jutrzenkę totalnego wyzwolenia.

Jaka koncepcja człowieka została wytworzona przez francuskich filozofów oświeceniowych, a potem przez ich „dzieci" – francuskich rewolucjonistów i w końcu przez samego Napoleona Bonaparte, który był tylko zbrojnym ramieniem rewolucji, oraz przez prawników z jego otoczenia, którzy wypracowali słynny Kodeks cywilny Francuzów, znany także jako Kodeks Napoleona (nawiasem mówiąc, wprowadzony również w Księstwie Warszawskim)? To pytanie jawi się jako kluczowe szczególnie w kontekście „praw człowieka", których ustanowienie przypisywane jest rewolucji (zob. słynną Deklarację praw człowieka i obywatela z 26 sierpnia 1789 r.) i o których ludzie nowocześni nie przestają dzisiaj mówić, a zwłaszcza osoby o poglądach lewicujących, dołączając jeszcze inne hasła.

Praojcowie buntu

A zatem jaką koncepcję człowieka wytworzyli praojcowie praw człowieka? Zacznijmy od francuskich filozofów oświeceniowych. To oni przygotowali

eprasa.pl 1b6002f8cf

grunt, sformatowali i zaprogramowali umysły. To właśnie oni propagowali przekonanie o „bierności" natury człowieka, którym można swobodnie manipulować, czyli sterować nim bez jego wiedzy, a wszystko po to, żeby uczynić go szczęśliwym, choćby na siłę, i żeby wytworzyć społeczeństwo żyjące w stanie totalnej szczęśliwości. To właśnie oni podważali w człowieku wszelką aktywną zasadę, negowali jego zdolność myślenia i umiejętność dokonywania świadomych wyborów, czyli wolną wolę, jak również jego duchowy wymiar, zacierając granicę między człowiekiem a zwierzęciem. To właśnie oni zrodzili ducha postępu i ukazali tradycję katolicką jako już nieaktualną, zacofaną, średniowieczną i ciemną, bo przecież katolicyzm zawsze nauczał czegoś zupełnie odmiennego i w każdym człowieku wciąż widzi zasadę aktywną, wolną wolę, duszę i rozum, odróżniające go od zwierząt.

Nie można przy tym powiedzieć, że filozofowie oświeceniowi zupełnie jawnie występowali przeciwko Kościołowi, ponieważ w monarchicznej Francji byli na celowniku cenzury (choć ta cenzura niejednokrotnie im sprzyjała – jest to skomplikowana kwestia i temat na osobny artykuł) i swoje poglądy niejednokrotnie musieli wyrażać w zawoalowany sposób.

Zacznijmy od zatwardziałych antropologów materialistycznych: Helwecjusza (1715–1771) i Holbacha (1723–1789). Ten pierwszy zawarł swoje idee przede wszystkim w dwóch traktatach: „O umyśle" i „O człowieku". Według niego „w człowieku wszystko jest odczuwaniem fizycznym", „wszystko jest czuciem" – moglibyśmy powiedzieć: „grą emocji" – a „dusza jest jedynie zdolnością pozwalającą mu odczuwać". I w konsekwencji „w każdym przypadku formułowanie sądów jest czuciem", zatem warto pracować na ludzkich emocjach. Poza tym każdy człowiek troszczy się jedynie o swoją korzyść, co w gruncie rzeczy sprowadza się wyłącznie do zaspokajania potrzeb fizycznych: „W świecie moralnym, podobnie jak w świecie fizycznym, występuje tylko jedna zasada ruchu, a tą zasadą może być wyłącznie dążenie do odniesienia korzyści" – i warto tę zasadę „wykorzystywać". Według Helwecjusza „człowiek jest maszyną, która musi robić

XAVIER MARTIN
„REWOLUCJA FRANCUSKA A NATURA LUDZKA. OD WIEKU OŚWIECENIA PO KODEKS NAPOLEONA"
ANDEGAVENUM

wszystko, co ma robić, gdy zostaje wprawiona w ruch. Jest to młyńskie koło […] poruszane przez wodę ze strumienia". Można nim bez problemu manipulować.

Z kolei Holbach znany jest głównie jako autor „Systemu przyrody". On również dowodzi, że myślenie jest wyłącznie czuciem, a wolność jest tylko chimerą czy brednią. Zauważmy, że na filozofii m.in. Holbacha będą opierać się rewolucyjni i postrewolucyjni piewcy wolności. Poza tym według niego nic w ludzkim życiu nie umyka zasadzie konieczności, gdyż wszyscy są mechanicznie popychani w kierunku egoizmu.

Zatem korzyść osobista i egoizm – oto główna sprężyna, którą trzeba się posługiwać, sterując zachowaniami ludzi.

„Hołota" Woltera

Nie można nie wspomnieć tutaj o Wolterze (1694–1778), który pewnego razu stwierdził, że „hołota nie zasługuje na to, by ją oświecać", choć dzisiaj uważa się go za ikonę oświecenia. Pod koniec swojego życia doszedł do wniosku, że człowiek jest „nędzną rzeczą", śmieszną zabawką, którą można dowolnie manewrować. To prawda, że materialistą nie był i uznawał jakiś świat duchowy, o czym świadczą choćby niektóre jego satanizujące wypowiedzi (w korespondencji do przyjaciół), a nawet w jednym ze swych listów uznał, że należy ludziom „wsadzić do pysków jakiegoś boga, który służyłby im za wędzidło i lejce" – boga, bożka, wszystko jedno, co to będzie, być może kult pieniądza albo jeszcze coś innego. Co się tyczy tego zniewalania, jednocześnie podkreślał, że człowiek nie może sądzić, iż ktokolwiek odbiera mu wolność. Według niego „dobro społeczeństwa wymaga, aby człowiek mniemał, iż jest wolny". Wolter uległ poglądom mechanicystycznym, zgodnie z którymi człowiek jest istotą całkowicie bierną, podatną na działanie kogoś, kto umie się nim posługiwać. Dodajmy, że w jednym z listów zawyrokował – mówiąc o naturze ludzkiej – iż „zwykły nakręcany zegarek musiałby być bardzo bezczelny, żeby sądzić, iż posiada absolutnie odmienną naturę od natury rożna, którym ktoś obraca".

Zatem człowiek maszyna… „Na próżno świadomość człowieka żąda dla niego przywileju wolności" – jak wypowiedział się w tym temacie Jean Rostand (1894–1977), uważany za jednego z największych biologów i jednego z największych humanistów XX stulecia.

Jan Jakub Rousseau (1712–1778) znany jest z tego, że odcinał się od ówczesnych filozofów, starał się być inny; jednak nie można zaprzeczyć, że płynął w głównym nurcie, który miał nawodnić rewolucję i zachodnie demokracje oraz różne -izmy, a jego „Umowa społeczna" – gdzie autor określa naród jako „ślepy tłum, często niewiedzący, czego chce, bowiem rzadko kiedy wie, co jest dla niego dobre" – jest wręcz brewiarzem współczesności. On również przyczynił się do stworzenia archetypu człowieka jako istoty zupełnie biernej, której bez udziału jej świadomości można nadać odpowiedni kierunek, oczywiście dla dobra wspólnego i dla powszechnej szczęśliwości. Ograniczę się w tej kwestii tylko do jednego cytatu z jego słynnego „Emila", kiedy Rousseau zwraca się do Nauczyciela: „Niech [dziecko] zawsze myśli, że jest panem, ale to ty bądź nim prawdziwie. Najdoskonalszą formą poddaństwa jest takie poddaństwo, które zachowuje pozór wolności; tym sposobem można ujarzmić właśnie wolę […]. Czy nie ty jako jedyny możesz usposobić je, jak ci się podoba? Jego prace, zabawy, przyjemności, zmartwienia… – czyż to

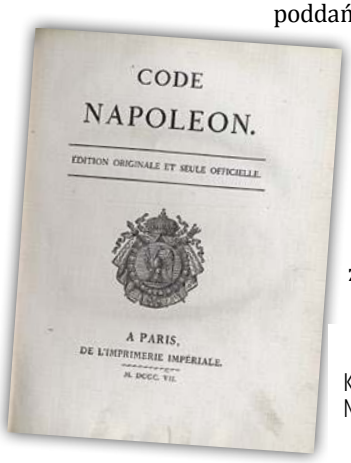
CODE
NAPOLEON.
ÉDITION ORIGINALE ET SEULE OFFICIELLE.
A PARIS,
DE L'IMPRIMERIE IMPÉRIALE.
M. DCCC. VII.

Karta tytułowa Kodeksu Napoleona FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 1b6002f8cf

wszystko nie jest w twoich rękach, choć ono nawet tego faktu nie przeczuwa? Bez wątpienia powinno robić wyłącznie to, co chce, ale wolno mu chcieć jedynie tego, czego ty dla niego chcesz. Nie wolno mu zrobić nawet jednego kroku, jeśli ty nie przewidziałeś, gdzie zamierza postawić stopę; nie wolno mu nawet otworzyć ust, jeśli nie wiesz, co zamierza powiedzieć". Gdzie tu miejsce dla wolności? Pedagogia i polityka… Wystarczy rozciągnąć tę zasadę na wszystkich obywateli…

Nawiasem mówiąc, według Rousseau łatwo zaspokoić apetyty człowieka. „Jedyne dobra, jakie zna na świecie", to: „jadło, samica i odpoczynek" („Rozprawa o nierówności stanów pomiędzy ludźmi") – i przyznać trzeba, że Diderot wykazał się znacznie większym wyczuciem, gdy pisał o podobnych dążeniach: „karoca, wygodne mieszkanie, miękka pościel i pachnąca dziewczyna", mimo wszystko sprowadzając kobietę do poziomu rzeczy. Można więc człowiekiem manipulować, grając/pogrywając na jego pragnieniach.

Inżynierowie

Trudno jest w tak krótkim artykule zająć się wszystkimi rewolucyjnymi inżynierami społecznymi. Posłużmy się więc jedynie ikonami rewolucji, czyli Robespierre'em i Dantonem, poruszając jeden tylko aspekt: wychowanie dzieci. Tenże Robespierre, podobnie jak Danton, uważał, że rodzina ogranicza horyzonty myślenia dziecka i że należy jak najprędzej wyrwać je z tego kokonu, „przechwycić je w okresie, gdy jest na nie wywierany decydujący wpływ" (mowa wygłoszona 13 sierpnia 1793 r.), a następnie poddać kolektywistycznemu wychowaniu, bez nadmiernego zaangażowania jego wolnej woli, tak by stworzyć obywatela godnego Republiki. Z kolei Danton stwierdził, że jego syn do niego nie należy, ale jest „własnością Republiki", a innym razem uznał, że „dzieci należą w pierwszym rzędzie do Republiki, a dopiero potem do swoich rodziców". Intencje manipulatorskie są widoczne jak na dłoni.

A nad suwerenem, czyli ludem, narodem, należy roztaczać opiekę, ponieważ jest on jak dziecko i trzeba go prowadzić za rękę pomimo jego suwerenności.

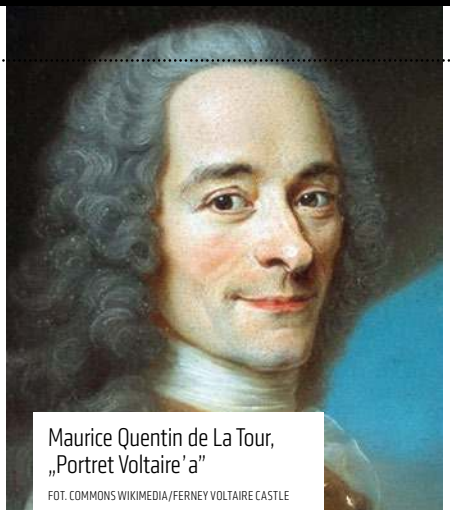

Maurice Quentin de La Tour, „Portret Voltaire'a" FOT. COMMONS WIKIMEDIA/FERNEY VOLTAIRE CASTLE

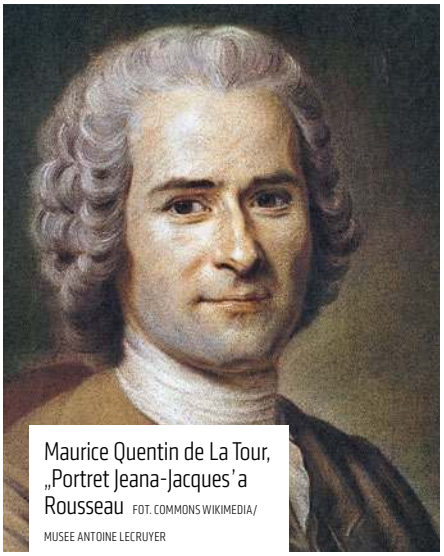

Maurice Quentin de La Tour, „Portret Jeana-Jacques'a Rousseau FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MUSEE ANTOINE LECRUYER

W okresie posttermidoriańskim rewolucjonistów cechowało pragnienie sprawowania całościowej kontroli nad każdym obywatelem, a lud, ten słynny lud, był traktowany właśnie jako stare dziecko, potrzebujące wędzidła i prowadzenia, zgodnie z oświeceniową antropologią. Madame de Staël, znana francuska autorka, stwierdziła w jednym ze swych dzieł, pisząc o tamtych czasach: „Wszystko musi dokonywać się w wolności, pod warunkiem że ludzie będą mieli taką, a nie inną wolę" („Des circonstances actuelles…") i polityka prowadzona przez Dyrektoriat była „dyrektywna". Madame de Staël posłużyła się nawet określeniem „przymusowego ochotnika": „Rząd republikański, który w wyniku jakiegoś osobliwego wyrafinowania chciałby wprowadzić pewien rodzaj nowego posłuszeństwa, streszczającego się w słowach: »przymusowy ochotnik«, stałby się nieskończenie bardziej tyraniczny niż zwykły despotyzm, a w związku z narastającymi z dnia na dzień problemami nigdy nie byłoby końca tyranii…" („Des circonstances actuelles…").

Co się tyczy samego Kodeksu Napoleona, wprowadzonego we Francji w roku 1804, przyznać trzeba, że w sposób dyskretny wyłania się z niego przekonanie o „powszechnej małoletności" wszystkich obywateli. Jeśli chodzi o kobietę, to jej infantylizacja zostaje wyrażona wprost, ponieważ z „Prac przygotowawczych" Kodeksu cywilnego wynika, że należy jej „bronić [przed »jej słabością, dobrocią i niebezpieczną czułostkowością«] bez jej wiedzy, a nawet wbrew jej woli" (z mowy wygłoszonej przez Lahary'ego przed Ciałem Prawodawczym 28 ventôse'a roku XII), ale równocześnie mężczyźni są domyślnie traktowani w taki sam sposób. Zatem bierność człowieka i sterowanie nim, dla jego dobra, bez jego wiedzy i, jeśli zajdzie taka potrzeba, wbrew jego woli.

A tymczasem Michelet, słynny francuski historyk i piewca rewolucji, czcił w rewolucyjnym ustanowieniu Republiki „początek świętej epoki, gdy człowiek stał się pełnoletni; początek ery pełnoletności człowieka".

Warto w tej materii przeczytać książkę Xaviera Martina, profesora publikującego raczej w niszowych francuskich wydawnictwach, a to z tego względu, że Republika Francuska, osadzona na oświeceniowym i rewolucyjnym fundamencie (podobnie jak wszystkie dzisiejsze demokracje w świecie zachodnim), nie uznaje takiego oglądu rzeczy. Zatem wielkie akademickie wydawnictwa francuskie, dbające o podstawy swojej egzystencji, nie mogą promować wyników jego badań naukowych i poglądów. Chodzi o pozycję niedawno opublikowaną przez wydawnictwo Andegavenum: „Rewolucja Francuska a natura ludzka. Od wieku Oświecenia po Kodeks Napoleona". I być może trudno byłoby znaleźć lepszy przykład ilustracyjny dla historii i teraźniejszości, przedmiotu niedawno wprowadzonego w polskich szkołach.

Podsumowując, współcześni inżynierowie społeczni nie mają w sobie nic oryginalnego. Posługują się metodami wypracowanymi w oświeceniowym, rewolucyjnym i postrewolucyjnym francuskim laboratorium.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

1939–1945 / Kolaboracja pod Tatrami

Kadr z filmu „Biała odwaga"
FOT. ADAM GOLEC/MATERIAŁY PRASOWE

Biała odwaga, brunatna zdrada

Jakub Ostromęcki

Górale głośno sarkają na premierę tego filmu. Czy Podhale rzeczywiście zostało skrzywdzone przez jego twórców?

Premiery „Białej odwagi" w Zakopanem nie będzie. Tak przynajmniej zapowiadały niektóre podtatrzańskie kina w momencie, gdy powstawał ten artykuł. Związek Podhalan już w 2021 r. odmówił pomocy przy kręceniu filmu, o krytyczne spojrzenie na scenariusz prosząc samego ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego. Gdy w mediach i na ulicach pojawił się plakat promujący film, z góralem ubranym w fikcyjną zresztą marynarkę SS, część lokalnych internautów zagrzmiała: „Dość obrażania nas, górali", „Oni nie wiedzą i nie zdają sobie sprawy, czym ten strój dla nas jest". Krewcy komentatorzy filmu wówczas jeszcze nie widzieli.

Skąd takie oburzenie? „Biała odwaga" rozgrywa się na Podhalu w czasie drugiej wojny światowej. Jej tłem jest współpraca części góralskiej społeczności z nazistowskimi Niemcami. Dziś istnieje na ten temat całkiem pokaźna literatura na czele z „Goralenvolk. Historia zdrady" Wojciecha Szatkowskiego. Jest to książka rozrachunkowa, bo napisana przez wnuka słynnego Henryka, wicelidera ówczesnych kolaborantów.

Szatkowski, niegdyś patriota, weteran legionów Piłsudskiego, raniony w szyję w czasie walk, bardziej zakopiańczyk niż rodowity góral, był działaczem narciarskim, orędownikiem budowy kolejki na Kasprowy. Bywał przed wojną w Alpach. Imponowały mu niemiecki dobrobyt, porządek, zorganizowanie. Takie uczucia podzielali rodacy Szatkowskiego podróżujący za Odrę przez następne kilkadziesiąt lat, mało kto jednak wracał do kraju jako zdeklarowany germanofil. A Szatkowski owszem. Woltę tą wykorzystał agent Abwehry Witalis Wieder. Wojciech Szatkowski w swojej książce nie wyklucza, że jego dziadek mógł rozpocząć współpracę z niemieckim wywiadem już przed wojną.

Po upadku Polski w 1939 r. Niemcy zawieźli grupkę naiwnych górali do Częstochowy, aby pokazać, że „rycerski Wehrmacht" nie prowadzi wojny przeciw kościołom. Potem przyszły słynna ceremonia na Wawelu i wizyta Hansa Franka w Zakopanem. Górali ogłoszono potomkami zaginionego szczepu Gotów przemierzających onegdaj ziemie nad Wisłą – stąd nazwa Goralenvolk. Szefem Komitetu Góralskiego został Wacław Krzeptowski ze słynnego podhalańskiego rodu, zwany potem złośliwie „księ-

eprasa.pl 1b6002f8cf

ciem Podhala". Przed wojną piastował wysokie funkcje w lokalnym Stronnictwie Ludowym i był współpracownikiem samego Witosa. Zastępcą Krzeptowskiego został główny ideolog ruchu Henryk Szatkowski, który miał być również współodpowiedzialny za aresztowanie i uwięzienie w Auschwitz Bronisława Czecha i Kazimierza Fajkosza.

Wacław Krzeptowski wita Hansa Franka w Zakopanem, listopad 1939 r. FOT. NAC

Rekrutacyjna katastrofa

Komitet Góralski rozpoczął wydawanie kenkart z literą „G". Ich posiadacze nie mieli z tego tytułu przywilejów politycznych, a wielu zostało zmuszonych przez Krzeptowskiego do podpisania ich. Na zdradziecką listę wciągnięto wielu niepiśmiennych, którzy stawiając krzyżyk, nie wiedzieli, na co się godzą. Inni, którym w oczy zajrzała nędza, przystali do kolaborantów w akcie desperacji. Pamiętać też trzeba, że Krzeptowski doprowadził do zwolnienia wielu górali ze stalagów, a za pieniądze pozyskane od Niemców pomagał pogorzelcom, dystrybuował jedzenie i leki, a kenkartę „G" otrzymało również 24 Żydów. Ostatecznie do kolaborantów dołączyło raptem 18 proc. Podhalan. Apogeum zdrady nastąpiło na początku 1943 r., gdy z podhalańskich młodzików utworzono „Góralski Legion SS". Pijanych kandydatów Niemcy wywieźli aż na Lubelszczyznę. Niektórzy trzeźwiejąc, zaczęli uciekać jeszcze z pociągu. Reszta w obozie szkoleniowym wdała się w bójkę z ochotnikami ukraińskimi, po czym dezerterować zaczęli kolejni. W sumie z 400 Podhalan mundur z gapą na ramieniu przywdziało kilkunastu – głównie wioskowych złodziei, leni, awanturników i moczymordów. Była to jedna z większych niemieckich katastrof rekrutacyjnych podczas całej wojny.

Gdy na Podhale zaczęły docierać wieści o zbliżającym się froncie, Henryk Szatkowski zniknął, natomiast Wacław Krzeptowski uciekł w Tatry Zachodnie. Spragniony kontaktu z krewnymi zszedł do Kościeliska i tam dopadła go AK, wieszając go na świerku. Spełniła się wtedy straszna przepowiednia rzucona przez jednego z wiernych Polsce górali: „Wacuś, bedzies wisioł".

Po drugiej wojnie światowej sprawa kolaboracji stała się dla Podhalan swoistym „trupem w szafie". Mówiono o niej półgębkiem jedynie w najbardziej zaufanym gronie. Bywało, że góral podróżujący poza Podhale na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej spotykał się z wyzwiskami.

Członkowie Związku Podhalan nie wiedzieli, jak owa historia przedstawiona zostanie na ekranie, woleli jednak martwić się na zapas. Ich stanowisko da się streścić w sposób następujący. Po pierwsze – sprawa jest dokładnie przebadana, film nie poszerzy stanu wiedzy. Po drugie – nie zadrażniać. Kolaboranci nie byli bowiem typami czarno-białymi, a na Podhalu wciąż żyją ich potomkowie. Po trzecie – film fabularny niejako z definicji nie może relacjonować przeszłości z kronikarską skrupulatnością. Reżyser licząc na tanią sensację, uczyni z pewnością ze wszystkich górali nazistowskich zwyrodnialców. Po czwarte – zamiast jątrzyć stare rany, lepiej pokazywać w filmach pozytywne aspekty dziejów Podhala.

Henryk Szatkowski (pierwszy z lewej) z kolegami FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ARCHIWUM ZOFII FORTECKIEJ

Zarzuty te są chybione, strach bezpodstawny. Zacznijmy od tego, że zadaniem filmu fabularnego, nawet szanującego prawdę historyczną, nie jest poszerzanie stanu wiedzy. Na konferencji prasowej zorganizowanej po przedpremierowym pokazie filmu współscenarzysta Łukasz Maciejewski stwierdził, w sposób typowy dla środowiska filmowego, że jeśli ma wybierać między prawdą historyczną a dobrą fabułą, to zawsze wybierze dobrą fabułę. Dla miłośnika historii słowa te brzmią faktycznie złowieszczo, ale Maciejewski i reżyser filmu Marcin Koszałka

eprasa.pl 1b6002f8cf

sprytnie uniknęli przebierania muzy Klio w córę Koryntu. Spróbujmy wyjaśnić ich manewr bez nadmiernego zdradzania akcji i fabuły. Czytelnicy, którzy obawiają się spoilerów, niech opuszczą poniższy podrozdział.

Początek spoilera

Dwaj bracia, Andrzej i Maciek, pochodzą ze znakomitego, ale fikcyjnego góralskiego rodu Zawratów. Obaj kochają się w Bronce z nieco mniej znakomitych Wetulów. Dziewczyna zdecydowanie woli Andrzeja. W czasie swatów okazuje się, że stary Wetula Bronkę, owszem, odda, ale nie Andrzejowi, bo to ryzykant, taternik i marny gazda, tylko bardziej statecznemu Maćkowi. Na słowa ojców rady nie ma. W ten sposób odtrącony Andrzej ucieka szukać szczęścia w Krakowie. Tam szybko wpada w oko scenografce teatralnej żydowskiego pochodzenia, tam też poznaje niemieckiego sympatycznego i pomocnego wspinacza Wolframa von Kamitza, jak możemy się potem domyślać – agenta wywiadu. Po wybuchu wojny Niemcy łechcą ego Andrzeja, wykorzystują jego taternicką pasję, manipulują pseudonaukowymi wywodami o jego germańskim pochodzeniu. Młody Zawrat połknie haczyk i przystanie do zdrajców.

Tymczasem na stojącym na krawędzi głodu Podhalu stary Wetula również stara się „ułożyć" z okupantem. Zwołuje starszyznę. W piwnicy w świetle pochodni odżywają sentymenty do Franciszka Józefa, „tyz pzeciez Niemca". Część starszyzny idzie na współpracę, ale inni pamiętając, że ziemię dali ich przodkom Polscy królowie, wychodzą z narady przestraszeni widmem zdrady narodowej.

W „Białej odwadze" jedyną postacią historyczną, choć nieco zbyt dziobatą i podstarzałą, jest gubernator Hans Frank. Ani razu nie padają nazwiska Henryka Szatkowskiego i Wacława Krzeptowskiego. Możemy się jedynie domyślać, że w życiorysy Andrzeja Zawrata i jego niedoszłego teścia Wetuli misternie wplecione są niektóre elementy działalności obu prawdziwych postaci.

Wacława Krzeptowskiego i filmowego Wetulę łączy to, że obaj byli przed wojną zadłużeni. Obaj mają też dość dużych rozmiarów ego. Gdy Wetula przed niemiecką komisją żąda, aby nazywać go liderem górali, mówi to niemal słowami prawdziwego Wacława. Krzeptowski szantażował, zmuszał i groził tym, którzy nie chcieli przyjąć haniebnej kenkarty z literą „G", i tak samo robi Wetula. Obaj zginęli śmiercią gwałtowną.

Występ taneczny dla żołnierzy niemieckich FOT. NAC

Demon zdrady zatruwa duszę filmowego Andrzeja Zawrata w podobny sposób, jak uczynił to z prawdziwym Henrykiem Szatkowskim „Dzidkiem". Agent Abwehry, Witalis Wieder, mógłby być pierwowzorem filmowego von Kamitza, z tą oczywiście różnicą, że Kamitz swoją szpiegowską sieć zarzuca na Andrzeja w czasie skalnej wspinaczki. Henryk Szatkowski podczas okupacji najprawdopodobniej nikogo własnoręcznie nie zamordował. W filmie Andrzej czyni to bez skrupułów.

Kinowa walka dobra ze złem rozgrywa się zawsze według podobnych reguł. Andrzej Zawrat odkupi więc swoje winy. Henryk Szatkowski natomiast pod koniec wojny zniknął, dokonując żywota gdzieś na Zachodzie. Andrzej Zawrat to postać niejednoznaczna, a takie współczesne kino lubi najbardziej. Kupiony i omotany przez Niemców przez cały okres kolaboracji ukrywa jednocześnie na strychu krakowskiej kamienicy swoją żydowską kochankę. Jest to podwójnie cenny wątek, biorąc pod uwagę, że w mediach Polacy nierzadko przedstawiani są jako kolektywni współsprawcy zagłady Żydów. Oto wyczekiwany przez Związek Podhalan szary odcień działań Goralenvolku.

Stosunek do okupanta dzieli rodziny filmowe i prawdziwe. Bronka Wetula, wbrew woli ojca i matki, nie wpisuje się na listę Goralenvolk. Podobnie postąpiła żona Henryka Szatkowskiego, potępiając kolaborację i wyprowadzając się od męża. W filmie lojalny wobec Polski pozostaje też Maciej Zawrat – mąż Bronki. W zimie, gdy każdy gazda ma mniej pracy, przeprowadza konspiratorów AK przez góry. Józef Krzeptowski, kuzyn niesławnego Wacka, również był jednym z bardziej znanych tatrzańskich kurierów. Wacek wiedział o jego działalności, ale nie pisnął o tym słowa swoim niemieckim panom.

Koniec spoilera

Koszałka z niemal dokumentalną precyzją odtworzył najbardziej spektakularne, nieraz groteskowe sceny początków kolaboracji części górali z Niemcami. Porównywanie góralskich i gockich broszek, z czego miało wynikać, że górale pochodzą od Gotów, mierzenie czaszek, nosów, mięsistości uszu (czy aby nie były za bardzo semickie!), badanie koloru włosów i oczu wyglądają tu niemal identycznie jak w protokołach i instrukcjach dla „selekcjonerów rasowych" z Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS. Z podobnym pietyzmem ukazano oficjalną wizytę Hansa Franka na Podhalu, z wręczaniem ciupagi, ze swastykami i z kłobukami uchylonymi w wiernopoddańczym hołdzie. Dzięki solidnej postprodukcji oglądamy też dawne Krupówki z przedwojennym jeszcze szyldem restauracji Morskie Oko w Zakopanem, gdzie swoją siedzibę miał Goralenvolk.

Bardzo precyzyjnie i wiernie Koszałka odmalowuje początek akcji tworzenia góralskiego legionu SS. Najpierw suto zakrapiana impreza z Niemcami, potem mocno rozchwiany marsz na zakopiański dworzec i odjazd do miejsca formowania. Wraz z rozwojem akcji reżyser pozwolił sobie jednak na udramatyzowanie wątku. Widzimy góralskich esesmanów patrolujących tatrzańskie doliny, pacyfikujących wioski swoich rodaków. Jedna z tych operacji kończy się krwawo i nieoczekiwanie – nie ma jednak potrzeby, by zdradzać tu więcej akcji. Historyczni

eprasa.pl 1b6002f8cf

góralscy esesmani nie pacyfikowali polskich wsi i ani razu nie pojawili się na Podhalu w niemieckich mundurach.

Nawet wyjątkowo nieuważny widz wychwyci, że niemiecki projekt wyłuskania górali z polskości okazał się klapą. „Mało ich" – rzuca skwaszony Hans Frank na ceremonii w Zakopanem, widząc szczupłe szeregi kolaborantów. Potem fikcyjny Brono Berg niemal dosłownie cytuje słowa historycznego szefa SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie Friedricha Krügera, że Goralenvolk okazał się całkowitym fiaskiem. Puenta ta powinna rozwiać wszelkie obawy związane z przesłaniem filmu.

Świat, w którym operują bohaterowie „Białej odwagi", jest równie ciekawy jak główny wątek polityczny. W tle opowieści o zdradzie i wierności wybrzmiewa góralska gwara, roi się od kierpców, portek, kłobuków i serdaków. Widzimy, jak na Podhalu się swata, pije się wódkę, tańcuje czy rodzi dzieci. Wizja ludowego obyczaju wciąga tu równie mocno jak w początkowych sekwencjach „Wołynia" Smarzowskiego. Tu nie ma cepeliady, tylko widać lud z krwi i kości, ze wszystkim, co w nim wspaniałe, a także podłe i bezrozumne.

Koszałka uchwycił bardzo ważny paradoks tkwiący w góralskiej duszy, którego nie dostrzeże przeciętny mieszkaniec nizin, z wyjątkiem bardziej spostrzegawczych turystów i taterników, którzy sportową pasję łączą z żyłką antropologa. Większość górali nie lubiła gór. Mogli czerpać z nich pieniądze, pozyskiwać drewno, paść owce, ale mało który z nich szedł w nie z czystej pasji. Wspinaczka to sprawa „panów". Owszem, można z nimi się powspinać, ale za dutki. Andrzej Zawrat idzie w góry, „bo są", i pokonuje ekstremalnie trudne trasy bez zabezpieczeń dla przyjemności. To dlatego dla reszty społeczności Podhala jest odmieńcem.

Nosicze

Podobno współczesne kino lubi łamać stereotypy, zwłaszcza w kwestiach obyczajowych. Prawda wygląda tak, że jedne obala chętnie, drugie zaś, często nieświadomie, utrwala. Tak dzieje się w „Białej odwadze" w scenach erotycznych. Bronka, typowa dziewczyna ze wsi, w czasie nocy poślubnej czy potajemnych schadzek w szałasach i stodołach jest bierna, cicha, czasem nieśmiała i spięta. Co innego wielkomiejska scenografka Helena, która fantazją, polotem i zmysłowością mogłaby obdzielić pół prudeyjnego Podhala. Takie przedstawienie kobiecych postaci jest jak najbardziej stereotypowe, bo przecież i wśród pozornie wyzwolonych przedstawicielek artystycznej bohemy znaleźlibyśmy istoty nad wyraz oziębłe, a na wsi namiętne i pełne fantazji.

Związek Podhalan domaga się obrazu, który pokazywałby pozytywne wątki historii Podhala. W „Białej odwadze" taki wątek jak najbardziej się pojawia i nie chodzi tylko o patriotyczne postawy Bronki Wetuli i Macieja Zawrata, ale o heroiczne zmagania człowieka ze skalnymi ścianami. Można śmiało powiedzieć, że sceny wspinaczkowe, które nakręcono w filmie, są najlepszymi w całej polskiej kinematografii fabularnej. Powstawały pod nadzorem znanego alpinisty Andrzeja Marcisza, który sam kręcił część z nich i osobiście przez rok szkolił Filipa Pławiaka, odtwórcę roli Andrzeja Zawrata.

Górski wątek filmu rozgrywa się na Kazalnicy oraz Mięguszowieckim Szczycie Wielkim. Są to jedne z trudniejszych ścian w polskich Tatrach. Twórcy filmu podeszli do sprawy ambitnie. Posłali na nie Pławiaka we własnej osobie, chcąc zapewne sprawdzić jego umiejętności w praktyce. Aktor sprostał zadaniu i dlatego udział dublerów i kaskaderów zredukowany jest w górskich sekwencjach do minimum.

Jeśli Pławiak będzie dalej tak poważnie podchodził do fizycznego przygotowania się do roli, to może stać się polskim Danielem Day-Lewisem. Ten aktor to prawdziwy mistrz rekonstrukcji. Przygotowując się do „Ostatniego Mohikanina", spędził kilka miesięcy w amerykańskich lasach, ucząc się przetrwania. Jadł tylko to, co zdołał upolować lub złowić, budował kanoe, a na planie filmowym nie rozstawał się z karabinem. Zanim przystąpił do zdjęć do „Boksera", intensywnie trenował pięściarstwo. Trener powiedział w pewnym momencie Day-Lewisowi, że spokojnie może stanąć do pojedynków na ringu z zawodowcami. Szalony Andrzej Zawrat wspina się bez asekuracji. Takiego ryzyka oczywiście ekipa filmowa nie podjęła względem Pławiaka, usuwając wspinaczkowe zabezpieczenia w postprodukcji. Historia zdobycia Kazalnicy przez Zawrata inspirowana jest prawdziwymi wydarzeniami. W 1942 r. Czesław Łapiński i Kazimierz Paszucha, łamiąc niemiecki zakaz chodzenia po Tatrach, zdobyli ową ścianę, ale oczywiście z asekuracją.

Sceny wspinaczki były nie tylko wyzwaniem kaskaderskim, lecz także logistycznym i… prawnym. Rozgrywają się bowiem na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego, a jest to włodarz nad wyraz srogi i nieprzejednany. Z racji ochrony przyrody ekipa filmowa nie mogła więc nocować w pobliżu ściany wspinaczkowej. Zapomnieć można było też o śmigłowcu, toteż sprzęt dostarczali na plecach słowaccy nosicze.

Reasumując – Związek Podhalan nie musi się obawiać „Białej odwagi", ponieważ górale nie zostali skrzywdzeni przez twórców filmu. Nie ma też powodu, by zakopiańskie kina wstydziły się tej produkcji. Górale zdali w czasie wojny egzamin i każdy widz na pewno wyjdzie z takim przeświadczeniem po seansie „Białej odwagi".

Niemieccy żołnierze w Zakopanem FOT. NAC

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

XIX w. / Burowie w poszukiwaniu nowej ojczyzny

Charles Davidson Bell, „Atak Zulusów na obóz Burów w 1838 r." FOT. WIKIPEDIA

Odyseja Wielkiego Treku

Anna Szczepańska

Biali z RPA wciąż pamiętają o bohaterskich wyczynach voortrekkerów, którzy niemal 200 lat temu szukali w niebezpiecznym południowoafrykańskim interiorze nowego domu

Sytuacja była dramatyczna. Buszmeni ostrzegli Hendrika Potgietera, że do jego obozowiska zbliża się duża grupa wojowników AmaNdebele, wysłanych przez króla Mzilikaziego. Trekkerzy nie mieli wyboru – ucieczka była niemożliwa i musieli podjąć walkę. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie mają szans. Około 35 mężczyzn i kilku chłopców lada chwila miało stanąć przeciwko 5 tys. tubylców. W rzeczywistości jednak, pomimo tak ogromnej dysproporcji sił, to Burowie mieli jednak przewagę.

Masywne wozy trekkerów powiązano w okrąg wokół szczytu wzgórza Vegkop, tworząc tzw. laager. Przerwy między nimi wypełniono ciernistymi gałęziami. W środku umieszczono cztery wozy nakryte grubymi skórami, gdzie ukryto kobiety i dzieci. Wojownicy AmaNdebele otoczyli laager i przystąpili do ataku, rzucając włóczniami i próbując wspiąć się po tarczach na wysokie wozy taboru. Trekkerzy raz po raz oddawali w ich kierunku strzały. Huk broni słychać było bez przerwy – kiedy mężczyźni strzelali, część kobiet i chłopców nabijała kolejne karabiny. Po godzinie zapadła cisza. Niemal 500 AmaNdebele poległo. Pozostali uciekli. Laager po raz kolejny spełnił swoje zadanie.

Wielki Trek jest dla białych mieszkańców Republiki Południowej Afryki jednym z „mitów założycielskich". Niezwykle ważne miejsce w zbiorowej pamięci zajmują też sami voortrekkerzy, czyli pierwsi Burowie, którzy zdecydowali się wyruszyć z Kolonii Przylądkowej na północ. Słowo „voortrekker" pochodzi z języka

eprasa.pl 1b6002f8cf

afrikaans i w wolnym tłumaczeniu znaczy „pionier". Voortrekkerzy (zwani też po prostu trekkerami) porównywani są do północnoamerykańskich osadników, którzy zasiedlali „Dziki Zachód". Obie grupy szukały nowego miejsca do życia i walczyły z miejscową ludnością, a nawet podróżowały tymi samymi środkami transportu: krytymi wozami ciągniętymi przez woły, zwanymi w języku afrikaans „ossewa" lub „kakebeenwoens".

Obecnie znaczenie Wielkiego Treku jest jednak coraz częściej kontestowane. Pojawiają się głosy, że Wielki Trek nie był wcale „wielki" i nie wyróżniał się niczym spośród innych migracji, które miały miejsce w XIX w. Jak „tradycyjną" historiografię pogodzić ze stosunkowo nowymi prądami teorii postkolonialnej, która podważa badania prowadzone z punktu widzenia białego człowieka? Czy uprawnione jest szufladkowanie trekkerów jako forpocztę kolonializmu? I wreszcie kto w Kolonii Przylądkowej u progu XIX w. był „swoim", a kto „obcym"?

Wokół przylądka

Przez wieki Europejczycy nie zapuszczali się na tereny na południe od równika. Według legend żyły tam dwunożne stwory bez głów, a ludzie stawali się czarni od palącego słońca. Pierwszym, który dotarł do Afryki Południowej, był Bartolomeu Dias. Dokonał tego w 1487 r. Europejskie osadnictwo rozwinęło się tam dopiero półtora wieku później. W połowie XVII w. pierwsze faktorie na terenie dzisiejszej RPA, gdzie zatrzymywały się statki zmierzające do Indii, stworzyła Holenderska Kompania Wschodnioindyjska.

Część pracowników Kompanii, wśród których dominowali Holendrzy (choć nie brakowało też Niemców i Francuzów, którzy szybko przyjęli język holenderski), postanowiła pozostać w Afryce. Vrijburgerzy, jak osadnicy się określili, zostali zwolnieni z podatków, otrzymali ziemię, a w zamian mieli uprawiać zboże na potrzeby Kompanii. Biała społeczność szybko się zasymilowała, a jej więzy ze Starym Kontynentem były coraz słabsze. O ile jeszcze żyjący w Kapsztadzie i okolicach tzw. Afrykanerzy czuli do Europy większy sentyment, o tyle żyjący na terenach wiejskich Burowie za swą jedyną „ojczyznę" uznawali Afrykę.

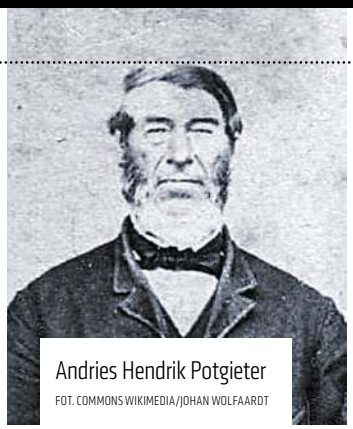

Andries Hendrik Potgieter

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/JOHAN WOLFAARDT

Król Mzilikazi

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Burowie od początku prowadzili ożywiony handel z Afrykanami i mieli rozeznanie w miejscowych układach politycznych. Wiedzieli, z kim handlować, a komu lepiej nie wchodzić w drogę. Z biegiem lat pojawiało się też coraz więcej bursko-afrykańskich małżeństw.

Trzecią grupą, wywodzącą się od białych pracowników Kompanii, byli tzw. trekburowie. Ludzie ci żyli na pograniczu, parali się głównie wypasem bydła, wędrując między rozrzuconymi po interiorze burskimi farmami a terenami należącymi do Afrykanów. Ich ekspansja na północ i wschód trwała do lat 70. XVIII w. Głównie za ich sprawą tereny należące do Kompanii powiększyły się dziesięciokrotnie. To oni także nalegali później na migrację na północ.

Pomimo licznych konfliktów z ludnością Khoisan i San na północy czy AmaXhosa (Bantu) na wschodzie, często też pomiędzy Afrykanami i Burami dochodziło do współpracy. Nierzadko Burowie i Khoisan zamieszkiwali w zgodzie ten sam obszar przez wiele lat, a gdzie indziej biali osadnicy zatrudniali się np. jako myśliwi lub najemnicy w wioskach AmaXhosa czy AmaThembu. Relacje te przynosiły profity obydwu stronom i – jak podkreśla prof. Michał Leśniewski w pracy „Wojna Burów z Zulusami 1837–1840" – w powiązaniach tych „niekoniecznie to osadnicy musieli być siłą dominującą".

Stosunkowo stabilny układ zachwiał się, kiedy u progu XIX w. Kolonia Przylądkowa znalazła się w rękach brytyjskich. Handel za pośrednictwem Brytyjczyków dawał większe możliwości, a Burowie szybciej się bogacili, lecz z drugiej strony musieli liczyć się z dużo bardziej wymagającą administracją. Brytyjczycy chcieli mieć w kolonii porządek. Chcieli też jasno wytyczonych i dobrze strzeżonych granic. Takie działania nie podobały się zarówno Burom, jak i Afrykanom. W 1815 r. doszło nawet do rebelii m.in. przeciwko zamknięciu wschodniej granicy, która do tej pory była dość „płynna".

Pierwszymi ludźmi, którzy zdecydowali się na migrację na północ, były grupy mieszanej ludności (m.in. potomkowie kobiet Khoisan i Burów), tj. Oorlam i Basterowie, który zasiedlili teren dzisiejszej południowej Namibii. Po nich na północ od rzeki Oranje zaczęli osiedlać się pojedynczy Burowie. Do połowy lat 30. XIX w. było to ok. 1,5 tys. osób, a w ciągu następnych pięciu lat – kolejne 5 tys. ludzi.

Nowe możliwości

Co wpłynęło na decyzję Burów o opuszczeniu Kolonii Przylądkowej? Najbardziej zasadniczym powodem masowej emigracji był niedobór ziemi. Wspomniane wyżej zamknięcie granicy uniemożliwiło swobodne poszukiwanie dobrych pastwisk czy handel z Afrykanami. Brytyjczycy zlikwidowali ponadto działający przez lata system dzierżawy farm, co sprawiło, że tysiące Burów zostało pozbawionych ziemi i zmuszonych zostało do szukania zatrudnienia na bogatych plantacjach. Nie bez znaczenia było też traktowanie w preferencyjny

eprasa.pl 1b6002f8cf

Relief z Voortrekker Monument w Pretorii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ JMK

sposób osadników przybyłych z Wielkiej Brytanii, którzy w pierwszej kolejności otrzymywali działki. Ponadto ograniczona ilość wolnych terenów oraz wzrost liczby ludności sprawiały, że coraz trudniej było o źródła wody.

Kolejnym powodem, choć niemającym takiego znaczenia, jak często się to podkreśla, było wprowadzenie przez Brytyjczyków zakazu niewolnictwa. Choć Burowie posiadali stosunkowo niewielu niewolników, to był to dla nich element prestiżu. Taka forma „nobilitacji" funkcjonowała zresztą w całej Afryce, także wśród czarnej ludności. Brytyjska administracja zaproponowała, co prawda, Burom zadośćuczynienie, lecz ekwiwalent pieniężny za poniesione straty można było odebrać… w Londynie. Oczywiście mało kogo stać było na taką podróż.

Ważnym motywem emigracji był wreszcie brak poczucia bezpieczeństwa. Sąsiadowanie z AmaXhosa i straty, które Burowie ponosili w czasie kolejnych konfliktów z tymi wojowniczymi Bantu, popychały ich do decyzji o zmianie miejsca zamieszkania.

Tymczasem od kilku dekad kolejne grupki trekburów, a także misjonarzy, myśliwych, poszukiwaczy przygód czy zwykłych awanturników, wyprawiały się na północ od rzeki Oranje. Do Kolonii Przylądkowej zaczęły coraz częściej docierać informacje o terenach Trans-Oranii, które jawiły się jako niemal niezamieszkane, bezkresne i obfitujące w pastwiska i źródła wody.

Największa fala trekkerów wyruszyła z Kolonii Przylądkowej na północ w 1836 r. Nie był to jednak początek procesu, lecz jego kulminacyjny moment. Trudno wskazać tak naprawdę, kiedy rozpoczął się Wielki Trek. Jak podaje prof. Leśniewski, dawniej sugerowano, że w latach 1831–1835 prowadzono tzw. treki rozpoznawcze, zanim z Kolonii wyruszyła największa migracja. Źródła nie potwierdzają jednak, jakoby przed rokiem 1836 ktoś prowadził zorganizowaną akcję eksploracyjną na nowych terenach. Wielki Trek jest zatem dłuższym procesem, w którego trakcie z Kolonii, w różnej wielkości osobnych trekach, wyruszyło łącznie kilkanaście tysięcy Burów.

Powszechnie za pierwszego voortekkera uważany jest Louis Tregardt, który rozpoczął wędrówkę w styczniu 1834 r. Niezgoda na brytyjskie poczynania w Kolonii narastała w nim od wielu lat. Tregardt, wraz ze swoim klanem, osiadł na wschodzie, na ziemiach należących do wodza Gcaleka-Xhosa. Został jego doradcą i parał się handlem bronią palną, którą dostarczał Afrykanom. W późniejszym okresie, w wyniku kolejnego konfliktu między Brytyjczykami, Burami i Xhosa, Tregardt przeniósł się na północ.

Niektórymi trekkerami kierowały jednak zgoła odmienne pobudki. Część z nich radziła sobie bowiem nieźle, nawet pod brytyjskimi rządami. Ci Burowie migrację traktowali poniekąd jako przygodę, a także szansę na zdobycie ziemi w Natalu, którą później, jak liczono, Brytyjczycy przyłączyliby do swojego dominium. Choć Burów, którzy liczyli na dalszą brytyjską protekcję, było stosunkowo niewielu, to i tę postawę warto wskazać, mając na względzie, jak różnymi motywami kierowali się voortekkerzy. Ponadto – jak pisze Leśniewski – „większość [Burów] nie chciała zupełnie zrywać kontaktów z Kapsztadem, gdyż byli uzależnieni od wielu towarów, szczególnie broni, amunicji i prochu".

Na północ!

Wielkim nadużyciem byłoby stwierdzenie, że tereny, na które zmierzali trekkerzy, były pustą ziemią. Choć nie były to obszary zaludnione tak gęsto jak te na wschodzie, gdzie znajdowały się władztwa AmaXhosa, to i na północ od Oranje nie brakowało licznych wodzostw, wśród których największe państwo Moshweshwe obejmowało obszar dzisiejszego Lesotho. „Przybywając na tereny na północ od rzeki Oranje, Burowie pragnęli zachować możliwie jak najlepsze stosunki z tubylczymi władcami, czego wyrazem były zawierane formalne porozumienia. Zdawali sobie sprawę, że antagonizowanie miejscowych społeczności, często dysponujących znacznymi siłami, byłoby nierozsądne. Co więcej, dla większości z nich ziemie między rzekami Oranje i Vaal były tylko przystankiem przed dalszą wędrówką – czy to do Transwalu, czy też do Natalu. Choćby z tego powodu przychylność lokalnych władców była konieczna dla powodzenia emigracji" – pisze Leśniewski.

Najbardziej wybijającymi się postaciami w czasie Wielkiego Treku stali się Gerrit Maritz, Piet Retief, Piet L. Uys oraz Andries W.J. Pretorius. Relacje między trekkerami a lokalnymi wodzami były na ogół dobre. Dla mieszkańców terenów pomiędzy rzekami Oranje i Vaal Burowie byli po prostu kolejną grupą ludności zamieszkującą region, która podobnie jak wiele innych migrowała w poszukiwaniu lepszego miejsca do życia. Inne podejście do trekkerów mieli natomiast AmaNdebele. Ich wpływy były rozległe i sięgały północnej Trans-Oranii, dokąd dotarli Burowie. Władca Mzilikazi od lat zwalczał ludy przybywające

RYS. MARZENA WŁOCZYK

eprasa.pl 1b6002f8cf

z południa. Trekkerów potraktował więc jako takich samych intruzów (co istotne, nie jako kolonistów!), co wcześniej np. ludy Grinqua.

Do pierwszego starcia między wojownikami Mzilikaziego i trekkerami doszło w sierpniu 1836 r. Po początkowych sukcesach AmaNdebele, którzy atakowali rozproszone obozy Burów, trekkerzy zjednoczyli się, wydając im bitwę na wzgórzu Vegkop. Dzięki zastosowaniu (popularnej w czasie całego Wielkiego Treku) taktyki, którą było połączenie wozów w okrąg, trekkerzy odparli atak Afrykanów. Stracili jednak większość bydła, owiec i kóz. Mimo małych strat w ludziach dalsza wędrówka klanów zaatakowanych przez Mzilikaziego nie miała sensu. Dzięki pomocy przyjaznego im wodza innego plemienia niektórzy wrócili wkrótce do Kolonii Przylądkowej.

Hendrik Potgieter, który dowodził starciem na wzgórzu, postanowił jednak odpłacić przeciwnikowi. Pod koniec 1836 r. zebrał chętnych do walki trekkerów i sprzymierzył się z wodzami grup Grinqua, Korana i BoRolong. Wspólnie uderzyli na Mzilikaziego i rozbili jego siły, uprowadzając przy tym prawie 7 tys. sztuk bydła. Do kolejnego starcia z AmaNdebele (w dolinie rzeki Mosega) doszło w październiku 1837 r. Ta bitwa też okazała się zwycięska dla voortrekkerów.

Porażka tego potężnego dotąd wodza zachęciła inne grupy Afrykanów do sięgnięcia po tereny i stada, które dotychczas znajdowały się pod jego panowaniem. W tym czasie na ziemiach Mzilikaziego (który zdecydował się ostatecznie na migrację na teren dzisiejszego Zimbabwe) pojawili się Zulusi z wodzem Dingane, bratem słynnego, nieżyjącego już Czaki. Wkrótce konflikt z Zulusami miał zdominować życie trekkerów próbujących zasiedlić tereny na północ od Kolonii Przylądkowej.

Blood River

Wraz z rosnącą liczbą trekkerów zmierzających na północ coraz pilniejsza stała się potrzeba konsolidacji i stworzenia ogólnego przywództwa. Jak dotąd trekkerzy skupieni byli w klanach czy grupach sąsiedzkich, gdzie „wodzem” byli głowa rodziny lub najlepszy dowódca. Tego typu rozproszona władza, gdzie ambicje poszczególnych przywódców brały górę nad interesami wspólnoty, nie mogła jednak sprawdzić się na dłuższą metę. Pod koniec 1836 r. większości trekkerów udało się więc dojść do porozumienia. Przewodniczącym Rady Wojennej został wówczas wybrany Hendrik Potgieter, a przewodniczącym Rady Obywatelskiej – Gerrit Maritz. Nie zniwelowało to wszystkich sporów, ale na jakiś czas uspokoiło napięcia. Sytuacja zmieniła się, kiedy wśród trekkerów pojawił się Piet Retief, znany wśród Burów przedsiębiorca, mający wielu znajomych także wśród brytyjskiej administracji. Retief był od lat bardzo popularny, a jednocześnie bardzo ambitny. Szybko zyskał poparcie większości trekkerów, którzy widzieli go jako przywódcę całej społeczności. W kwietniu 1836 r. Retief został wybrany gubernatorem vortrekkerów oraz przewodniczącym Rady Wojennej. Jego zastępcą został Maritz.

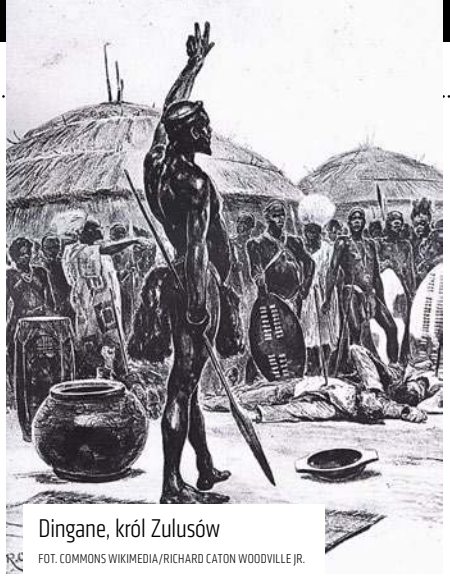

Dingane, król Zulusów

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/RICHARD CATON WOODVILLE JR.

Odsunięty na boczny tor Potgieter nie zgadzał się na władzę Retiefa. Nie chodziło przy tym jedynie o osobiste „porachunki” z bardziej popularnym trekkerem, lecz także o niezgodę na kierunek migracji, który popierali Retief i Maritz. Obaj bowiem chcieli, aby trekkerzy ruszyli do Natalu. Potgieter miał inną koncepcję – chciał osiedlić się jak najdalej od brytyjskiej władzy, w High Veldzie, a nawet jeszcze dalej, w Transwalu lub względnie blisko portugalskiego portu Lourenço Marques (dziś Maputo), który zapewniłby dostęp do towarów zza morza. Z kolei inny znany przywódca, Piet Uys, choć podzielał pomysł osiedlenia się w Natalu, to nie chciał władzy Retiefa. Dla ludzi takich jak on emigracja oznaczała przede wszystkim poszukiwanie nowych pastwisk i rynków zbytu dla towarów z Kolonii Przylądkowej. Ostatecznie spór pomiędzy Retiefem i Potgieterem oraz ich wizjami dalszej migracji zakończył się rozłamem wśród trekkerów. Część z nich powędrowała za Retiefem do Natalu, a część za jego oponentem do High Veldu. Nieliczni pozostali na terenach między rzekami Oranje i Vaal, mieszkając wśród Afrykanów.

Jeszcze w październiku 1837 r. Retief spotkał się z władcą Zulusów, Dingane, aby wynegocjować możliwość osiedlenia na terenie dzisiejszego KwaZulu-Natalu. Początkowo wydawało się, że trekkerzy porozumieją się z Zulusami. Dingane nie zamierzał jednak układać się z burskim przywódcą. Przez jakiś czas zwodził go, aby ostatecznie oskarżyć o ataki na jego ludność oraz kradzież bydła. W lutym 1838 r. Piet Retief i 70 jego towarzyszy zostało zabitych z rozkazu Dingane, kiedy opuścili granice jego stolicy. Krótko potem wódz Zulusów wysłał kilka tysięcy wojowników, aby rozprawili się z trekkerami, którym przewodził Retief. Zginęło wówczas ponad 500 osób.

Jeszcze w tym samym roku Burowie (ok. 470 trekkerów) przy wsparciu 60 Afrykanów, pod dowództwem Andriesa Pretoriusa, starli się z liczącymi ok. 10 tys. wojowników siłami Zulusów w bitwie nad Blood River. Dzięki taktyce połączonych w okrąg wozów i broni palnej Burowie odnieśli zdecydowane zwycięstwo. Niedługo potem przeciwko Dingane wystąpił jego brat M'Pande, który sprzymierzył się z trekkerami. Walki pomiędzy Burami i Zulusami trwały do stycznia 1840 r.

Symbolicznym końcem Wielkiego Treku było proklamowanie w 1839 r. Republiki Natalii. Istniała ona krótko, gdyż już w 1843 r. Brytyjczycy włączyli ją do swojej kolonii.

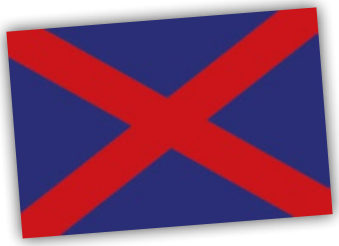

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA LITERATURA:
Greaves A., ***„The Great Trek”***; *Klerk de, P.*, ***„Was die Groot Trek werklik groot?”***; *Leśniewski M.*, ***„Wojna Burów z Zulusami 1837–1840”***; *Roos G.*, ***„The Great Trek”***.

eprasa.pl 1b6002f8cf

Dwudziestolecie międzywojenne / USA budują potęgę ZSRS

Amerykański sen Stalina

Mikołaj Iwanow

Udział firm z USA w budowie sowieckiego przemysłu był kluczowy dla rozwoju tego państwa. Po latach Amerykanie mogli sobie pluć w brodę, że rozkręcili potęgę ZSRS

W 1913 r., tuż przed rozpoczęciem pierwszej wojny światowej, Rosja zajmowała czwarte miejsce na liście najbardziej rozwiniętych przemysłowo państw świata. Według wyliczeń słynnego szwajcarskiego i amerykańskiego ekonomisty Paula Bairocha udział Rosji w światowej produkcji przemysłowej stanowił 8,2 proc. Rosja ustępowała wówczas pod tym względem jedynie Stanom Zjednoczonym, Niemcom i Wielkiej Brytanii. W 1940 r. sytuacja wyglądała już zupełnie inaczej, a Związek Sowiecki uplasował się na drugiej pozycji. Wyprzedzały go jedynie Stany Zjednoczone.

Jak to możliwe, że w ciągu zaledwie nieco ponad ćwierć wieku Rosja przekształciła się z państwa agrarnego w wiodącą przemysłową potęgę świata?

Ten „cud gospodarczy" dokonał się wbrew powszechnym zasadom, którymi rządzi się gospodarka rynkowa. Ceną za „cud" było ograbienie i niszczenie znacznej części własnego narodu. A wszystko to w imię złudnych idei i zwycięstwa zbrodniczej partii bolszewików, która postawiła sobie za cel osiągniecie dominacji nad światem – zarówno pod względem ideologicznym, jak i ekonomicznym.

eprasa.pl 1b6002f8cf

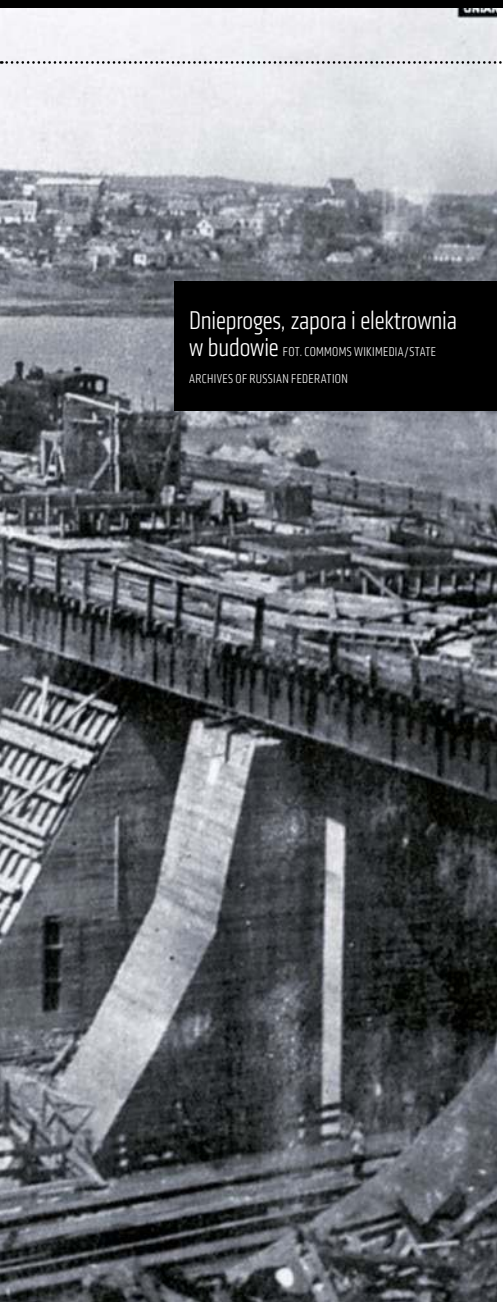

Dnieproges, zapora i elektrownia w budowie FOT. COMMOMS WIKIMEDIA/STATE ARCHIVES OF RUSSIAN FEDERATION

W 1921 r., tuż po zakończeniu wojny domowej, przywódca bolszewików Włodzimierz Lenin powiedział: „Albo zbudujemy potęgę gospodarczą, albo zostaniemy zmiażdżeni przez państwa kapitalistyczne". Nie od razu jednak partia bolszewików była zdolna przystąpić do tzw. industrializacji. Związek Sowiecki był na to gotowy dopiero pod koniec lat 20. Decyzję w tej sprawie podjęto na XVI Konferencji Komunistycznej Partii Bolszewików (kwiecień 1929 r.). Ogłoszono wtedy pierwszy plan pięcioletni, który miał zostać zrealizowany od 1 października 1928 r. do 1 października 1933 r. Plan ten, zaraz po zatwierdzeniu przez V Zjazd Rad ZSRS w maju 1929 r., przewidywał podjęcie wielu działań o charakterze gospodarczym, politycznym i ideologicznym, które miały symbolizować nową epokę w historii kraju i być „wielkim punktem zwrotnym".

ZSRS miał stworzyć nowe gałęzie przemysłu i pozyskać na Zachodzie nowe technologie, tworząc podstawy nowoczesnej gospodarki. Środki na te działania miała zapewnić głównie kolektywizacja rolnictwa, która tak naprawdę stała się narzędziem do skutecznego ograbienia chłopów i doprowadziła do straszliwego zubożenia wsi i potężnego głodu, który pochłonął do 8 mln istnień ludzkich. Partia w ten sposób jednak, w stosunkowo prosty sposób, zdecydowała o „przerzuceniu" środków ze wsi do miasta.

Wydawało się, że taki plan nie może się udać. Wsie znajdujące się pod sowieckim batem cierpiały okrutnie z powodu głodu i coraz wyższych norm narzucanych przez Moskwę. Sowietom sprzyjała jednak sytuacja na świecie. W tym czasie na Zachodzie zaczął się bowiem największy kryzys gospodarczy w historii. Produkcja przemysłowa skurczyła się gwałtownie w prawie wszystkich państwach świata, zamykano fabryki, a 17 mln ludzi zostało bez pracy. Wielki kryzys jednak, jak się okazało, wyraźnie sprzyjał za to Sowietom, którzy dążyli do osiągnięcia założonego przed laty celu: przyspieszonej modernizacji ZSRS.

Ford w Niżnym Nowogrodzie

Liderzy partii komunistycznej szybko zrozumieli, że nie da się tego zrobić samodzielnie, bez pomocy doświadczonych zagranicznych specjalistów i nowoczesnych technologii. Potrzebujących pomocy Sowietów dostrzeżono wtedy w Ameryce. W kręgach biznesowych coraz więcej zaczęto mówić o tym, że połączenie sowieckiego entuzjazmu rewolucyjnego z amerykańską efektywnością i doświadczeniem może przynieść korzyści obu krajom. Amerykańscy biznesmeni działali według zasady mówiącej, że kapitał nie ma narodowości. Możliwość zarobienia ogromnych pieniędzy i wyjścia z kryzysu ekonomicznego była dla nich okazją, której trudno było się oprzeć.

Plakat „2 + 2 plus entuzjazm pracujących = 5" FOT. COMMONS WIKIMEDIA/YAKOV GUMINER

W maju 1929 r. samochodowy król Ameryki, Henry Ford, podpisał ze Związkiem Sowieckim umowę o współpracy technologicznej. Firmę Ford można nazwać najważniejszym partnerem gospodarczym ZSRS. Ford Motor Company pomógł wyprodukować pierwszy sowiecki model samochodu Forda, podobny do tego produkowanego w Detroit. Oprócz samochodów bolszewicki rząd interesował się produkcją niedrogich i lekkich ciągników marki Fordson, produkowanych w Ameryce od 1918 r. Kierownik nowojorskiego oddziału firmy, Greg Plantif, uważał rynek sowiecki za najbardziej obiecujący. Jak pisał do Henry'ego Forda: „Jeśli zbudujemy fabryki samochodów w Rosji, to za 10 lat będziemy mogli tam robić prawie taki sam biznes, jak obecnie w Ameryce". Doradcy Forda stwierdzili, że firmie bardziej opłaca się budować fabryki traktorów i samochodów w ZSRS niż wysyłać gotowe produkty do tego kraju. W ten sposób już 1 lutego 1930 r. odbyło się uroczyste uruchomienie pierwszej montowni samochodów Forda w Niżnym Nowogrodzie.

Amerykańscy inżynierowie pracujący przy realizacji tego projektu nazwali go „początkiem nowej ery" dla Rosji. Setki sowieckich młodych robotników skierowano do Detroit, gdzie po przeszkoleniu zostali wykwalifikowanymi specjalistami. Amerykanie z aprobatą spoglądali też na rekrutowanie sowieckich chłopów i wysyłanie ich na

eprasa.pl 1b6002f8cf

kursy kierowców traktorów. Sądzono naiwnie, że w przeciwieństwie do zawodowych kierowców, którzy pracowali za wynagrodzenie, chłopi będą mieli osobisty interes w uprawie ziemi, a więc także w utrzymaniu sprzętu. W rzeczywistości w kołchozowych warunkach „zatrudnianie" chłopów było nową formą niewolnictwa.

Wśród amerykańskich inżynierów i robotników przybyłych do Niżnego Nowogrodu z fabryki Forda w Ameryce byli bracia Walter i Victor Reuther. Walter został później przywódcą związku zawodowego United Auto Workers. Bracia Reuther, pracując w ZSRS, ulegli komunizacji, „zainspirowani" ideą, że pomagają właśnie budować nowe społeczeństwo, którego celem jest położenie kresu wyzyskowi. Zachowane przez jednego z braci listy z 1932 r., które wysyłał do rodziny w USA, wskazują, jak naiwnie, ale jednocześnie z jak dużym entuzjazmem ludzie ci postrzegali zmiany w ZSRS, wierząc, że podobne „reformy" wcześniej czy później zostaną wprowadzone na całym świecie.

Swoją drogą paradoksem jest, że prym w pomocy udzielanej Sowietom wiedli właśnie Amerykanie, którzy notabene najdłużej opierali się dyplomatycznemu uznaniu Związku Sowieckiego. W momencie, kiedy do ZSRS szerokim strumieniem wlewali się amerykańskie technologie, inwestycje i wykwalifikowani specjaliści, między oboma państwami nie istniały nawet stosunki dyplomatyczne. Stany Zjednoczone uznały bowiem ZSRS dopiero w listopadzie 1933 r.

Sowiety – kraj możliwości

Główną rolę w promocji współpracy ZSRS-USA odegrała sowiecka firma Amtorg, założona w 1924 r. Pięć lat później Amtorg rozpoczął w Ameryce masową rekrutację. Poszukiwano inżynierów, techników i specjalistów w konkretnych dziedzinach do pracy w Rosji bolszewickiej. Amerykanom obiecywano doskonałe pensje (75 proc. w dolarach, 25 proc. w rublach) i dobre warunki życia. Amtorg głosił, że w Związku Sowieckim czeka ok. 12 tys. wolnych stanowisk pracy w różnych gałęziach przemysłu.

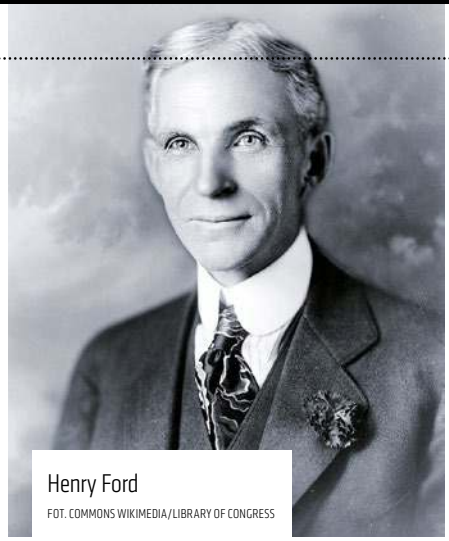

Henry Ford

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/LIBRARY OF CONGRESS

W tym samym czasie w licznych amerykańskich lewicowych periodykach ukazywały się ogłoszenia zachęcające do pracy w Związku Sowieckim. Pisano, że w kraju tym trwa właśnie „największy eksperyment w historii ludzkości, jest to kraj rozmaitych ludów, cudownej przyrody, zachwycającej architektury i egzotycznych cywilizacji". Ogłoszenia kusiły wysokimi zarobkami i obiecywały wielką przygodę: „Intelektualiści, inżynierowie, robotnicy wykwalifikowani, pracownicy sektora bankowego, mężczyźni i kobiety o różnych specjalnościach są serdecznie zapraszani do Rosji. Kraju, w którym odbywa się największy na świecie eksperyment społeczny". W rezultacie tylko w 1930 r. do firmy Amtorg wpłynęło ok. miliona wniosków o zatrudnienie.

Przy pomocy Amtorga władzom sowieckim udało się nawiązać kontakty z największymi organizacjami i firmami w Ameryce. Głównym doradcą finansowym i bankierem kredytującym firmy zaangażowane we współpracę z Sowietami był jeden z największych amerykańskich banków – Chase National Bank. Innym czołowym klientem i sponsorem Amtorga była Allied American Corporation (Alamerico), której właścicielami byli bracia Victor i Armand Hammer, znani ze swych sympatii komunistycznych.

Po Henrym Fordzie drugim najsłynniejszym amerykańskim biznesmenem działającym w Związku Sowieckim był Albert Kahn, który nazywany jest często „architektem Detroit". W wieku 26 lat Kahn otworzył własną, prężnie rozwijającą się firmę architektoniczną Albert Kahn Associates w Detroit. Kahn wykazywał się dużą pomysłowością. W swoich projektach wykorzystywał innowacje, dzięki którym produkcja była tańsza i wydajniejsza. Kahn zaczął brać udział w budowie fabryk w Rosji jeszcze przed wielkim kryzysem. Reputacja młodego architekta przyciągnęła do jego firmy tak dużych

Fabryka traktorów w Stalingradzie, 1930 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 1b6002f8cf

Ciężarówka GAZ AA produkowana na licencji Forda FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ SHINEPHANTOM TECHNICAL MUSEUM_TOGLIATTI

klientów, jak Ford, Chrysler i General Motors, a sam Henry Ford stał się jednym z najbliższych przyjaciół Kahna.

Firma Amtorg nieprzypadkowo wybrała spółkę Alberta Kahna jako głównego projektanta wielkich zakładów przemysłowych w ZSRS. Wcześniej, podczas budowy fabryk samochodów w USA, Alfred Kahn udowodnił, jak szybko można zaprojektować i zbudować zakłady produkcyjne. Pod jego nadzorem budynki fabryczne wznoszono w pięć miesięcy.

Historia budowy fabryki traktorów (czołgów) w Stalingradzie robi wrażenie. Prace projektowe prowadzone przez firmę Alberta Kahna rozpoczęły się w 1929 r. Natychmiast, w trybie pilnym, złożono zamówienia w firmach amerykańskich i w ciągu sześciu miesięcy niezbędny sprzęt przewieziono do ZSRS. Wielki kryzys wzmógł tylko chęć współpracy Amerykanów z Rosją – amerykańscy specjaliści sami dzwonili i telegrafowali do Sowietów, oferując intratne kontrakty.

Po Stalingradzie kolejną fabrykę traktorów zaczęto budować w Czelabińsku. W tym celu podpisano kontrakt z firmą Kahna opiewający na 2 mld dol. (dziś to w przybliżeniu 29 mld dol.). Albert Kahn nie tylko budował fabryki w ZSRS, lecz także był głównym koordynatorem wszystkich sowieckich zakupów w USA. Aby firma była bliżej swoich projektów, w Moskwie, pod okiem Moritza Kahna (brata Alberta), otwarto sowiecki oddział firmy pod nazwą Gosproektstroy. W tamtym czasie była to największa firma projektowa na świecie. Pracowało w niej 25 inżynierów amerykańskich i 2,5 tys. inżynierów sowieckich.

Wszystkie projekty Kahna powstały według tego samego modelu, co zaowocowało ogromnymi oszczędnościami czasu i pieniędzy. W ciągu trzech lat Albert Kahn zbudował w Rosji 570 obiektów: m.in. fabryk traktorów (czołgów), samolotów i samochodów, odlewni, kuźni, walcowni. Na podstawie projektów firmy Kahna zbudowano też m.in. potężną elektrownią wodną na Dnieprze (Dnieproges) i gigantyczne fabryki na Uralu – Uralmash i Uralvagonzavod – oraz fabrykę samochodów w Niżnym Nowogrodzie.

Udział firm amerykańskich w budowie sowieckiego przemysłu był kluczowy dla rozwoju tego państwa. Podczas drugiej wojny światowej ZSRS był w stanie przetrwać i zwyciężyć w dużej mierze dzięki stworzonym wcześniej fundamentom przemysłowym.

Nie tylko Amerykanie

Ogromny wkład w budowę sowieckiej potęgi przemysłowej wnieśli nie tylko Amerykanie, lecz także Niemcy. Jeszcze w czasach Republiki Weimarskiej, przed dojściem do władzy Adolfa Hitlera, liczne niemieckie firmy udzielały ZSRS pożyczek w ramach gwarancji rządu niemieckiego. Władze bolszewickie, mimo szalejącego głodu i śmierci milionów ludzi, kontynuowały na dużą skalę operacje eksportowe i importowe z krajami kapitalistycznymi, handlując przede wszystkim z Niemcami.

Ogólna wartość zamówień sowieckich złożonych w Niemczech w 1931 r. osiągnęła rekordową kwotę 919,2 mln marek. W pierwszej połowie 1932 r. ZSRS zakupił 50 proc. eksportowanych przez Niemcy żelaza i stali, 60 proc. sprzętu do robót ziemnych, 70 proc. wszystkich maszyn do obróbki metalu, 80 proc. dźwigów i blach oraz 90 proc. wszystkich turbin parowych, gazowych i kuźni parowych. W celu dalszej promocji niemieckiego eksportu Berlin, wspólnie z władzami sowieckimi, stworzył specjalną komisję do spraw weryfikacji efektów wykorzystania niemieckiego sprzętu dostarczonego do ZSRS. Ponieważ inwestycje kapitałowe w przemyśle ciężkim niemal natychmiast przekroczyły wcześniej planowaną kwotę i nadal rosły, emisja pieniądza gwałtownie wzrosła. W pierwszym planie pięcioletnim podaż pieniądza w obiegu była ponaddwukrotnie większa od wzrostu produkcji dóbr konsumpcyjnych, co doprowadziło do wzrostu cen i niedoborów towarów.

Znak spółki handlowej Amtorg FOT. COMMONS WIKIMEDIA/APETROV 09703

Jednym z głównych efektów industrializacji była likwidacja zacofania ekonomicznego ZSRS w porównaniu z rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi. Niektórzy historycy twierdzą jednak, że opóźnienie, z którym komuniści walczyli, było przede wszystkim konsekwencją samej bolszewickiej rewolucji październikowej. W latach 1885–1913 Rosja zajmowała czwarte miejsce w światowej produkcji przemysłowej, przy średnim tempie wzrostu gospodarczego wynoszącym 1,7 proc., a w wyniku rewolucji i wojny domowej do 1921 r. poziom produkcji spadł dziewięciokrotnie w porównaniu z rokiem 1916.

Wiele współczesnych badań dowodzi, że tempo wzrostu PKB w ZSRS w latach 1930–1938 (6,3 proc.) było porównywalne ze wskaźnikami w Niemczech (4,4 proc.) i Japonii (6,3 proc.), a jednocześnie znacząco przewyższało wskaźniki wzrostu w Wielkiej Brytanii, we Francji i w USA, których gospodarki zostały rozchwiane przez wielki kryzys.

Mając na uwadze powyższe dane, warto na koniec zwrócić uwagę, że Japonii, w przeciwieństwie do Związku Sowieckiego, udało się osiągnąć wyższy poziom produktywności i dobrobytu obywateli bez represji i bez niszczenia rolnictwa kolektywizacją. Związek Sowiecki cechował natomiast autorytaryzm, a w gospodarce panowało centralne planowanie. Industrializacja i szybki rozwój gospodarczy państwa Stalina prawdopodobnie nie byłyby możliwe bez bezprecedensowych wyrzeczeń jego ludności i straszliwych ofiar.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

Napoleon Zervas i oficerowie EDES-EOEA

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

1941–1944 / Epopeja EDES-EOEA

Chwała i hańba greckich partyzantów

Arkadiusz Karbowiak

Choć początkowo prawicowe podziemie w Grecji nie chciało prowadzić walk partyzanckich, to ostatecznie musiało je rozpocząć. EDES–EOEA miały ogromne zasługi dla zwalczania komunistów, ale ich żołnierze dopuścili się także bestialskich czynów

Antyniemiecki ruch oporu działający w Grecji kojarzony jest zazwyczaj ze strukturami podziemia komunistycznego. Formalnie EAM, czyli Front Wyzwolenia Narodowego, oraz jego siły zbrojne ELAS (Grecka Armia Ludowo-Wyzwoleńcza) były organizacjami powołanymi przez koalicję kilku ugrupowań lewicowych. Wśród nich wiodącą rolę odgrywała faktycznie Komunistyczna Partia Grecji.

Nie tylko skrajna lewica tworzyła w okresie niemieckiej okupacji Grecji formacje konspiracyjne i partyzanckie. Swoje organizacje formowały także siły szeroko rozumianej prawicy. Jednymi z nich były (znacznie słabsza od EAM-ELAS) Narodowo-Republikańska Liga Grecka (EDES) i jej zbrojne ramię pod nazwą Narodowe Oddziały Greckich Partyzantów (EOEA). Razem liczyły one w okresie największego rozkwitu, a więc w lipcu 1944 r., 6 tys. członków.

Rozbieżne cele

Geneza powstania EDES wiąże się z gen. Nikolaosem Plastirasem, przebywającym na emigracji we Francji opozycjonistą, przeciwnym dyktaturze Ioannisa Metaxasa. Plastiras, po upadku Grecji wiosną 1941 r., wysłał do kraju swego bliskiego współpracownika Komninosa Pyromaglou. Jego zadaniem była budowa niezależnej od rządu na uchodźstwie i króla Jerzego II (kojarzonych z przed-

eprasa.pl 1b6002f8cf

wojennymi rządami autorytarnymi) organizacji podziemnej o charakterze republikańskim i socjalistycznym. Zadanie to, ze względu na pasywną postawę wielu greckich polityków, okazało się trudne do zrealizowania.

Zasadniczym problemem był brak cieszącego się charyzmą i odpowiednimi umiejętnościami organizacyjnymi przywódcy. Ostatecznie Pyromaglou nawiązał kontakt z płk. Napoleonem Zervasem, który był jednak krytycznie postrzegany przez Plastirasa. Mimo to 9 września 1941 r. Zervas objął kierownictwo powstałej tego dnia EDES. Pyromaglou został jej sekretarzem generalnym.

Program EDES był bardzo radykalny w sferze gospodarczej i społecznej, a w materii politycznej uchodził za demokratyczny, republikański i antymonarchistyczny. Co ciekawe, nie zawarto w nim odniesień do walki przeciwko okupantom. Liderzy EDES nie widzieli konieczności inicjowania masowego ruchu oporu i angażowania w działania konspiracyjne ludności.

Z czasem sytuacja polityczna w podziemiu, a przede wszystkim rosnąca pozycja EAM-ELAS, wymusiła na przywódcach EDES-EOEA weryfikację początkowych założeń. Napoleon Zervas, pomimo niechęci do podejmowania walki partyzanckiej, zmuszony został rozpocząć ją, na co presję wywierali Brytyjczycy, płacący zresztą EDES, aby podjęła takie działania.

Góry Epiru stały się matecznikiem partyzantki EDES-EOEA. Nie wszyscy jednak powitali formowanie takich struktur z entuzjazmem. Część działaczy z kierownictwa ateńskiej EDES oceniła tę decyzję jako bezsensowną. W ich przekonaniu głównym wrogiem EDES była formacja EAM-ELAS i to przeciwko komunistom zdecydowali się oni wystąpić, wspierając w tym różne kolaborujące z Niemcami formacje, m.in. Bataliony Bezpieczeństwa utworzone przez grecki rząd Ioannisa Rallisa. Te decyzje sparaliżowały podziemną siatkę EDES w stolicy i doprowadziły do rozłamu.

Tymczasem wraz z intensyfikacją walk na afrykańskim teatrze działań wojennych Brytyjczycy skupiali coraz większą uwagę na greckich szlakach komunikacyjnych, którymi transportowano 80 proc. zaopatrzenia dla wojsk feldmarsz. Erwina Rommla. Celem priorytetowym stało się ich zniszczenie. Pierwszą próbą była operacja „Harling", czyli wysadzenie mostu Gorgopotamos. Przeprowadzili ją 25 listopada 1942 r. brytyjscy komandosi ze Special Operations Executive (SOE) wspierani przez 86 partyzantów ELAS oraz 52 z EDES. Akcja, choć udana, nie przyniosła jednak długookresowych rezultatów, gdyż włoscy saperzy w ciągu 19 dni przywrócili most do użytku. Brytyjczycy biorący udział w tej akcji zostali później włączeni do Brytyjskiej Misji Wojskowej (BMM) w Grecji.

Nikolaos Plastiras

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Antymonarchiści

Operacja „Harling" była swoistym probierzem dla realizacji perspektywicznej wizji SOE, która zakładała prowadzenie wspólnych działań z różnymi odłamami greckiego ruchu oporu. Te oczekiwania zderzyły się z narastającą wrogością pomiędzy próbującymi zmonopolizować ruch oporu EAM-ELAS i pozostałymi ugrupowaniami partyzanckimi.

Sam Zervas, widząc zagrożenie ze strony komunistów i niebezpieczeństwo przejęcia przez nich po wojnie władzy, postanowił usadowić się na pozycji głównego sojusznika Wielkiej Brytanii w okupowanej Grecji, stając się czołowym reprezentantem obozu antykomunistycznego w ramach greckiego ruchu oporu. Aby przekonać do siebie Brytyjczyków, dokonał nawet ideowej wolty, godząc się z koncepcją brytyjską mówiącą, aby po zakończeniu wojny przywrócić na tron króla Jerzego II. Pierwszym sygnałem świadczącym, że Zervas zmienia zdanie odnośnie do greckiej monarchii, było wysłanie do przebywającego na emigracji w Egipcie króla depeszy gratulacyjnej z okazji Święta Niepodległości Grecji. Zervas zrobił to 25 marca 1943 r., zresztą za radą brytyjskiego wojskowego, mjr. Christophera Woodhousa. Niedługo później, już z własnej inicjatywy, wysłał do monarchy kolejną depeszę, w której pisał, że mógłby być pierwszą osobą witającą króla, gdyby naród grecki wydał w kwestii jego powrotu pozytywną opinię, ale uczyniłby to nawet wówczas, gdyby tak się nie stało.

Za pomocą tych gestów, stanowiących de facto odrzucenie socjalistyczno-republikańskich idei, Zervas pokazywał, że EDES-EOEA jest jedyną probrytyjską i niekomunistyczną alternatywą wobec ELAS, wierną królowi i monarchii. Ta ewolucja zaowocowała nie tylko akcesem do EDES wielu sceptycznie dotychczas nastawionych, antykomunistycznych rojalistów, lecz także pozytywnymi reakcjami ze strony Brytyjczyków (np. w postaci dostaw sprzętu wojskowego). EDES-EOEA zostały otoczone przez Londyn politycznym parasolem ochronnym. Miał się on wkrótce przydać w związku z eskalacją konfliktu z EAM-ELAS. Ponadto, dzięki wsparciu Brytyjczyków, EDES-EOEA ominął los innych podziemnych ugrupowań, które zostały zlikwidowane przez komunistów.

Bez względu jednak na poparcie brytyjskiego rządu napięcie między EDES-EOEA i EAM-ELAS stale rosło. 7 maja 1943 r. w Termie oddział ELAS aresztował dowódcę jednej z grup EDES, George'a N. Papaioannou, żądając przekazania broni pochodzącej z alianckich zrzutów. Konflikt udało się rozwiązać dzięki mediacji oficerów BMM. Niedługo później, aby utemperować radykalizm ELAS, Brytyjczycy zainicjowali proces podporządkowania wszystkich oddziałów partyzanckich jednolitemu dowództwu Joint General Headquarters. Wbrew nadziejom nie zapobiegło to jednak wybuchowi konfliktu pomiędzy EDES-EOEA a EAM-ELAS. Wpływ na zaostrzenie sytuacji miały z pewnością nieudane rozmowy delegacji EAM, prowadzone

eprasa.pl 1b6002f8cf

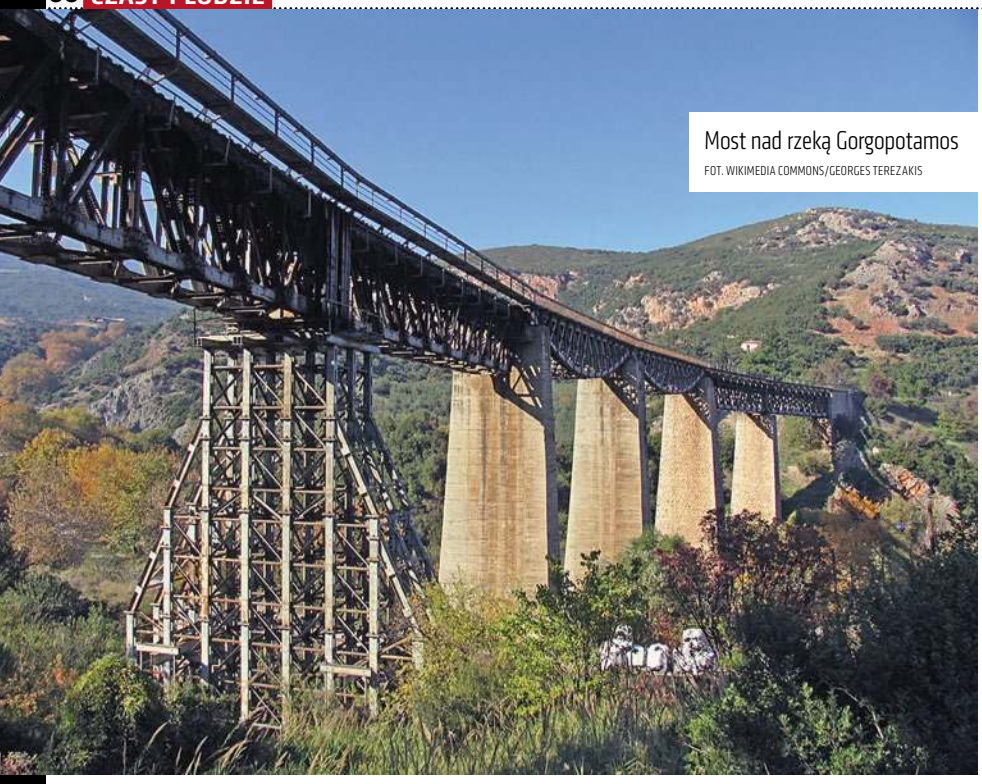

Most nad rzeką Gorgopotamos
FOT. WIKIMEDIA COMMONS/GEORGES TEREZAKIS

na emigracji, w kwestii powołania nowego powojennego rządu.

Niepewny sojusz

W nocy z 9 na 10 października 1943 r. doszło do zbrojnych starć między oboma organizacjami, m.in. w Epirze. Przewaga ELAS sprawiła, że prawicowi partyzanci zostali wyparci z dotychczas zajmowanych obszarów. Dodatkowo Niemcy rozpoczęli skierowaną przeciw nim operację antypartyzancką „Panther". Równoczesna walka z dwoma silniejszymi przeciwnikami leżała poza możliwościami sił EOEA. Pułkownik Zervas początkowo chciał zaatakować komunistów, lecz obawiał się, że w tym czasie na jego jednostki spadnie uderzenie wojsk niemieckich. Z tego względu w grudniu 1943 r. zdecydował się nawiązać kontakt z niemiecką 104. Jäger Division. Grecy przekazali Niemcom, że nie będą prowadzić działań dywersyjnych, jeśli oni nie będą ich atakować. Wówczas EOEA mogła skupić się na walkach z ELAS.

W połowie stycznia 1944 r. ofensywa EDES-EOEA przeciw „czerwonym" przyniosła chwilowe sukcesy. Wkrótce jednak podkomendni Zervasa, m.in. z powodu braku amunicji, zostali zepchnięci na tereny, gdzie mogli zostać zniszczeni przez XXII Korpus Górski. Było jasne, że tylko dobra wola Niemców może dać im szansę na przetrwanie. 31 stycznia członek EDES, kpt Sarandis, skontaktował się z niemieckim dywizyjnym oficerem wywiadu, przedstawiając mu propozycję ataku Wehrmachtu na siły ELAS. 3 lutego 1944 r., za aprobatą dowódcy Grupy Armii E gen. Löhra, 104. Dywizja Strzelców przeprowadziła tę operację.

Abstrahując od wspomnianych wcześniej prób zawarcia zawieszenia broni między EDES-EOEA a niektórymi niemieckimi jednostkami, należy wspomnieć, że greckie oddziały od lata 1943 r. toczyły na obszarze Epiru zacięte boje z Włochami oraz z siłami niemieckiej 1. Gebirgs Division. 3 października 1943 r. partyzantom udało nawet przypadkowo zabić Oberstleutnanta Josefa Salmingera, dowódcę 98. Pułku Strzelców Górskich (w odwecie Niemcy rozstrzelali 85 mieszkańców wsi Ligiades).

Te negatywne doświadczenia we wzajemnych kontaktach nie powstrzymały jednak obu stron przed zawarciem rozejmu, nazwanego „dżentelmeńskim porozumieniem", który trwał od lutego do czerwca 1944 r. Dzięki tej niepisanej umowie komuniści z ELAS, ponoszący porażki z rąk Niemców i odcięci od zrzutów brytyjskiego uzbrojenia, nie tylko zostali osłabieni, lecz także byli skłonni zakończyć walki z EDES-EOEA. W efekcie 29 lutego 1944 r. w Place doszło do podpisania porozumienia kończącego tzw. pierwszy etap wojny domowej w Grecji. W taki sposób Zervasowi – dzięki pewnym porozumieniom z Niemcami i politycznemu wsparciu Brytyjczyków – udało się uchronić EDES przed zagładą. Wbrew jednak formułowanym po wojnie opiniom Zervas nie podjął nigdy kolaboracji z Niemcami, choć prawdą jest, że jego ludzie przez kilka miesięcy nie prowadzili przeciwko nim działań.

Krwawa zemsta

W czerwcu 1944 r. Brytyjczycy rozkazali EDES-EOEA oczyścić Epir z sił niemieckich. Było to związane z przygotowaniami do operacji „Manna". Tereny Tesprotii objęte planowanymi operacjami zamieszkane były wówczas przez liczącą ok. 24 tys. osób muzułmańską społeczność albańskich Czamów. Część z nich współpracowała z włoskimi, a potem niemieckimi okupantami. 11 lipca 1941 r. Włosi mianowali wysokim komisarzem w Tesprotii Dżemila Dino, pełniącego przez krótki czas po zajęciu Albanii w kwietniu 1939 r. funkcję szefa MSZ w gabinecie Shefqeta Verlaçiego. Być może owa nominacja miała być wstępem do aneksji Czamurii i utworzenia pod patronatem Włoch tzw. Wielkiej Albanii. Jednak ostatecznie Rzym się na to nie zdecydował, m.in. z powodu sprzeciwu Berlina, który uznał za zasadne protesty kolaboracyjnego rządu greckiego gen. Georgiosa Tsolakoglou.

Przełomem stało się powołanie do życia Keshilii, czyli albańskiej struktury polityczno-administracyjnej, na co zgodę wydali Niemcy. Przejęła ona nadzór nad administracją, samorządem, policją i sądownictwem w miejscowościach zamieszkanych przez muzułmanów. Na jej czele stanęli bracia Mazar i Nuri Dino. Ataki kierowanych przez nich albańskich oddziałów paramilitarnych na greckie wsie, policjantów i urzędników wywoływały, co zrozumiałe, podobne reakcje ze strony greckiego podziemia. Latem 1943 r. na ten pogłębiający się konflikt nałożyła się wojna partyzancka pomiędzy EDES-EOAE a przybyłą na te tereny niemiecką 1. Gebirgs Division, która

eprasa.pl 1b6002f8cf

Partyzanci EAM-ELAS
FOT. WIKIMEDIA COMMONS/SJT. JOHNSON

w ramach doktryny Bandenbekämpfung prowadziła bezwzględne represje. Z Niemcami współpracowały też nieduże oddziały złożone z albańskich Czamów.

Symbolem krwawego terroru były wydarzenia, które rozegrały się we wrześniu 1943 r., kiedy sześcioosobowy niemiecki patrol wpadł w zasadzkę. Jednemu z żołnierzy udało się uciec, lecz pozostałych rozmundurowano i rozstrzelano. Egzekucję odwetową przeprowadzono 29 września 1943 r. m.in. w miejscowości Paramythia. Prawdopodobnie na podstawie listy sporządzonej przez Nuriego Dino milicja albańska i żołnierze Wehrmachtu aresztowali 53 Greków ze środowiska miejscowej inteligencji. Czterech z nich zwolniono, a pozostałych rozstrzelano (członkami plutonu egzekucyjnego byli Albańczycy i Niemcy). Wydarzenie to pozostało w pamięci Greków i wpłynęło na wzrost nienawiści pomiędzy nimi a Albańczykami i choć nie wszyscy Czamowie popierali politykę braci Dino, to zaczęto ich postrzegać en bloc jako kolaborantów.

O tym, jak tragiczne konsekwencje przyniósł ów konflikt na tle etnicznym, Albańczycy przekonali się w połowie 1944 r., kiedy do wykonania brytyjskich rozkazów przystąpiła 10. Dywizja EDES-EOEA (konkretnie 16. Pułk EDES pod dowództwem mjr. Aristidesa Kraniasa), która w dniach 26–27 czerwca 1944 r. wyzwoliła pierwsze miasto greckie, Paramythię. Zdobycie miejscowości zaowocowało jedną z największych masakr dokonanych na terenie Grecji w okresie drugiej wojny światowej. Dowodzący poszczególnymi pododdziałami oficerowie nie potrafili utrzymać dyscypliny wśród podkomendnych. Żądni zemsty partyzanci wraz z grecką ludnością cywilną dokonali wielu mordów na Albańczykach. W ciągu dwóch dni w Paramythii zamordowano od 328 do 600 kobiet i mężczyzn. Nie było to jednostkowe wydarzenie. Do kolejnych morderczych ekscesów doszło w miastach Parga, gdzie zabito 57 osób, czy Filiates, gdzie śmierć poniosło 259 osób. W sumie ofiarami rzezi padło ok. 1,2 tys. Czamów (wśród nich byli kolaboranci). Popełnione zbrodnie spowodowały ucieczkę do Albanii praktycznie całej albańskiej populacji (22–24 tys. osób).

Jednak nie tylko haniebne, lecz także bohaterskie czyny stały się udziałem partyzantów z EDES-EOEA. Zdarzenia świadczące o ich odwadze miały miejsce np. podczas bitwy pod Meniną. W dniach 17–18 sierpnia 1944 r. miejscowość szturmowały samodzielny 3/40. Pułk EDES pod dowództwem mjr. Georgiosa Agorosa i wspomniana 10. Dywizja EDES-EOEA ppłk. Vasiliosa Karamasa. Niemiecki 250-osobowy garnizon wspierany przez 150 Czamów bronił się z niezwykłą determinacją. Dopiero po dwóch dniach walk i użyciu zdobycznego działa artyleryjskiego Niemcy i ich albańscy sojusznicy się poddali. Zginęło 89 obrońców, 58 odniosło ranny, a do niewoli oddało się 109. Po stronie atakujących śmierć poniosło 25 partyzantów, a 40 było rannych.

Dwa miesiące po tych wydarzeniach Grecja została wyzwolona, lecz nie był to koniec walk. W grudniu 1944 r. doszło do kolejnej fazy wewnętrznej konfrontacji.

Jerzy II
FOT. WIKIMEDIA COMMONS/UNITED STATES OFFICE OF WAR INFORMATION

Naprzeciw siebie stanęły z jednej strony greckie siły rządowe wspierane przez Brytyjczyków i oddziały EDES-EOEA, a z drugiej dywizje ELAS. Tym razem płk. Zervasowi nie udało powstrzymać naporu komunistów. Partyzanci EDES-EOEA zostali pod koniec grudnia 1944 r. wyparci z Epiru, a marynarki wojenne brytyjska i grecka ewakuowały ich na wyspę Korfu. Tuż po podpisaniu porozumienia w Varkizie zawartego w lutym 1945 r. wielu z nich powróciło w górskie rejony w mundurach Gwardii Narodowej. Napoleon Zervas został politykiem w powojennej Grecji. W 1947 r., podczas wojny domowej, pełnił przez krótki czas funkcję ministra porządku publicznego, a w latach 1950–1951 był ministrem robót publicznych. Zmarł 10 grudnia 1957 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

LITERATURA:

Close D.H., ***„The Origins of the Greek Civil War"***; *Kalogrias V., Mihailović D.*, ***„Napoleon Zervas: A comparative analysis of Resistance and Collaboration in Serbia and Greece (1941–1944)"***; *Llalla A.P.*, ***„The Greek collaborationists, designers and leaders of the genocide in Chameri (1944–1945)"***; *Manta E.*, ***„The Çams of Albania and the Greek State (1923–1945)"***; *Petrov B.*, ***„Genesis and Formation of the two Wings of National Resistance in the Occupied Balkan Countries During World War II"***; *Petrov B.*, ***„National Republican Greek League (EDES), 1941–944: Discarded Principles and Ambiguous Activities"***; *Tsoutsoumpis S.*, ***„Violence, resistance and collaboration in a Greek borderland: the case of the Muslim Chams of Epirus"***; *Richter H.*, ***„Napoleon Zervas und die britischen Verbindungsoffiziere".***

eprasa.pl 1b6002f8cf

Leon Prauziński, „Szturm na prezydium policji". Scena z powstania wielkopolskiego FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

„Prekonsultacje" MEN / O co chodzi nowym władzom?

Pokreślona historia

Tomasz Stańczyk

Propozycje zmian w nauczaniu historii w liceach i technikach nie tylko zmierzają do „odchudzenia" materiału i wymagań, lecz także służą cenzurowaniu historii Polski i zamienieniu jej w karykaturę

Przede wszystkim uderzające są niechęć do przedstawiania pozytywnej roli Kościoła katolickiego w dziejach Polski oraz tendencja do pomniejszania negatywnej roli Niemiec, w tym oględne traktowanie niemieckich zbrodni. W skreśleniach widoczna jest awersja do korzystnego dla przedrozbiorowej Rzeczypospolitej porównywania jej z Europą Zachodnią oraz do pokazywania atrakcyjności kultury polskiej dla innych narodów.

Innym zabiegiem „skreślarzy" z Ministerstwa Edukacji Narodowej jest – podczas omawiania różnych postaw społecznych – pomijanie konkretnych osób, które uważamy za wielkich Polaków, oraz gumkowanie symbolicznych dla społeczeństwa polskiego miejsc pamięci. Słowa „bohaterstwo" i „patriotyzm" są wykreślane. Omawiane poniżej propozycje skreśleń zawarte są w dokumencie MEN „Historia z 2022 dla LO i T", czyli dla szkół średnich, dostępnym na stronie ministerstwa. Postulowane zmiany, przedstawione w formie „prekonsultacji", są zapewne „balonem próbnym", sondowaniem, jak daleko można się posunąć w „odchudzaniu" nauczania historii. Gdy oddawaliśmy do druku ten numer „HDR", decyzje w sprawie programu nauczania historii jeszcze nie zapadły, ale już pojawiły się pierwsze protesty. Być może pod ich wpływem MEN wycofa się z części, a może nawet z większości skreśleń, ale i tak pozostaną one w pamięci jako próba ideologicznego przemodelowania nauczania historii.

Bez tolerancji

Podczas omawiania rozbicia dzielnicowego nie będzie się już mówiło na poziomie podstawowym o zagrożeniach zewnętrznych, m.in. o kojarzonych z niemieckim Drang nach Osten marchii brandenburskiej i zakonie krzyżackim. Ofiarą „odchudzania" padła także atrakcyjność Polski dla mieszkańców państwa zakonu krzyżackiego.

Z programu rozszerzonego miałaby zniknąć tolerancyjna postawa Kazimierza Wielkiego wobec Żydów na tle ich sytuacji w Europie Zachodniej. Omawianie stosunków wyznaniowych w Rzeczypospolitej w XVI w. będzie się odbywało bez korzystnego dla niej porównania z tym, co działo się na Zachodzie (wojny religijne). O wojnach, które prowadziła w XVII stuleciu Rzeczpospolita, będzie mowa w programie rozszerzonym, ale bez szczególnego uwzględniania wybitnych wodzów: Stanisława Żółkiewskiego, Jana Karola Chodkiewicza, Stefana Czarnieckiego i Jana Sobieskiego. Te nazwiska zostały skreślone. Z poziomu rozszerzonego ma też zniknąć wiedza o kulturowej roli Polski w przeniesieniu wzorców cywilizacji zachodniej na ziemie ruskie i litewskie. MEN uznało też, że na poziome podstawowym niepotrzebna jest uczniowi wiedza o skutkach zniszczenia Rzeczypospolitej dla europejskiego ładu.

Zaproponowano wykreślenie roli polskiego kodu kulturowego (język, wiara) dla podtrzymania świadomości narodowej podczas zaborów. „Skreślarzom"

eprasa.pl 1b6002f8cf

z MEN szczególnie chodzi o wiarę, skoro na poziomie podstawowym zniknąć ma wiedza o wpływie ożywienia religijnego (Gietrzwałd, Jasna Góra, Ostra Brama) na polski patriotyzm.

Przy omawianiu działalności polskiego państwa podziemnego w latach 1863–1864 nie trzeba szczególnie uwzględniać Romualda Traugutta, który przecież był twarzą powstania styczniowego. Na poziomie podstawowym mają też zniknąć temat polskości (a więc i germanizacji Polaków) na Górnym Śląsku, Warmii i Mazurach w czasach niemieckich, oraz atrakcyjność kultury polskiej dla obcokrajowców i przykłady twórczej działalności spolonizowanych cudzoziemców.

Bez dumy

Według propozycji MEN na poziomie podstawowym uczeń nie musi znać dokonań pierwszych lat odbudowy Polski po 1918 r., w tym unifikacji państwa oraz reform Grabskiego. Skreślono „reformy gospodarcze Kwiatkowskiego, rozwój Gdyni, Centralny Okręg Przemysłowy".

Uznano, że na poziomie podstawowym nie potrzeba obciążać ucznia wiedzą o powstaniu wielkopolskim i jego roli w odrodzeniu państwa polskiego i obronie jego niepodległości (będzie o nim mowa jedynie podczas omawiania kształtowania się granic). Zdaniem MEN uczeń nie musi potrafić ocenić wpływu Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego na wskrzeszenie Polski.

Uznano również, że w podstawowym programie nauczania historii jest zbędna wiedza o represjach w Związku Sowieckim, a tym samym o jednej z największych zbrodni na Polakach – tzw. operacji polskiej NKWD.

Na poziomie rozszerzonym uznano za zbędną ocenę znaczenia zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej 1920 r. z perspektywy polskiej i europejskiej oraz wiedzę o takich symbolicznych miejscach jak m.in. Grób Nieznanego Żołnierza i cmentarz Obrońców Lwowa.

Uczeń powinien znać przykłady polskiego bohaterstwa we wrześniu 1939 r., skreślono jednak Westerplatte, obronę Warszawy, Wiznę, Kock. Owszem, przykładów bohaterstwa było znacznie więcej, ale te, które padły ofiarą „skreślarzy",

Witold Pilecki. Zdjęcie sygnalityczne Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego FOT. IPN

były i są w pamięci Polaków symbolami najbardziej wyrazistymi.

W programie nauczania ma być mowa o zbrodniach obu okupantów we wrześniu 1939 r., ale bez konkretów! Ofiarą „odchudzania" padły także materialne i demograficzne skutki przegranej przez Polskę wojny, a więc zapewne też deportacje z Kresów Wschodnich.

Uczeń powinien wiedzieć o podziale II RP pomiędzy Niemcy i Rosję sowiecką, ale już nie o współpracy tych państw w latach 1939–1941. Zbrodnie popełnione przez obu okupantów na Polakach będą omawiane, ale najwyraźniej bez Palmir, Piaśnicy, Ponar czy niemieckiego obozu dla polskich dzieci w Łodzi. Te przykłady zostały skreślone. Jak nauczyciel ma mówić o zbrodniach, nie podając najbardziej drastycznych przykładów? Według propozycji MEN uczeń nie będzie musiał znać sposobów upamiętniania zbrodni obu okupantów i heroizmu Polaków na przykładzie Muzeum Powstania Warszawskiego, Polskiego Cmentarza Wojennego w Katyniu i Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu.

Na poziomie poszerzonym uczeń powinien mieć wiedzę o polityce III Rzeszy i Rosji sowieckiej wobec Polaków, ale bez szczegółów, czyli bez uwzględnienia m.in. eksploatacji gospodarczej ziem polskich, pracy robotników przymusowych i grabieży dzieł sztuki. Z rozszerzonego programu mają zniknąć zniszczenie i ograbienie Warszawy oraz wysadzenie Zamku Królewskiego. Za zbędną uznano także ocenę roli takich postaci jak Władysław Sikorski, Stefan Rowecki „Grot" i Władysław Anders.

Uczniowie liceów i techników powinni opanować wiedzę o różnych postawach społeczeństwa polskiego, jednak zdaniem MEN nie należy obciążać ich pamięci przykładami. Dlatego też skreślono Sprawiedliwych wśród Narodów Świata: Irenę Sendlerową, Matyldę Getter, Jana i Antoninę Żabińskich i rodzinę Ulmów. Pomoc Żydom ma nie mieć twarzy. Skreślono także Witolda Pileckiego i Maksymiliana Marię Kolbego.

Bez bohaterstwa

W określeniu „przykłady bohaterstwa żołnierzy polskich" dokonano znamiennej zmiany: słowo „bohaterstwo" zastąpiono „zaangażowaniem". Żołnierze nie są już bohaterami, są co najwyżej „zaangażowani" w walkę. Tylko skąd wziąć przykłady bohaterstwa, skoro wykreślono udział Polaków w bitwach o Anglię, Narwik, Tobruk czy Monte Cassino? Zdaniem MEN uczeń powinien wiedzieć o sytuacji dzieci i młodzieży pod okupacją niemiecką, ale nie warto zajmować mu czasu przykładami patriotycznych postaw ich rówieśników z okresu wojny. Tym razem ofiarą cenzorskiego ołówka padło słowo „patriotyzm".

W programie rozszerzonym uwzględniono działania rządu RP wobec zagłady Żydów, ale skreślono misję Karskiego i „Żegotę". Na poziomie podstawowym będą omówione przyczyny konfliktu polsko-ukraińskiego podczas drugiej wojny światowej, ale już nie jego rozmiary (chodzi o liczbę polskich ofiar!), skreślono jednocześnie pojęcie „ludobójstwo ludności polskiej na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej". Na poziomie podstawowym proponuje się też usunąć z opisu powstania warszawskiego ludobójstwo dokonane przez Niemców na Woli.

Uczeń dowie się o okolicznościach zdobywania władzy przez komunistów w Polsce, ale „eksperci" uznali, że niepotrzebna mu jest wiedza o konkretnych formach zniewalania społeczeństwa. Skreślono: „terror fizyczny, propaganda, cenzura". Działalność komunistycznej ubecji, prokuratorów i sądów można, zdaniem MEN, pominąć. Uczeń dowie się o przejawach oporu społecznego, jednak bez uwzględnienia antykomunistycznej konspiracji: Żołnierzy Wyklętych, Witolda Pileckiego (wykreślony drugi raz!), Danuty Siedzikówny „Inki", Łukasza Cieplińskiego oraz roli Kościoła katolickiego. Uczeń powinien potrafić omówić relacje państwa i Kościoła, ale bez uwzględnienia roli prymasa Stefana Wyszyńskiego i wpływu Jana Pawła II na przemiany w Polsce i w innych krajach „demokracji ludowej"...

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

XVII w. / Holenderski mistrz taktyki

Morski diabeł z Niderlandów

Ferdinand Bol, „Michiel de Ruyter"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ROYAL MUSEUMS GREENWICH

eprasa.pl 1b6002f8cf

Piotr Semka

Był największym z holenderskich admirałów. Sławę zdobył jako pogromca Anglików i korsarzy. Siał spustoszenie wzdłuż wybrzeży Anglii, Afryki, a nawet Ameryki Północnej i Karaibów. Jego imię do dziś wypowiadane jest przez Holendrów z szacunkiem

Holendrzy wydają się dziś narodem bardzo statecznym. Kojarzą się jako zapobiegliwi kupcy i ostrożni biznesmeni. Inaczej było między wiekami XVI a XVII, kiedy przed holenderską flotą drżały wszystkie europejskie potęgi, szczególnie zaś Anglia. Ta ostatnia, aby stworzyć swą morską hegemonię, musiała osłabić Zjednoczone Prowincje Niderlandów, a potem wypchnąć je z grona czołowych potęg kolonialnych.

Zanim jednak do tego doszło, Holendrzy zdążyli zbudować swoje ogromne imperium zamorskie. Nie stworzyliby go bez wielu błyskotliwych dowódców. Najwybitniejszym z nich był bez wątpienia Michiel de Ruyter (Michiel Adriaenszoon de Ruyter). Marynarze go uwielbiali i darzyli nadzwyczajną estymą. Nie bez powodu de Ruyter doczekał się przydomka Dziadek. To przywiązanie do admirała dostrzec można także dzisiaj. Każdy, kto odwiedzi najbardziej imponującą świątynię protestancką Amsterdamu, Nieuwe Kerk, będzie zdumiony przepychem i kunsztem artystycznym, z jakim wykonano grobowiec wielkiego admirała. Znajduje się on w centralnej części świątyni zamiast ołtarza. Już samo to świadczy, jak wielki był podziw i uznanie XVII-wiecznych Holendrów dla ich największego dowódcy floty. We wszystkich plebiscytach na najwybitniejszych synów narodu niderlandzkiego de Ruyter zajmuje wysokie pozycje. Całkiem niedawno zaś, bo w 2015 r., Holandia nakręciła (nakładem ogromnych środków) filmowy epos „Admirał" ukazujący geniusz tego morskiego stratega. Holenderscy historycy wskazują, że Holandia nie przetrwałaby XVII w. jako niepodległe państwo bez geniuszu de Ruytera.

Chłopak z nizin

Michiel de Ruyter urodził się 24 marca 1607 r. we Vlissingen w Zelandii, południowej prowincji Holandii. Był czwartym z 13 dzieci niezamożnego piwowara. Ojciec chciał, aby Michiel został praktykantem w firmie wytwarzającej liny okrętowe, ale młody chłopak zawsze marzył o karierze marynarza. W końcu ojciec uznał, że nie można nikogo uszczęśliwiać na siłę, i zgodził się, aby chłopak trafił na pokład statku kupieckiej kompanii rodziny Lampsins. Na krótko, z woli wuja, został włączony do armii ks. Maurycego Orańskiego, który walczył z Hiszpanami, nietracącymi nadziei na podporządkowanie Zjednoczonych Prowincji. Wojowanie na lądzie nie odpowiadało jednak młodemu Michielowi i przy pierwszej nadarzającej się okazji powrócił do marynarki.

Służąc jako marynarz pod niebiesko-biało-czerwoną banderą, został wzięty do niewoli przez Hiszpanów. Z hiszpańskiej twierdzy w okolicy La Corunii udało mu się uciec z kilkoma towarzyszami, z którymi wrócił do Holandii. Potem, korzystając z krótkiego okresu pokoju między Niderlandami i Anglią, spełniał się w roli agenta handlowego w Dublinie, w zaprzyjaźnionej z rodziną jego ojca wspomnianej już kompanii kupieckiej rodziny Lampsins.

Podobno pewnego dnia, kiedy statek, na którym służył de Ruyter płynął z Irlandii do Holandii, zaczął go ścigać okręt francuskich korsarzy z Dunkierki. Spodziewając się abordażu ze strony morskich zbirów, de Ruyter kazał rozbić parę beczek z masłem irlandzkim i wysmarować grubą warstwą tego specjału pokład i zewnętrzną część statku. W rezultacie korsarze z Dunkierki, próbując przeskoczyć z jednego pokładu na drugi, ślizgali się i spadali w morze. Tym sposobem jednostka de Ruytera wyszła z tego „starcia" bez szwanku. Była to pierwsza z legend, które przez wiele lat dodawały kolorytu jego życiorysowi.

Kolejnym etapem kariery młodego marynarza była wyjątkowo trudna praca sternika na statku wielorybniczym „Groene Leeuw" („Zielony Lew") pływającym wokół podbiegunowej wyspy Jan Mayen. Służba w tych niezwykle trudnych warunkach była jednak bardzo opłacalna i dawała bogate doświadczenie żeglarskie. W rezultacie swojej ciężkiej pracy de Ruyter zgromadził całkiem

Willem van de Velde, „Bitwa morska pod Texel"
FOT. WIKIPEDIA/NATIONAL TRUST, FELBRIGG HALL

eprasa.pl 1b6002f8cf

spory kapitał, który umożliwiał mu uzyskanie tytułu obywatela – mieszczanina rodzinnego miasta Vlissingen. W końcu też pozycja de Ruytera stała się na tyle znacząca, że stać go było na kupno własnego statku, któremu nadał imię „Salamander". Z czasem de Ruyter przydzielany był coraz częściej do załóg zmierzających do Indii Zachodnich. W czasie podróży na inne kontynenty poznawał grozę huraganów tropikalnych i kaprysy karaibskich wiatrów.

W służbie Marsa

Holenderska marynarka zawsze uważnie obserwowała środowisko kapitanów floty handlowej. Najlepszym z nich proponowała przejście na stanowiska dowódcze. Nie wszyscy jednak się do tego kwapili. Służba w marynarce była bowiem niebezpieczna, a ponadto nie dawała większych szans na zdobycie fortuny. Dlatego też de Ruyter starał się jak najdłużej trzymać z dala od marynarki. Co prawda, w 1641 r. przyjął tytuł kontradmirała i wykazał się zdolnościami w bitwie przeciwko Hiszpanom u Przylądka św. Wincentego u wybrzeży Portugalii, ale gdy konflikt się skończył, natychmiast wrócił do dowodzenia statkami handlowymi na trasach do Maroka czy Indii Zachodnich.

W czasie licznych podróży niejednokrotnie dawała o sobie znać jego „smykałka" do interesów, co było zresztą cechą bardzo pożyteczną w niebezpiecznym świecie handlu z krajami Afryki Północnej. De Ruyter sprzedawał Arabom broń, luksusowe produkty holenderskie, tj. srebrne kufle czy kapelusze. Jego partnerem handlowym został m.in. marokański watażka Sidi Ali Ben Mohammed, któremu de Ruyter pomógł umocnić dominację w południowej części Morza Śródziemnego, pokonując algierskich piratów.

Zabalsamowane w brandy ciało admirała przewieziono do kraju z honorami, które oddawali mu także przeciwnicy. Gdy wiozący ciało dowódcy okręt „Eendraght" mijał wybrzeże francuskie, król Ludwik XV kazał oddać na jego cześć salwę armatnią

Po latach na morzu i licznych przygodach de Ruyter wrócił do kraju i w Amsterdamie kupił piękny dom na rogu ulic Lange Nieuwstraat i Groenewoud. Był bogaty, chciał trochę wytchnienia i statecznego życia rentiera, zdecydował więc o przejściu na emeryturę. Nie wiedział jednak jeszcze, że nad Holandię nadciągały właśnie ciemne chmury – konflikt z Anglią.

W 1649 r. brytyjski fanatyk religijny Oliver Cromwell obalił monarchię i ustanowił republikę. Kilka lat później natomiast wkroczył zbrojnie do parlamentu brytyjskiego i rozwiązał go. Anglia stała się dyktaturą wojskową, której przywódca nadał całemu państwu rys religijnego fanatyzmu. Narzucono surową, purytańską dyscyplinę. Teatry zostały zamknięte, aktorzy uwięzieni, pozamykano karczmy i miejsca zabaw.

Cromwell ponadto rozpoczął wojnę z Holandią, którą chciał wyprzeć z rynków handlowych i pozbawić zdobyczy kolonialnych. Ciekawostką jest, że choć Cromwell był na wskroś protestancki, to nie przeszkodziło mu to zawiązać sojuszu z Francuzami, którzy także nie mogli znieść ambitnej Holandii.

Cromwell, rozpoczynając wojnę w Niderlandami, wiedział, że potrzebuje silnej i groźnej floty. Angielskie okręty stały się już wkrótce bardzo poważnym zagrożeniem dla Holendrów, którzy nie byli na taki konflikt przygotowani. Dowództwo holenderskiej marynarki wojennej na gwałt musiało unowocześnić i rozbudować flotę. Właśnie wtedy specjalna delegacja admiralicji przybyła do de Ruytera i poprosiła go, aby wrócił do służby jako oficer floty.

Michiel de Ruyter został wkrótce zastępcą najsłynniejszego stratega morskiego Niderlandów, wiceadmirała Witte de Witha, i to on, niedługo później, przyczynił się do pierwszego zwycięstwa Holendrów nad Anglikami w bitwie pod Plymouth w 1652 r. W krótkim czasie de Ruyter odniósł kolejne zwycięstwa: w bitwie pod Singeles, w tzw. bitwie trzydniowej czy starciu morskim pod Nieuwpoort. W 1653 r. natomiast, kiedy w czasie bitwy zginał dowódca marynarki adm. Maarten Tromp (10 sierpnia 1653 r.), de Ruyter został de facto najważniejszym dowódcą admiralicji Zjednoczonych Prowincji.

I to on nadzorował w tym czasie budowę ok. 60 wielkich okrętów wojennych.

Holendrzy niszczą angielskie okręty. Obraz Jana van Leydena

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/RIJKSMUSEUM

eprasa.pl 1b6002f8cf

Wprowadził też wiele drobnych, ale wzmacniających siłę bojową innowacji konstrukcyjnych na holenderskich okrętach. Długie godziny spędzał razem z inżynierami szkutniczymi, tłumacząc cieślom okrętowym, jak poprawić wytrzymałość statków.

Mimo że wojna z Anglią skończyła się w 1654 r., de Ruyter nie zrezygnował z życia na morzu. W 1656 r. na chwilę został sojusznikiem Polski broniącej się przed szwedzką nawałą. Holandia, mimo wspólnej protestanckiej wiary, wystąpiła wówczas przeciwko Szwecji, podejrzewając, że wzmocnienie państwa Wazów zagrozi w dłuższej perspektywie Niderlandom. Z tego względu, w tym samym roku, holenderska flota, na czele z de Ruyterem wpłynęła na Morze Bałtyckie, wioząc na okrętach zaopatrzenie i pomoc militarną dla obleganego przez Szwedów Gdańska.

Pomnik Michiela de Ruytera we Vlissingen

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ALEXANDER SCHMITT

Awanturnik i admirał

W kolejnych latach de Ruyter udowodnił, że wciąż ma w sobie żyłkę awanturnika. W latach 1661–1663 został szefem flotylli, którą skierowano do okiełznania piratów berberyjskich, którzy paraliżowali handel na Morzu Śródziemnym. Walki z korsarzami z Bizerty i Tunisu wymagały sprytu i odwagi, ale tych cech de Ruyterowi wciąż nie brakowało.

Tymczasem Niderlandy znów musiały zmierzyć się z Anglią, a de Ruyter jeszcze raz okazał się niezastąpiony. W 1665 r., po wybuchu kolejnej wojny, de Ruyter otrzymał zadanie zniszczenia angielskich kolonii u wybrzeży Afryki. Później został skierowany za ocean. U wybrzeży Ameryki de Ruyter pustoszył angielskie kolonie, spalił miasto St. John's i rozbił garnizony wroga na Karaibach. Kiedy wrócił do kraju, był witany jak bohater narodowy.

W tym samym roku de Ruyter ponownie otrzymał tytuł dowódcy floty Stanów Generalnych. W dniach 11–14 czerwca 1666 r. dowodził holenderską flotyllą podczas czterodniowej bitwy w Cieśninie Kaletańskiej, która podtrzymała jego sławę jako pogromcy Anglików.

Po tej wygranej de Ruyter przeprowadził skomplikowaną operację niemal w sercu Anglii, która przeszła do historii jako najazd na Medway. Akcję tę de Ruyter planował dłuższy czas. W czerwcu 1667 r. jego flota wpłynęła na Tamizę i dotarła do portu w Chatham, gdzie Holendrzy spalili i zatopili kilka angielskich okrętów i zniszczyli, będącą dumą Anglików, baterię artylerii przybrzeżnej. Ponadto, co położyło się cieniem na dumie Anglików, de Ruyter uprowadził ich okręt flagowy „Royal Charles".

Michiel de Ruyter dowodził niderlandzką flotą także na początku trzeciej wojny angielsko-holenderskiej (1667–1674), w czasie której odniósł zwycięstwa m.in. pod Solebay i Texel.

Śmierć dopadła niderlandzkiego herosa podczas stosunkowo mało istotnej operacji. W kwietniu 1676 r. admiralicja wysłała go na Morze Śródziemne, niedaleko Syrakuz na Sycylii, gdzie de Ruyter zaatakował francuskie okręty pod dowództwem adm. Abrahama Duquesne'a. W czasie tego starcia, w pojedynku artyleryjskim, został poważnie ranny. Po kilku dniach, 29 kwietnia 1676 r., Michiel de Ruyter zmarł. Na wieść o śmierci admirała francuski dowódca nakazał wszystkim swoim okrętom oddać hołd odważnemu przeciwnikowi.

Holenderski Lew

Zabalsamowane w brandy ciało admirała przewieziono do kraju z honorami, które oddawali mu także przeciwnicy. Gdy wiozący ciało dowódcy okręt „Eendraght" mijał wybrzeże francuskie, król Ludwik XV kazał oddać na jego cześć salwę armatnią.

Uroczysty pogrzeb w Nieuwe Kerk w Amsterdamie zgromadził całą elitę i szlachtę niderlandzką. Specjalnie na uroczystość pogrzebową de Ruytera amsterdamski profesor filologii klasycznej, Petrus Francius, wyrecytował łaciński poemat pożegnalny o długości prawie tysiąca heksametrów. Kondukt pogrzebowy prowadził rycerz ubrany w zbroję de Ruytera, za którym szli czterej wyżsi dowódcy admiralicji, dwie kompanie żołnierzy miejskich, dziesięciu mówców, czterech trębaczy i komandor marynarki z dużą flagą admirała z wyhaftowanym herbem poległego. Trumnę niosło 36 kapitanów floty, którymi dowodził Constantijn Huygens, dziedziczny generał admiralicji. Stany Generalne zapłaciły za pogrzeb 14 646 guldenów, co było absolutnym rekordem, w szczególnie oszczędnej – „po protestancku" – Holandii.

Tradycją floty holenderskiej stało się, że największe i najbardziej prestiżowe jednostki otrzymywały imię tego bitnego admirała. W podręcznikach taktyki walk na morzu wielu autorów przyznawało mu status najwybitniejszego taktyka, który kiedykolwiek żył. Tradycją stało się też, że delegacje obcych marynarek, które składają wizyty kurtuazyjne w porcie Amsterdam, swój oficjalny program zaczynają od złożenia wieńców na grobie Michiela de Ruytera.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

Szanghaj, lata 30. XX w.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/US SIGNAL CORPS

Nieoczekiwany ratunek na Dalekim Wschodzie / Japonia i Żydzi

Kryptonim Fugu

Łukasz Czarnecki

Dziesiątki tysięcy Żydów zawdzięczało swoje ocalenie przed Holokaustem nieprawdopodobnemu zbiegowi okoliczności. Główną rolę odegrało w tej szalonej historii dwóch japońskich oficerów, którzy – po naczytaniu się m.in. „Protokołów mędrców Syjonu" – zaczęli uchodzić w Tokio za specjalistów do spraw żydowskich

W początkach 1945 r. znajdujący się pod japońską okupacją chiński Tianjin stał się sceną wydarzenia o tyleż groteskowego, co tragicznego w swojej wymowie. Przywódców miejscowej gminy żydowskiej poinformowano, że zostaną odwiedzeni przez delegację wysokich rangą japońskich wojskowych. Na czele przybyszy, którzy spotkali się z gospodarzami w żydowskim klubie, stał płk Hidaka Tomiaki. Ku konsternacji liderów starozakonnej społeczności oficer zażądał, by natychmiast udali się oni wraz z nim do Pekinu, skąd przez radio nadadzą odezwę do amerykańskich Żydów, by ci kazali prezydentowi USA zaprzestać działań wojennych przeciw cesarstwu! Skonfundowani przywódcy gminy postanowili grać na zwłokę i podjęli próbę upicia emisariusza Tokio. Niestety, pułkownik był twardy jak stal samurajskiego miecza i nawet gdy już miał mocno w czubie i ledwo stał na nogach, wciąż żądał, by Żydzi zrobili to, co im polecił. W końcu ktoś przytomniejszy powiedział zamroczonemu alkoholem oficerowi, że przecież krok taki przyniósłby efekt odwrotny do zamierzonego – Amerykanie tylko dowiedzieliby się o wyczerpaniu wojennym Japonii i nasilili ataki. Ten argument przebił się do Hidaki. Stwierdziwszy, że musi rzecz skonsultować z przełożonymi, mocno zataczając się, z pomocą współbiesiadników dotarł na dworzec, wsiadł w pociąg i pojechał w kierunku Pekinu. W Tianjinie więcej go już nie widziano.

Dolary Schiffa

Do dziś, mimo powszechnej edukacji szkolnej i łatwego dostępu do informacji, znaleźć można niemałą rzeszę ludzi święcie wierzących w to, że Żydzi skrycie rządzą światem. Dziwi jednak, że tropiciele spisków, widzący w każdym cieniu pejsatą postać konspiratora w jarmułce, zupełnie ignorują ważne historyczne wydarzenie, o którym zgodnie z prawdą można powiedzieć, że rzeczywiście decydujący wpływ na jego przebieg miały żydowskie wpływy. Mowa tu o wojnie japońsko-rosyjskiej z lat 1904–1905 i kluczowej roli, którą w tym konflikcie odegrał amerykański bankier żydowskiego pochodzenia Jacob Schiff. Gdyby nie on, prawdopodobnie nigdy nie doszłoby do opisanego wyżej spotkania w Tianjin. Zmarły w roku 1920 prezes międzynarodowej korporacji Kuhn, Loeb and Company, był bowiem osobiście odpowiedzialny za zadomowienie się w Japonii stereotypu, zgodnie

eprasa.pl 1b6002f8cf

z którym wszyscy Żydzi to ludzie bogaci, potężni i wpływowi, których zakulisowe machinacje nadają bieg światowym wydarzeniom.

Amerykański milioner na przełomie wieków XIX i XX prowadził prywatną wojnę z carską Rosją. Jako że rządy zachodnich państw nie reagowały w żaden sposób na powtarzające się w imperium Romanowów pogromy ludności żydowskiej, Schiff uznał cara za swojego osobistego wroga i poprzysiągł pomścić krzywdy doznawane przez jego współwyznawców ze wschodniej Europy. Dlatego gdy rywalizacja między Japonią a Rosją o dominację na Dalekim Wschodzie sięgnęła punktu krytycznego i oczywiste stało się, że między państwami wkrótce wybuchnie wojna, żydowski potentat zaproponował Japończykom pomoc w zdobyciu środków na przygotowanie się do konfliktu. Decydenci w Tokio byli zachwyceni. Dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, że Japonia była o wiele biedniejsza i słabsza gospodarczo od rosyjskiego niedźwiedzia. Dzięki poręczeniu prezesa Kuhn, Loeb and Company japoński rząd uzyskał w brytyjskich i amerykańskich bankach łącznie 200 mln dol. pożyczki (według dzisiejszego kursu byłyby to miliardy), które spożytkował na zbrojenia. W efekcie Rosjanie (którym za sprawą Schiffa

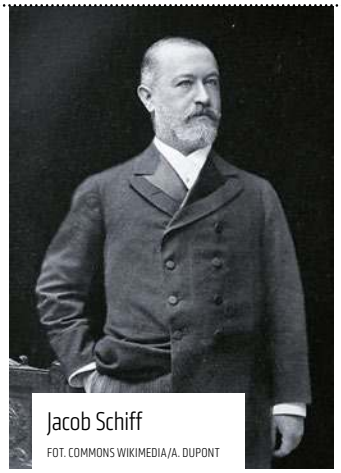

Jacob Schiff
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/A. DUPONT

nikt nie był chętny udzielać kredytów) ponieśli klęskę, a w ich imperium wybuchła rewolucja roku 1905, która dodatkowo podkopała pozycję caratu.

Udział Schiffa w wojennym zwycięstwie został w Kraju Kwitnącej Wiśni nagłośniony przez media, a on sam otrzymał od cesarza Meiji Order Wschodzącego Słońca. Sława, którą zdobył w społeczeństwie, przy okazji sprawiła, że Japończycy nauczyli się odróżniać Żydów od innych obcokrajowców. Wcześniej, gdy po otwarciu dla obcych granic cesarstwa do Japonii przybyli pierwsi Żydzi, zostali przez tubylców uznani za jedną z wielu chrześcijańskich sekt. Inna rzecz, że przeciętny Japończyk nie miał za dużo do czynienia ze starozakonnymi, skoro aż do lat 30. XX w. łączna liczebność społeczności żydowskiej na wyspach wynosiła zaledwie 900 osób. Jednakże nawet przed Jacobem Schiffem zdarzali się Izraelici, którzy oddali Krainie Wschodzącego Słońca ważne przysługi, jak choćby prawnik Albert Mosse – jeden ze współautorów pierwszej japońskiej konstytucji.

Wyniesione z kontaktów z Jacobem Schiffem przekonanie o tym, że Żydzi są bogaci i wpływowi, ugruntowało się jeszcze w wyniku udziału japońskich oddziałów w międzynarodowej interwencji zbrojnej na Syberii, której celem miało być wspomożenie stronnictwa „białych Rosjan" w walce przeciwko bolszewikom. Japończycy wysłali na rosyjski Daleki Wschód najwięcej żołnierzy ze wszystkich interwentów i też najdłużej tam zabawili – aż do roku 1922. Inna rzecz, że ich cele różniły się od alianckich. Planowali bowiem wykorzystać panujący w Rosji chaos, by doprowadzić do jej rozpadu, a następnie zagarnąć Syberię i uczynić ją japońską kolonią.

W wyniku kontaktów z Rosjanami do rąk oficerów cesarskiej armii trafiły egzemplarze niesławnych „Protokołów mędrców Syjonu" – obrzydliwego antysemickiego paszkwilu sprokurowanego przez tajną carską policję polityczną, który niestety znalazł wielu czytelników i nawet dziś jest wznawiany oraz czytany. Ci spośród Japończyków, którzy mówili po rosyjsku, przestudiowali ową książeczkę od deski do deski. Szczególnie gorliwie wczytało się w jej treść dwóch oficerów – pułkownik wojsk lądowych Yasue Norihiro oraz kapitan cesarskiej marynarki Inuzuka Koreshige. Zawarte na stronach pamfletu opisy niecnych żydowskich spisków w odbiorze tych dwóch wojskowych znajdowały potwierdzenie w roli, którą Jacob Schiff odegrał w trakcie wojny z lat 1904–1905. W efekcie obydwaj święcie uwierzyli w niezmierzoną moc światowego żydostwa.

Już po powrocie do Japonii rozpoczęli oni gorliwe studia nad tym tematem, czytając wszelką europejską antysemicką literaturę, która wpadła im w ręce, co jeszcze bardziej utwardziło ich poglądy. Choć wiedza obu oficerów była w tym temacie kompletnie powierzchowna, to w latach 30. zostali oni uznani przez japońskie kręgi wojskowe oraz rządowe za najwybitniejszych w Kraju Kwitnącej Wiśni specjalistów od spraw żydowskich. I choć spod ich pędzelków wychodziły pamflety opisujące rzekome żydowskie machinacje, a Inuzuka widział konspirujących Żydów w każdym kącie, tłumacząc ich działalnością zarówno negliż aktorek w amerykańskich filmach, jak

Koreshige Inuzuka
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 1b6002f8cf

i porwanie w roku 1936 przez grupę zbuntowanych wojskowych generalissimusa Czang Kaj-szeka, to paradoksalnie właśnie ich autorytetowi zawdzięczało swoje ocalenie kilkadziesiąt tysięcy (dokładnej liczby nie udało się ustalić) europejskich Żydów, którzy uciekli przed III Rzeszą na Daleki Wschód.

Harbin

Okres międzywojenny był czasem narastania w Japonii kryzysu gospodarczego, a równocześnie pogłębiającego się chaosu w polityce. Władzę wyrywały sobie z rąk cywilny rząd, armia i marynarka. Rozwiązania bolączek trapiących kraj szukano w ekspansji na kontynent, która jednak musiała odbywać się kosztem Chin.

18 września 1931 r. Armia Kwantuńska w błyskawicznym tempie wyparła z terenów Mandżurii siły chińskie i objęła nad tą krainą całkowitą kontrolą, powołując marionetkowe państwo Mandżukuo. Społeczność międzynarodowa była oburzona, w efekcie czego Japonia opuściła Ligę Narodów, co zaowocowało narastaniem jej izolacji na arenie międzynarodowej.

Przejęcie kontroli nad Mandżurią po raz pierwszy postawiło decydentów japońskich wobec konieczności wypracowania jakiejś polityki względem ludności żydowskiej. W Harbinie znajdowało się bowiem duże skupisko starozakonnych. W tym samym mieście żyli też liczni emigranci z Rosji, którzy uciekli z ojczyzny przed bolszewikami. Oskarżali oni Żydów o wywołanie rewolucji i odnosili się do nich wrogo. Miejscowa rosyjska gazeta „Nasza Droga" raz za razem publikowała artykuły podżegające do aktów przemocy.

Harbińscy Rosjanie od dawna byli już współpracownikami wchodzącej w skład Armii Kwantuńskiej gałęzi kempeitai (tajnej policji politycznej, japoński odpowiednik gestapo) i teraz czując poparcie swych nowych panów, jawnie dali wyraz swej nienawiści. W mieście zaczęły szerzyć się antysemickie akty przemocy i porwania bogatych Żydów. W bandyckich poczynaniach brali udział nie tylko rosyjskie męty, lecz także podejrzani osobnicy o przynajmniej częściowo japońskich korzeniach. Jednym z prowodyrów był niejaki Kostia Nakamura – fryzjer harbiński, który oprócz robienia ondulacji trudnił się handlem narkotykami i prowadzeniem burdelu z ofertą dla pedofilów. Szczyt terroru nastąpił, kiedy porwany i zamordowany został młody żydowski muzyk Simeon Kaspe, a proces jego oprawców przemienił się w farsę. Gdy chińscy sędziowie wydali wyrok skazujący, natychmiast zostali oni aresztowani przez kempeitai, a Nakamura i jego gang otrzymali publiczną pochwałę za walkę z bolszewizmem!

Norihiro Yasue

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Szybko do japońskich decydentów zaczęło jednak docierać, że pozwalając białym Rosjanom na dzikie ekscesy, Japończycy kompromitują się na arenie międzynarodowej. O bezprawiu w Harbinie pisały już bowiem gazety na całym świecie. W tej sytuacji doszło do zwrotu o 180 stopni. Rosyjskim emigrantom zabroniono stosowania przemocy, „Naszą Drogę" zamknięto, a Żydzi znaleźli się pod opieką Armii Kwantuńskiej. Wyrazem nowej polityki było zorganizowanie w ostatnich dniach grudnia 1937 r. Kongresu Żydów Dalekiego Wschodu, który zgromadził ponad 600 delegatów. Przewodniczącym zjazdu został przywódca harbińskiej gminy dr Abraham Kauffman, a ze strony japońskiej udział w wydarzeniu brali choćby znani nam już płk Yasue i kpt. Inuzuka.

Niebezpieczny smakołyk

Tymczasem w Europie sytuacja Żydów pogarszała się wraz z ekspansją III Rzeszy. Niemieccy Żydzi jako pierwsi zaczęli szukać drogi ucieczki przed okrucieństwami reżimu Hitlera. Najbardziej pożądanym kierunkiem pozostawały Stany Zjednoczone, jednak ich bezlitosna polityka imigracyjna uniemożliwiała większości uciekinierów znalezienie tam schronienia. Dlatego też popularnym kierunkiem wśród najbardziej obrotnych i przewidujących Żydów, którzy zrozumieli, że sprawy idą w bardzo złym kierunku, stał się Daleki Wschód. Wiodły tam dwie główne trasy: morska, której punktem docelowym był Szanghaj, i lądowa przez ZSRS. Pierwsza została zamknięta wraz z przystąpieniem do wojny Włoch, druga funkcjonowała aż do napaści Niemiec na Rosję sowiecką. Od roku 1937 obydwa szlaki kończyły się na terenach kontrolowanych przez Japonię. Nagle ku zdziwieniu Japończyków do ich cesarstwa zaczęli napływać ludzie z odległej Europy, z których wielu nie miało środków na dalszą podróż lub wręcz na przeżycie i musiało korzystać z pomocy organizacji charytatywnych. Liczba przybywających Żydów szybko rosła. W roku 1938 w samym Szanghaju żyło już 17 tys. starozakonnych. Było ich tylu, że bogaci przywódcy tamtejszej gminy na czele z milionerem sir Victorem Sassoonem zwrócili się wręcz do władz japońskich z prośbą

Synagoga w Harbinie

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 1b6002f8cf

Dzielnica żydowska w Szanghaju FOT. COMMONS WIKIMEDIA

o niewpuszczanie na teren metropolii kolejnych ich współbraci w wierze!

Tokio stanęło teraz przed nie lada problemem: Co zrobić z kilkudziesięcioma tysiącami Żydów, którzy nagle znaleźli się w samej Japonii lub na terenach przez nią kontrolowanych na kontynencie? Rozwiązanie, które znaleziono, było iście salomonowe, aczkolwiek oparte było na całkowicie fałszywych przesłankach, a w jego sformułowaniu główną rolę odegrali płk Yasue i kpt. Inuzuka.

Sprawa pozostaje w dużej mierze niejasna i pewności odnośnie do jej szczegółów nie będziemy mieć nigdy, ponieważ z tego, co wiadomo, wszelkie dotyczące jej dokumenty zostały w ostatnich dniach wojny zniszczone. Jednakże zachowały się zeznania świadków wydarzeń, zgodnie z którymi w drugiej połowie lat 30. w najwyższych kręgach wojskowych i rządowych sformułowany został tzw. Plan Fugu, zakładający wykorzystanie przybywających na Daleki Wschód Żydów do wzmocnienia potęgi Japonii i wyjścia przez nią z izolacji międzynarodowej.

Czym jest fugu? To gatunek ryby z rodzaju rozdymki, uznawanej przez Japończyków za jeden z największych rarytasów ich kuchni. Niestety, spożywanie go wiąże się ze sporym niebezpieczeństwem – wnętrzności ryby zawierają toksyczną substancję, na którą nie ma odtrutki. Niewłaściwie przyrządzona skutkuje śmiercią smakosza. Bardzo podobnie wyglądała kwestia żydowska w oczach Yasue, Inuzuki i ich zwierzchników. Żydzi jako ludzie niezwykle bogaci (tego stereotypu nie zdołało przełamać w oczach japońskich decydentów nawet to, że wielu uciekinierów żyło w nędzy) i posiadający międzynarodowe wpływy byli z całą pewnością niebezpieczną siłą, z którą należało się liczyć. Jednak gdyby odpowiednio ich podejść, można by użyć ich potęgi na pożytek Japonii. Dlatego należało obchodzić się z nimi delikatnie jak z rybą fugu. Ostatecznie zapadła decyzja, że żydowscy uchodźcy będą traktowani jak najlepiej. Stała za tym nadzieja, że ich potężni współwyznawcy w USA wpłyną na amerykański rząd, przekonując go do zniesienia embarga handlowego nałożonego na cesarstwo po inwazji na Chiny, a do tego przekierują swe zasoby finansowe na Daleki Wschód, dzięki czemu będzie można rozwinąć infrastrukturę imperialną de facto za żydowskie pieniądze.

Niemieckie protesty

Japońskie władze realizowały „Plan Fugu" aż do końca 1941 r. i wybuchu wojny na Pacyfiku. Ku zgrozie przebywających na wyspach przedstawicieli III Rzeszy zbiegli z Europy Żydzi poruszali się swobodnie, nikt ich nie szykanował, a japońskie społeczności mające z nimi kontakt wręcz z własnej inicjatywy udzielały im pomocy. Gdy pewien uchodźca wkrótce po przybyciu do Japonii poszedł do lokalnej piekarni po chleb i okazało się, że aby kupić pieczywo, potrzebne są kartki, których on nie posiadał, stojący w kolejce do lady Japończycy dosłownie wcisnęli mu część własnych talonów! W 1940 r. ambasador niemiecki złożył w końcu oficjalny protest w japońskim MSZ, ponieważ w państwowym radiu kpt. Inuzuka wygłosił pogadankę o Izraelitach, podczas której chwalił ich zmysł do interesów i nauk ścisłych, potępiał hitlerowskie prześladowania oraz stwierdzał, że Żydzi jako naród azjatycki powinni się znaleźć pod specjalną opieką rządu Japonii.

Tak więc, bazując na stereotypie o żydowskiej potędze i konspiracji, który gdzie indziej owocował pogromami i antysemityzmem, Japonia wypracowała politykę, dzięki której kilkadziesiąt tysięcy zbiegów z Europy znalazło na Dalekim Wschodzie schronienie przed Holokaustem. Niektóre z japońskich pomysłów mających na celu wykorzystanie rzekomego bogactwa Żydów były naprawdę fantastyczne. Zupełnie na poważnie brano pod uwagę powołanie w Mandżurii samorządnego żydowskiego dystryktu, w którym planowo osiedlić od 30 do 50 tys. ludzi. Podjęto się nawet sondowania środowisk żydowskich finansistów z Nowego Jorku pod kątem ich chęci do wyłożenia pieniędzy na taki projekt.

Dopiero wybuch wojny na Pacyfiku, gdy oczywiste stało się, że dobre stosunki z Żydami nie zaowocowały poprawą relacji z USA i Zachodem, sprawił, że duża część japońskich złudzeń rozwiała się, co pogorszyło nieco sytuację Żydów na Dalekim Wschodzie. Ambasada III Rzeszy zaczęła wówczas zalewać wyspy antysemicką propagandą, a poświęcone rzekomej „nikczemności" Żydów wystawy w domach towarowych Osaki i Tokio odwiedziło łącznie milion zwiedzających. W roku 1943 pod naciskiem hitlerowskiego sojusznika Japonia utworzyła w Szanghaju getto, jednak nie zamknięto tam wszystkich szanghajskich Izraelitów, lecz tylko tych, którzy przybyli do chińskiej metropolii po 1937 r., oraz bezpaństwowców. Życie w getcie w Szanghaju było co prawda ciężkie i zdarzały się przypadki głodu, ale swobodnie mogły działać tam organizacje charytatywne, a mieszkańcy bez większych problemów uzyskiwali przepustki pozwalające im je opuszczać w interesach. Do koszmaru gett warszawskiego lub łódzkiego było mu bardzo daleko, większość spośród osadzonych tam ludzi doczekała w spokoju końca wojny.

A jak się potoczyły dalsze losy dwóch „ekspertów" do spraw żydowskich, tj. płk. Yasue i kpt. Inuzuki? Ten pierwszy został po wojnie aresztowany przez NKWD i zmarł w sowieckim więzieniu w 1950 r. W uroczystościach pogrzebowych, które odbyły się w Japonii, udział brali zarówno japońscy oficjele, jak i przedstawiciele gminy żydowskiej. Jeśli zaś chodzi o widzącego w każdym kącie złowrogi żydowski cień kpt. Inuzuki, to po odejściu ze służby założył on... stowarzyszenie przyjaźni japońsko-izraelskiej.

Pisząc artykuł, korzystałem z książki dr Joanny Guzik z Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu UJ pt. „Stosunek Japonii do kwestii żydowskiej w latach 1932–1945".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

Władcy Florencji / Krwawe dzieje rodu

Przekleństwo Medyceuszy

Piazza Signoria we Florencji FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ZOLLI

Sławomir Koper

Dynastia Medyceuszy degenerowała się w zastraszającym tempie. Ostatni członkowie rodu panującego w Toskanii w niczym nie przypominali swoich przodków

W 1532 r. władzę we Florencji jako książę objął Alessandro de' Medici, chociaż nieoficjalnie nazywano go capo (głowa). Według wersji oficjalnej był bastardem Wawrzyńca, młodo zmarłego księcia Urbino, ale wszyscy byli przekonani, że to papież Klemens VII z rodu Medyceuszy spłodził go z jakąś afrykańską niewolnicą. Zdawały się to potwierdzać jego ciemna karnacja skóry oraz kręcone, czarne włosy. Papież przejawiał do niego ogromną słabość, chociaż jego wybraniec zdecydowanie nie nadawał się na władcę i polityka. Zlikwidował Signorię – dotychczasowy rząd Republiki Florenckiej – a słynny dzwon wzywający obywateli na plac pod ratuszem polecił zrzucić z wieży. Alessandro kazał przetopić odłamki na medale na cześć Medyceuszy.

Rodzina była jednak coraz bardziej uznawana w Europie. Weszła nawet do francuskiej dynastii, gdyż Katarzyna, córka Wawrzyńca, księcia Urbino, poślubiła brata następcy tronu francuskiego, Henryka. Po śmierci króla Franciszka I i jego najstarszego syna zasiadł on na tronie w Paryżu, a jego małżonka przeszła do historii jako Katarzyna Medycejska. Na swój sposób rosnącą pozycję Medyceuszy potwierdził też cesarz Karol V, gdyż wyraził zgodę na małżeństwo swojej nieślubnej córki Małgorzaty z Alessandrem.

Książę Florencji nie cieszył się jednak popularnością w rodzinnym mieście, a poza tym miał groźnego rywala. Był nim bratanek poprzedniego papieża z rodu Medyceuszy, Leona X. Ipolito był o rok starszy od Alessandra i także pochodził z nieprawego łoża, co nie przeszkodziło mu zostać kardynałem. Spór między kuzynami rozstrzygnął wreszcie Alessandro, trując rywala.

Alessandro też nie uszedł przeznaczeniu, a przyczyną jego przedwczesnej śmierci stał się kolejny kuzyn, Lorenzino de' Medici. Pochodził on z drugiej linii rodu, wywodzącej się od potomków brata Kosmy Starszego. Młodszy o dwa lata od księcia Florencji zazdrościł mu pozycji, uważając się za kogoś lepszego, gdyż urodził się w legalnym związku. Wkradł się jednak w jego łaski, stając się jego najlepszym towarzyszem podczas rozwiązłych eskapad. Podobno razem wdzierali się po drabinach do żeńskich klasztorów, uwodzili niewinne dziewczęta z dobrych domów, nastawali na cześć żon szanowanych obywateli. A przede wszystkim spożywali nieprawdopodobne ilości wina.

eprasa.pl 1b6002f8cf

Lorenzino przekonał kuzyna, że jedna z szanowanych małżonek gotowa jest z nim spędzić noc, i wynajął zawodowego mordercę, by dokonać zbrodni. Rzezimieszek wprawdzie nosił dziwaczny przydomek, Scoronconcolo (Dziadek do Orzechów), ale podobno dobrze znał się na swoim fachu. Alessandro upojony alkoholem dał się zaprowadzić do pewnego mieszkania, po czym zasnął, czekając na domniemaną kochankę. Wtedy zabójca wbił mu sztylet w szyję, a Lorenzino usiłował dusić. Broniący się Alessandro pogryzł mu palce do kości, ale ostatecznie padł martwy. Mordercy natychmiast opuścili miejsce zbrodni, a Medyceusz zbiegł do Wenecji. Tam 10 lat później został pchnięty zatrutym sztyletem przez ludzi wysłanych z rodzinnego miasta, gdyż uznano, że zabójca władcy, nawet tyrana, zasługuje na najwyższy wymiar kary.

Alessandro w chwili śmierci miał 27 lat. Na nim wygasła (jeżeli chodzi o mężczyzn) starsza linia Medyceuszy.

Wielki książę Toskanii

Jego następcą został Kosma I, zwany Młodszym. Podobnie jak zabójca księcia Florencji pochodził z drugiej linii Medyceuszy i w chwili śmierci kuzyna miał 18 lat. O objęciu przez niego władzy nad terytorium Republiki Florenckiej zadecydowało to, że przypadkowo znalazł się we właściwym miejscu i czasie. Gdy bowiem znaleziono ciało Alessandra, dostojnicy państwowi ukryli ten fakt przed obywatelami i odbyli tajną naradę w Palazzo della Signoria. Nie mogli dojść do porozumienia w sprawie dalszych posunięć, gdyż wśród nich byli także zwolennicy powrotu ustroju republikańskiego. Zwyciężyła jednak opinia, że cesarz Karol V nigdy nie zgodzi się na taką formę rządów, a eksperyment mógłby skończyć się całkowitą utratą niepodległości. Cesarz zapewne osadziłby w mieście wicekróla, tak jak uczynił to w Neapolu. Zatem faktycznie lepiej było pozostać przy monarchicznej formie rządów, która zapewniała jednak pewną niezależność.

Chłopak przebywał właśnie w Mugello, majątku odległym o 40 km od Florencji, i tam dostał wiadomość od jednego ze swoich zwolenników uczestniczących w naradzie. Natychmiast wsiadł na konia i pogalopował do Florencji, gdzie pod siedzibą władz miejskich gromadził się już tłum. Najwyraźniej informacji o śmierci Alessandra nie dało się ukryć albo – co bardziej prawdopodobne – była to zamierzona akcja mająca wymusić poparcie dla Kosmy. Gdy pod oknami pojawili się żołnierze skandujący imię pretendenta, uczestnicy szybko doszli do porozumienia.

Agnolo Bronzino, „Alessandro de Medici”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/GALERIA UFFIZI

Agnolo Bronzino, „Kosma I”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ART GALLERY OF NEW SOUTH WALES

Jednak jeżeli stronicy nowego księcia planowali, że ze względu na jego młody wiek będą mogli nim kierować, to bardzo się pomylili. Medyceusz szybko zmienił się z niedoświadczonego nastolatka w autokratycznego księcia, który nie miał zwyczaju rozmawiać, tylko wydawał rozkazy. Inna sprawa, że takiego władcy potrzebowała wówczas Florencja.

Był zresztą typowym technokratą. Narzucił sobie sztywny porządek dnia całkowicie podporządkowany pracy. Wstawał jeszcze przed świtem i czytał raporty, a pracował nawet w popołudniowe upały. Ożenił się dumną Hiszpanką, córką wicekróla Neapolu, Eleonorą de Toledo. Było to zgodne i udane małżeństwo, a Kosma dbał, by posiłki zawsze jadano w rodzinnym gronie. Potrawy były zresztą dość proste, ponieważ książę nie znosił ekstrawagancji kulinarnych, które tak celebrowali poprzedni Medyceusze.

Niemal całe swoje panowanie Kosma poświęcił na przebudowę księstwa. Toskania nie miała już być skrzyżowaniem republikańskich reliktów z monarchią, ale scentralizowanym, nowoczesnym państwem. Rozwinął wręcz nieprawdopodobnie aparat biurokratyczny, zreformował kwestie skarbowe, zlikwidował wszelkie bariery handlowe, które dotychczas istniały na terenie Toskanii. Dbał o handel morski, remontował port w Pizie i wybudował nowy w Livorno. Zdając sobie sprawę ze zmian gospodarczych zachodzących w Europie, popierał budowę warsztatów obróbki koralu, hut szkła, rafinerii cukrowych i papierni. Zrobił wiele, by jego poddani zajęli się tym, co dotychczas robili najlepiej, czyli zarabianiem pieniędzy. Książę twierdził zresztą, że „obowiązkiem sprawiedliwego władcy jest dbać stale o poprawę interesów swoich obywateli”.

Dostrzegł również szansę, by raz na zawsze pozbyć się opozycji ze strony starych zamożnych rodów Florencji. Zaoferował ich członkom znaczące pozycje w swoim aparacie biurokratycznym wraz ze stosownymi apanażami. Nie bez powodu pierwszy zaprojektowany od początku do końca biurowiec świata powstał właśnie we Florencji – to budynek dzisiejszej Galerii Uffizi.

Kosma I okazał się również godnym następcą poprzednich Medyceuszy w sprawach mecenatu nad sztuką. Rozwijał swoją kolekcję antycznych rzeźb i manuskryptów, to właśnie za jego panowania odkopano w pobliżu Arezzo słyną etruską „Chimerę”, którą Medyceusz natychmiast włączył do swojej kolekcji. To na jego dworze rozkwitły

eprasa.pl 1b6002f8cf

talenty Giorgia Vasariego i Benvenuta Celliniego. Ten ostatni wprawdzie słynną „Solniczkę" wykonał dla Franciszka I, ale Kosma też nie powinien czuć się poszkodowany, gdyż to na jego zamówienie powstał „Perseusz z głową Gorgony", będący arcydziełem sztuki odlewniczej.

Kosma I Medyceusz nie ustawał w próbach podniesienia prestiżu swojej rodziny i u schyłku życia osiągnął wreszcie znaczący sukces. Wprawdzie nie został królem, o czym marzył, ale w 1569 r. otrzymał tytuł wielkiego księcia Toskanii. Uroczysta intronizacja miała miejsce w Rzymie, a trzeba przyznać, że tytuł ten dobrze oddawał zmiany, które zaszły za jego panowania. Kosma przestał być księciem Florencji, a stał się władcą całej krainy. A do tego powiększył jej terytorium o Sienę, Piombino i Elbę.

Uduszone szwagierki

Kosma I był bez wątpienia najwybitniejszym oficjalnym władcą Toskanii z rodu Medyceuszy. Po jego śmierci dynastia zaczęła się degenerować, chociaż w rodzie pojawiła się jeszcze jedna wybitna postać w osobie jego młodszego syna, Ferdynanda I. To właśnie za jego panowania rodzina ponownie skoligaciła się z francuskim domem królewskim, gdy bratanica wielkiego księcia poślubiła króla Henryka IV Burbona (tego od Paryża, wartego mszy i kury w garnku). Maria Medycejska została też matką następnego właściciela tronu w Paryżu, Ludwika XIII.

Natomiast wcześniej, gdy Toskanią rządził jeszcze starszy brat Ferdynanda I, Franciszek, Florencją wstrząsnęła seria zbrodni dynastycznych, przy których bledną nawet najdziksze wyczyny rodziny Borgiów. Trudno wręcz uwierzyć, że coś takiego mogło mieć miejsce.

Ulubienicą Kosmy I była jego córka Izabella. Wydana za Paola Giordiana Orsiniego nudziła się pod nieobecność męża, który większość czasu spędzał na wyprawach wojennych. Nie chciała też przebywać w jednym z jego majątków, preferując życie w rodzinnym mieście. Pełna energii życiowej nie zamierzała marnować czasu i wdała się w romans z kuzynem męża, Troilem Orsinim.

Blisko przyjaźniła się ze swoją szwagierką, Dianorą, która wyszła za mąż za jej brata, Piera. Ona również nie była szczęśliwa w małżeństwie, gdyż partner raczej w ogóle nie był nią zainteresowany. Jednak para oficjalnie doczekała się potomka, Cosimina.

Dianora również znalazła sobie pocieszyciela w osobie dworzanina i rycerza zakonu św. Stefana, Bernardina Antinoriego. Dopóki żył stary Kosma I, dopóty przymykał oczy na wybryki obu kobiet, być może dlatego, że po śmierci żony sam wdawał się w skandaliczne romanse. Ale Kosma I zmarł w kwietniu 1574 r. i sytuacja zaczynała się wymykać spod kontroli. Tym bardziej że szwagierki nie robiły specjalnej tajemnicy ze swoich romansów. Nowy wielki książę, Franciszek I, latem 1576 r. postanowił zakończyć skandal w typowo włoski sposób. Na początek zesłał kochanka Dianory na Elbę, a potem sprowadzono go do Florencji i uduszono w więzieniu Bargello. Następnie miał przyjść czas na Izabellę i jej ukochanego.

Benvenuto Cellini, „Perseusz z głową Meduzy"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/JASTROW

Roli kata Dianory podjął się osobiście jej mąż, brat wielkiego księcia. I trzeba przyznać, że zbrodni dokonał w bardzo wyrafinowany sposób w wilii Medyceuszy w Cafaggiolo.

„[Dianora] tańczyła do jedenastej – informował ambasador Ferrary – potem położyła się na łożu, gdzie zaskoczył ją pan Piotr, owijając jej wokół szyi skórzaną smycz […]. Nieszczęsna dama stawiała silny opór […] i w czasie walki ugryzła dotkliwie Piotra w dwa palce, a łoże zostało całkowicie zdewastowane".

Ciało złożono w przygotowanej wcześniej (!) trumnie, a Piero poinformował brata, że „zdarzył się śmiertelny wypadek", zatem wielki książę „może być spokojny". Kilka dni później w niewyjaśnionych okolicznościach zmarł trzyletni Cosimino, najwyraźniej morderca żony miał wątpliwości co do jego pochodzenia.

Sześć dni po Dianorze zmarła nagle Izabella. Oficjalnie jako przyczynę śmierci podano epilepsję, ale ona również padła ofiarą własnego męża. Zbrodni dokonano w jego wilii Caretto Guidi. Orsini zjadł z żoną kolację, a potem jego podwładni dyskretnie spuścili sznur przez otwór w suficie. Całując żonę, podprowadził ją dyskretnie we właściwe miejsce, po czym ją udusił, a sznur natychmiast wciągnięto. Trumna także została już wcześniej przygotowana.

Cała Florencja znała przyczyny zgonu szwagierek, a gdy przed pogrzebem otwarto trumnę Izabelli, „oczy zmarłej wychodziły z orbit".

Jej kochanek, Troilo Orsini, uciekł do Paryża, ale rok później dopadli go tam siepacze Medyceuszy i zamordowali. Honor rodu został ocalony.

To jednak nie wszystko, podobno mąż Izabelli chciał się pozbyć żony i jej kochanka jeszcze z innego powodu. Otóż sam miał romans z Vittorią, żoną Troila Orsiniego, i chciał ją poślubić. Po zabójstwach obojga kochanków papież Sykstus V odmówił jednak uznania nowo zawartego małżeństwa i zarządził śledztwo w tej sprawie. Wówczas żonobójca uciekł do

eprasa.pl 1b6002f8cf

Wenecji, gdzie zmarł (nie wiadomo, czy naturalną śmiercią). Zdążył jednak zapisać majątek Vittorii, która się nim długo nie cieszyła. Zasztyletował ją bowiem brat męża mający nadzieję na spadek.

Żona z piekła rodem

Pod rządami kolejnych Medyceuszy Florencja powoli podupadała, chociaż dużym plusem było to, że na wiele lat zapanował pokój, czego Toskania od stuleci nie zaznała. Kolejni wielcy książęta panowali wyjątkowo długo, ale były to coraz bardziej ograniczone jednostki. Należał do nich ostatni kolekcjoner i mecenas w dziejach rodu, Kosma III. Ten prawnuk Kosmy I był religijnym bigotem i jego zainteresowania obracały się w kręgu modlitw, świętych obrazów i relikwii. Na jego polecenie skonstruowano nawet specjalną machinę, która każdego dnia ukazywała mu odpowiedni wizerunek świętego, przed którym „odprawiał modły". Codziennie odwiedzał też „pięć lub sześć kościołów".

Jego agenci przemierzali Europę w poszukiwaniu relikwii, na których punkcie wielki książę miał prawdziwą obsesję. Kupował wszystko, co się dało. Cena nie grała roli. Warto jednak zauważyć, że z powodu reformacji w krajach protestanckich było wiele relikwii na zbyciu, chociaż gdy rozeszła się wieść o upodobaniach toskańskiego władcy, ich cena natychmiast podskoczyła.

Jego ulubiony artysta, Sycylijczyk Gaetano Zumbo, tworzył dla wielkiego księcia woskowe rzeźby przedstawiające cierpienia potępionych, torturowanych świętych oraz wizerunki rozmaitych plag. Kosma III posiadał też kolekcję rycin, na których ukazano różnego rodzaju wybryki natury i chorych na rozmaite schorzenia, które uważał za karę za grzechy. Tak właśnie zakończyły się dzieje mecenatu Medyceuszy.

Biorąc pod uwagę upodobania Kosmy III, trudno się dziwić, że jego małżeństwo z pełną temperamentu Małgorzatą Ludwiką Orleańską miało katastrofalny przebieg. Francuską księżniczkę zmusił do mariażu osobiście Ludwik XIV, chociaż była nieprzytomnie zakochana w księciu Karolu Lotaryńskim. Gdy przyjechała do Florencji, unikała męża jak ognia, chowając się w rozległych komnatach Palazzo Pitti. A gdy pewnego dnia Kosma odwiedził ją w sypialni, zagroziła, że rozbije mu butelkę na głowie, jeżeli natychmiast nie wyjdzie.

Baldassare Franceschini, „Kosma III"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Ta bardzo niedobrana para doczekała się jednak kilkorga dzieci, po czym Małgorzata Ludwika uzyskała zgodę na powrót do Francji, gdzie wstąpiła do jednego z paryskich klasztorów. Tam dopiero pokazała pełnię swojego temperamentu. Wprowadziła w klasztorze lekcje tańca oraz różnego rodzaju „zabawy" z udziałem gwardzistów. Czasami w przebraniu i z blond peruką na głowie odwiedzała Wersal, gdzie oddawała się hazardowi. Gdy mąż zwlekał z przysłaniem pieniędzy, potrafiła do niego napisać, że „nie ma godziny ni dnia, by nie życzyła mu, żeby ktoś go powiesił".

Ognisty temperament nie mijał z upływem lat i gdy przełożona klasztoru czyniła jej wymówki, to potrafiła ją gonić po całym budynku z toporem i pistoletem. Wdawała się w romanse z parobkiem i gwardzistą, chociaż nie zabrakło też pewnego hrabiego. Wreszcie Ludwik XIV przeniósł ją do zgromadzenia w Saint-Mande. Tamtejsza przeorysza zdecydowanie bardziej jej odpowiadała. Matka przełożona sama bowiem lubiła przebierać się za mężczyznę i urządzać eskapady poza mury klasztorne. Gdy wreszcie uciekła, nową przeoryszą została właśnie Małgorzata Ludwika. Z czasem jednak złagodniała i zaczęła prowadzić spokojniejsze życie w towarzystwie „księdza renegata oraz społeczności często uciekających zakonnic". Zmarła w 1721 r. w wieku 76 lat. Kosma przeżył ją o dwa lata, a jego katastrofalne panowanie trwało aż 53 lata.

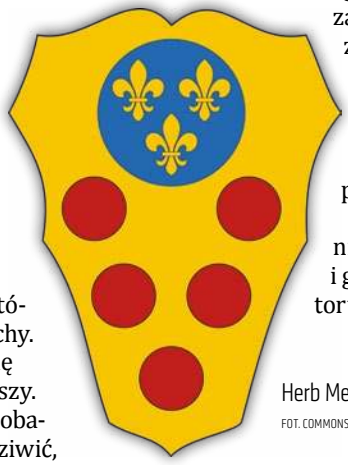

Herb Medyceuszy
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/SCOLOPENDRAJAZZ

Jego następca okazał się jeszcze gorszym władcą. Gian Gastone nawet na zachowanym popiersiu wygląda na szaleńca. Inna sprawa, że najbardziej interesował się jedzeniem, alkoholem i chamskimi, sprośnymi dowcipami. Większość czasu spędzał w łóżku na pijaństwie i obżarstwie, a jako że był homoseksualistą, to pozycję faworyta na dworze zdobył jeden z jego kochanków. Nic zatem dziwnego, że jego niemiecka żona, wielbicielka polowań, wolała rozmawiać z końmi niż z nim.

Skandaliczne postępki ostatnich przedstawicieli rodu spowodowały, że przyjęło się uważać, iż o ile wiele dynastii wygasło w mniej czy bardziej nieprzyjemnych okolicznościach, o tyle jednak żadna w tak obrzydliwych jak Medyceusze. Na szczęście w obiegowej opinii uważani są za znakomitych mecenasów sztuki, a dzieje ostatnich członków rodu pozostają nieznane.

Gian Gastone zmarł w 1737 r. i Wielkie Księstwo Toskanii przeszło w ręce Habsburgów. Florencja była wówczas niewielkim miastem, którego ludność zmalała niemal o połowę w porównaniu z czasami świetności. Upadły przemysł i handel, ale nadzieję przyniósł powiększający się napływ zamożnych turystów, co z czasem miało stać się zbawieniem dla miasta. Ostatecznie nad Arno znajduje się ok. jednej trzeciej największych dzieł sztuki we Włoszech, a nie jest to kraj ubogi pod tym względem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem m.in. z książki Mary Hollingsworth, „Medyceusze. Tajemna historia dynastii".

eprasa.pl 1b6002f8cf

1939–1940 / Zanim zostali zamordowani

Jadę z Kozielska przez Smoleńsk w nieznane

Tablice z nazwiskami ofiar zbrodni katyńskiej. Polski Cmentarz Wojenny w Katyniu FOT. COMMONS WIKIMEDIA/KAPSUGLAN

Marek Gałęzowski

W katyńskich dołach, przy zwłokach polskich oficerów, odnaleziono ich zapiski. A w nich były ostatnie myśli, nadzieje i tęsknoty...

Pragnąłbym, ażeby Bóg umożliwił mi powrót [wraz ze wszystkimi] do Polski, do normalnych warunków pracy – ażebym skończył prawo, mógł zrealizować zamierzenia swoje odnośnie rodziny – a potem [...] pracować naukowo [...], a przy tym życie moje tak ułożyć, aby ono mi dawało maksimum korzyści moralnych, fizycznych, materialnych, ażebym mógł rozwijać i swój charakter, swój umysł, swe ciało, ażebym się ożenił z piękną, dobrą i kochaną kobietą, ażebym miał z nią dzieci – takie, o jakich nieraz marzyłem: – Lecz przede wszystkim proszę Cię o to, by to się działo tylko – jeśli to możliwe Boże – w ramach Wielkiej, Nowej i Potężnej Polski!" – zapisał 3 kwietnia 1940 r. ppor. rez. Zbigniew Przystasz, jeden z polskich oficerów więzionych w obozie w Kozielsku.

Trzy lata później notatnik zawierający przytoczone słowa odnaleziono w Lesie Katyńskim. Był jednym z 20 zachowanych dzienników, w których zabrzmiał ostatni głos przywiezionych tam na śmierć oficerów WP. Prawdziwych narodowych relikwii, jak określił je jeden z pierwszych historyków zbrodni katyńskiej Janusz K. Zawodny.

Marzenie o pięknej bibliotece

Wśród tych odnalezionych świadectw w polskim piśmiennictwie najmocniej zabrzmiało to, które pochodziło od mjr. Adama Solskiego. Jego zapiski urywają się bowiem na miejscu zbrodni, kilka chwil przed egzekucją, kiedy jeńcy są po raz ostatni rewidowani; ze słów, w części zatartych, udało się odczytać, że odebrano mu zegarek, ruble, scyzoryk, pas główny. Niemniej naznaczone tragizmem są dzienniki innych oficerów, odnalezione w mogile. Jak te przywołane powyżej, sanoczanina Zbigniewa Przystasza, jednego z najmłodszych, którzy zginęli w Lesie Katyńskim.

W chwili wybuchu wojny był jeszcze studentem prawa Uniwersytetu Warszawskiego, pracującym równocześnie jako urzędnik kontraktowy w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Służbę wojskową odbył zaraz po maturze w 5. Pułku Strzelców Podhalańskich i 1 stycznia 1937 r. został mianowany podporucznikiem. Jako oficer rezerwy dowodził plutonem w 23. pp im. płk. Leopolda Lisa-Kuli. W opinii służbowej sporządzonej rok przed wybuchem wojny podkreślano jego dużą inteligencję, pilność i obowiązkowość, wyrobienie charakteru, ambicję w pracy, lojalność wobec przełożonych, dobrze też oceniano dowodzenie plutonem i zdolności instruktorskie. „Poczucie honoru i godności osobistej b.[ardzo] duże" – zauważono. We wrześniu 1939 r. Przystasz służył w ośrodku zapasowym swojego pułku, który wszedł następnie

eprasa.pl 1b6002f8cf

w skład Grupy „Włodzimierz" i być może uczestniczył w walkach z Niemcami w rejonie Uściługa. Zapewne 20 września 1939 r. został wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną i wywieziony do Kozielska.

W notatniku zapisywał przede wszystkim tytuły przeczytanych książek, wśród których było sporo polskiej klasyki, na czele z „Faraonem", „Lalką", „Potopem", „Quo vadis" i „Popiołami". Nie mogło zabraknąć wśród niej i Józefa I. Kraszewskiego, reprezentowanego przez powieści „Jelita" (z czasów panowania Władysława I Łokietka i bitwy pod Płowcami) oraz „Kordecki". Zdarzały się jednak lektury dość zaskakujące w obozowej bibliotece – jak tom „Pism, mów i rozkazów" Józefa Piłsudskiego, zawierający pracę o powstaniu styczniowym. Przystasz odnotowywał również tytuły obejrzanych filmów, przeważnie wytworów sowieckiej propagandy – jak „Sowiecka Mołdawia" czy „Wrześniowa noc" o Stachanowie i sabotażu w przemyśle węglowym w Rosji, a także z posiedzenia Rady Najwyższej ZSRS, podczas którego „zgodziła się ona" przyjąć w skład imperium Stalina ziemie wschodnie Rzeczypospolitej, rzekomo wskutek próśb mieszkającej tam ludności.

Przystasz rzadko dawał wyraz tęsknocie za bliskimi i krajem, jak przykładowo w końcu lutego 1940 r., kiedy pisał: „Przychodzą chwile tęsknoty za domem, za bliskimi, za rodziną". Myślał jednak o przyszłości, planował nawiązanie kontaktu z Jerzym Giedroyciem, którego określał jako właściwy mózg czasopisma „Polityka". Zamierzał powołać się w tym na znajomość z wybitnym sowietologiem Stanisławem Swianiewiczem, zawartą najpewniej w Kozielsku – jedynym oficerem, który ocalał z katyńskich transportów. Nazwisko Swianiewicza jest także odnotowane wśród licznych adresów osób i instytucji w notatniku Przystasza; dziś odczytujemy je także jako ostatnią więź łączącą zgładzonego przez komunizm podporucznika z wolnym światem, szczęśliwym życiem – które bez strachu – prowadził. Które z nich mogły być ważne? Może Feliksa Gałęzowskiego, lekarza okulisty przyjmującego przy ul. Żurawiej 4 w Warszawie? Na pewno Władysława Mączki, męża jego ciotki, oficera WP, a wcześniej Legionów. Tego

Klasztor w Kozielsku

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ALMEEWAR

samego, którego bratem rodzonym był przedwcześnie zmarły Józef Mączka, jeden z najwybitniejszych poetów legionowych. Są też dwa adresy warszawskich szkół tańca dowodzące także innych niż wspomniane zainteresowań.

Bliscy, o których wspominał w notatniku, pozostali na obszarze okupowanym przez Niemców. Brat Zbigniewa – Mieczysław – i siostra Danuta, przed wojną jak i on studenci prawa UW, z oddaniem służyli w Armii Krajowej i należeli do nielicznej grupy powstańców warszawskich, wywodzących się z Podkarpacia. Mieczysław jako żołnierz batalionu im. Stefana Czarnieckiego bronił Starego Miasta. W opanowanej przez komunistów powojennej Polsce przez dziewięć lat był więziony, najpierw w celi przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, później w Rawiczu i we Wronkach. Danuta walczyła na Żoliborzu w Zgrupowaniu „Żywiciel", za męstwo odznaczona Orderem Virtuti Militari. Podobnie jak brat była prześladowana za swój patriotyzm przez UB. Doczekała niepodległej Polski, a w 2012 r. awansu na stopień majora WP.

Zmarła sześć lat później, w wieku 99 lat, niemal 80 lat po śmierci starszego brata, młodego oficera, który w sowieckiej niewoli marzył: „Proszę Cię Boże i to, bym miał kawałek ziemi swojej z zagrodą gdzieś w swoich kochanych stronach sanockich, gdzieżbym mógł odpocząć [...] od gwaru miejskiego. Ażebym ten dom swój i otoczenie jego miał według swego wypieszczonego ideału, żeby w nim była piękna, duża biblioteka, przeze mnie urządzona, którą bym w części przekazał na użytek publiczny, a w części swej Rodzinie".

Ostatni zapis wykonał trzy tygodnie później, 21 kwietnia 1940 r., zapewne krótko przed egzekucją, gdyż dzień wcześniej informował o dotarciu do Smoleńska. Te ostatnie słowo brzmiały: „O g. 8 rano".

Chciałby się lotem ptaka dostać do kraju

We Włodzimierzu Wołyńskim dostał się do niewoli także ppor. Maksymilian Trzepałka. Starszy o kilka lat od Przystasza pochodził z Brzeska Nowego w powiecie miechowskim. Absolwent Państwowej Szkoły Przemysłu Artystycznego w Krakowie, w specjalizacji ceramiki, później – z wynikiem dobrym – ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii w tym samym Włodzimierzu. Przydzielony do 6. pułku artylerii lekkiej był uważany za bardzo dobrego oficera: „Charakter zrównoważony, poważny, służbę w armii narodowej pojmuje ideowo. Bardzo koleżeński, w pracy pilny, rozważny i sumienny, duże poczucie

eprasa.pl 1b6002f8cf

honoru […]. Energiczny, posiada dużo inicjatywy i pewności siebie". Podkreślano również jego dużą dbałość o podległych żołnierzy.

Z informacji zamieszczonych w „Internetowym Kurierze Proszowickim" wiadomo, że przed wojną pracował jako kierownik klinkierni – czyli zakładu produkującego klinkier, tworzywo ceramiczne wykorzystywane do produkcji cegieł, dachówek i płytek ceramicznych. Nie mogła to być jednak – jak podano zarówno tam, jak i w katyńskiej księdze cmentarnej – wieś Izbica nad Narwią, współcześnie należąca do województwa mazowieckiego, lecz Izbica w powiecie krasnostawskim.

Podporucznik Trzepałka mógł zbiec z niewoli, dostarczono mu cywilne ubranie. Odmówił, bo tego zakazywał mu honor polskiego oficera. W drodze do Kozielska szedł najpierw pieszo ponad 70 km do Łucka, następnie koleją do Szepietówki i stamtąd dalej do Kijowa i Moskwy. „Pierwszy śnieg i mróz był 4.10 w Moskwie. Spaliśmy w bardzo zimnym wagonie towarowym. Jedliśmy raz na dzień" – zapisywał. Miesiąc później został przewieziony do Kozielska. Kilka dni później przypadało Święto Niepodległości: „Straszna jest niewola, poz[bawienie] wolności. Odbyło się małe nabożeństwo w baraku. Wieczorem pułkownik wygłosił wiersz oraz kolega [śpiewak z Poznania] zaśpiewał kilka pieśni".

Straszna była niewola, gdy „każdy dzień podobny do drugiego. Tęsknota z każdym dniem wzrasta, chciałoby się lotem ptaka dostać do kraju". Spędzone w obozie święta Bożego Narodzenia raczej pogłębiały smutek: „Dnia 24.12 – Wilia. Od rana w drużynie duży ruch z przygotowaniem". Autor pamiętnika odpowiadał za urządzenie stołu, ppor. Wacław Ryttel za dekoracje – pamiątkowe serwetki, por. Stanisław Sotowski – poczęstunek, na który złożyły się śledzie i jakaś inna ryba, jabłka, kanapki, ciasto. „Całość wyglądała ubogo – jak w niewoli […]. Kap.[itan] dr [Józef] Woźniak krótka mowa ze łzami w oczach. Bardzo przykry moment, obiad spożyliśmy w ciszy – a później kolędy". Z wymienionych towarzyszy niewoli Ryttel był architektem, absolwentem Politechniki Warszawskiej, jeszcze jako student służył w artylerii w czasie wojny z bolszewikami, podobnie Sotowski, który później ukończył Wydział Rolno-Leśny Uniwersytetu Poznańskiego. A doktor Woźniak studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, w pamiętnym 1920 r. służył w taborach.

Od góry: Dobiesław Jakubowicz, Maksymilian Trzepałka, Marian Gąsowski, Zbigniew Przystasz

FOT. MUZEUMKATYNSKIE.PL, SCHRONYPROSZOWICE.PL, TIMENOTE.INFO, OGRODYWSPOMNIEN.PL

20 marca 1940 r. minęło pół roku niewoli – „bardzo przykre chwile – tęsknota straszna z każdym dniem wzrasta za swymi i za krajem wolnym, kiedy to nastąpi?". Kilka dni później oficerowie obchodzili Święta Wielkiejnocy: „Zamiast jajek św[ięconych] mieliśmy chleb i sól i tym dzieliliśmy się w drużynie. Kiełbasy i szynki, i jajek nie było, bo trudno w tym kraju dostać. Mieliśmy to zrobione z drzewa, które imitowały. Boże! Jakież to przykre. Każdy z nas myślą był przy swoich. W obozie ruch był ożywiony – wszyscy odwiedzali się wzajemnie, składając życzenia szczęśliwego powrotu do Polski".

Nie minął miesiąc, kiedy wszyscy zostali zgładzeni. Ostatni zapis ppor. Maksymiliana Trzepałki, datowany na 19 kwietnia 1940 r., zawierał się w trzech słowach: „Wyjazd z Kozielska".

Pięknie śniłem o Tobie…

W odnalezionych pamiętnikach katyńskich powtarzają się podobne motywy: trudne warunki i szarzyzna obozowej codzienności, tęsknota za najbliższymi, nadzieje odzyskania wolności, plany na przyszłości, w końcu – informacja o wyjeździe z Kozielska. A także miłość do bliskich, którą szczególnie przejmująco oddają zapiski ppor. Dobiesława Jakubowicza. Ten urodzony w 1911 r. nauczyciel szkoły powszechnej w Strzybnicy w powiecie tarnogórskim służbę wojskową odbył w 84. Pułku Strzelców Poleskich, gdzie zyskał opinię bardzo dobrego podoficera, inteligentnego, pilnego, obowiązkowego, zdolnego organizatora, o dużym poczuciu godności osobistej. Zmobilizowany w końcu sierpnia 1939 r. służył w kadrze zapasowej pułku i 23 września dostał się do niewoli w Werbach, w pobliżu Włodzimierza. Stamtąd przewieziono go do obozu przejściowego w Szepietówce, a następnie, m.in. przez Berdyczów i Kijów, do obozu w Gorodoku. „Ja ciągle mniemam, że na Boże Narodzenie będę z Wami Marysiu i Bożenko […]. Oglądałem sobie Twoją, Maryś, fotografię i Bożenki. Tak bym chciał być jak najprędzej w domu. Kiedy to się skończy – to spanie na podłodze, w butach i w ubraniu, mam tylko płaszcz, bez koca, twardo, duszno i smrodliwie" – pisał, wspominając także o smutku wywołanym muzyką w radiu. „Przykro

eprasa.pl 1b6002f8cf

Ciała zamordowanych polskich oficerów, Katyń, 1943 r.

FOT. BIBLIOTEKA CYFROWA UW

jest słuchać, Maryś, muzyki tanecznej, bo przypomina mi się inny świat i dawne życie i ciężko się jest przez to pogodzić z tymi warunkami, ale trudno – wcześniej czy później muszą nas wypuścić i wtedy wrócę do Ciebie, Kochanie moje".

Z Gorodoka po przeszło trzech tygodniach Jakubowicz trafił do Kozielska. Ciężko znosił niewolę i rozłąkę z żoną i córką, która – jak wynika z dziennika – była zbyt mała, by mogła go zapamiętać: „Śniła mi się Bożenka i inne dzieci. Ona był w wózeczku i mówiła »Tatuś«, a później witałem się z nią […]. Chandra, chandra, męczy mnie – staram się ją przespać, bo to najlepsze lekarstwo. Znowu pogłoski o wyjeździe, ale nie wiadomo, w co wierzyć, ja w każdym razie jestem optymistą. Marysieńko, czemu tak daleko muszę być od Ciebie i Bożenki, czemu nie wiem nic o Tobie – kiedy to się skończy i będę mógł być znowu z Tobą, Kochanie. Nie mogę pisać już więcej, bo mi się płakać chce".

Szczepienia jeńców przeciw tyfusowi wzbudziły nadzieje na powrót – 3 grudnia 1940 r. Jakubowicz odnotował szerzące się pogłoski o rychłym wyjeździe: „Podobno pewne wiadomości wskazują na to, że na Boże Narodzenie będziemy w Kraju. Jakby to pięknie było, abyśmy na wilię mogli być razem Maryś, jak i Bożenka". I następnego dnia: „Dzień leci szybko za dniem i prędko zbliża się czas powrotu do Ciebie kochanie". 5 grudnia słyszał, że ma on nastąpić za 16 dni. Tak się nie stało i w rocznicę ślubu, która przypadła w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, młody nauczyciel zapisywał: „Wierzę w to, że już następną rocznicę i święta Bożego Narodzenia będziemy Kochanie, Marysieńko obchodzić razem, a może nawet prędzej zobaczymy się. Trudno opisać mi to, co czuję w tej chwili, ale ty takie uczucia dobrze znasz – tęsknota".

I to uczucie będzie obecne do końca w coraz krótszych zapiskach Jakubowicza, w których na początkach kwietnia pojawiło się złowrogie słowo „wywożą". Ostatnie zdanie dziennika, pod datą 22 kwietnia, brzmiało: „O godz. 1.30 pociąg ruszył, 12 godz. Smoleńsk".

Kazik wyjechał dwa dni wcześniej

Najkrótszy z odnalezionych zapisków, datowany na 23 kwietnia 1940 r., zawiera tylko trzy krótkie zdania, adresowane do matki – Marii Gąsowskiej – mieszkającej przy ul. św. Marka 33, oraz państwa Gąsowskich, także najpewniej najbliższych krewnych, przy ul. Topolowej 52; oba adresy – krakowskie. Autor tej informacji, spisanej na bibułce znalezionej w książeczce do nabożeństwa, to ppor. rez. Marian Gąsowski, 30-latek z Krakowa, absolwent tamtejszej Państwowej Szkoły Przemysłowej, kiedy wybuchła wojna, kończył studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej.

Służbę wojskową odbył w 20. pp, otrzymując stopień podchorążego i ocenę bardzo dobrą. Ale bezpośredni przełożeni uznawali Gąsowskiego za oficera o wybitnych kwalifikacjach: „Poważny, stateczny, bardzo pracowity, pilny, ambitny […]. Służbę traktuje poważnie i ideowo […]. Wiadomości fachowe b. duże, wyrobienie osobiste bardzo dobre" – pisano. Taką samą opinią cieszył się w pułku i później, kiedy odbywał ćwiczenia jako podporucznik.

Ale jakie zdania zapisał ten oficer? „Kochani! Jadę z Kozielska przez Smoleńsk w nieznane" i dalej, że Kazik, czyli przebywający w tym samym obozie starszy o dwa lata brat autora, ppor. Kazimierz Gąsowski, który niespełna rok wcześniej ukończył Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego, wyjechał dwa dni wcześniej. I jeszcze: „Całuję Was – Kochający Marian".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 1b6002f8cf

Erich Koch (w jasnym mundurze) nad makietą Gdańska, sierpień 1939 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BUNDESARCHIV

1896–1986 / Zarządca „rajskiego ogrodu" III Rzeszy

Brunatny car Hitlera

Damian Karol Markowski

Erich Koch stał się symbolem terroru niemieckiej administracji okupacyjnej. Od Bałtyku do Morza Czarnego zaprowadzał brutalne represje i wyzysk gospodarczy. Dlaczego więc po wojnie uniknął kary śmierci?

Ostatnie zdjęcie Kocha wykonano w Barczewie w listopadzie 1986 r., kilka dni przed jego śmiercią. Widać na nim siwego, 90-letniego starca, przygarbionego czasem i własną historią. Kto wie, może i świadomością popełnionych czynów? Oczy staruszka na fotografii pozostają jednak bystre. I jest w nich coś złowrogiego. Czy to pozostałość po czasach, gdy czuł się panem życia i śmierci milionów

eprasa.pl 1b6002f8cf

Polaków, Ukraińców i Żydów? Jak ten prosty działacz partyjny, z zawodu kolejarz, zaskarbił sobie przychylność Hitlera, stał się władcą „niemieckiego wschodu" i czym możemy tłumaczyć zagadkowo ulgowe potraktowanie go przez wymiar sprawiedliwości PRL?

W 1916 r. 20-letni Koch trafił na front wschodni i służył tam aż do zakończenia wielkiej wojny. Po klęsce Niemiec szybko chwycił ponownie za broń i przywdział mundur, tym razem Freikorpsu – znienawidzonej przez Polaków formacji, która zwalczała powstania na Śląsku.

Do NSDAP trafił bardzo wcześnie, w odróżnieniu od wielu innych prominentnych nazistów. Już w 1922 r. zasilił szeregi partii, przekonany o niesprawiedliwości, która miała spotkać Niemcy w wyniku przegranej wojny. Szybko zdobył zaufanie Hitlera. W 1928 r. przyszły dyktator powierzył mu organizowanie szeregów narodowych socjalistów w Prusach Wschodnich. Zatrute ziarno padło na podatny grunt. W jednej z uboższych prowincji Rzeszy rasistowskie hasła szybko infekowały kolejne umysły. Kiedy w 1933 r. Hitler doszedł do władzy, nie zapomniał o swoim towarzyszu partyjnym. Koch stał się panem i władcą Prus Wschodnich, sprawując urząd nadprezydenta. Równocześnie brał udział w decydujących rozmowach z Hitlerem, podczas których przedstawiał swoje chore z nienawiści poglądy na przyszły los Polaków i Żydów.

Gauleiter Prus Wschodnich wpisywał się w zaufane grono Hitlera. Nie mógł się pochwalić wyższym wykształceniem, zatem nie dawał wodzowi powodu do kompleksów, które Hitler miał przecież w stosunku do absolwentów uniwersytetów. Jego nieskomplikowana osobowość stanowiła kontrast wobec wyższych rangą wojskowych, w większości wywodzących się ze starej szlachty, czy też urzędników legitymujących się dyplomami najlepszych niemieckich uczelni.

Koch był raczej prostym człowiekiem, ale działał prężnie. Bywał rubaszny, a chwilami wręcz obcesowy. Miał jednak najważniejsze dla Hitlera zalety – był mu ślepo oddany i nienawidził podobnie mocno jak sam wódz Żydów, Słowian, „zgniłego Zachodu" – kogo tylko było trzeba.

Modernizację Prus Koch chciał osiągnąć poprzez częściową kolektywizację rolnictwa. Bauerowie byli tym zaniepokojeni, ale nadprezydent swoimi działaniami punktował w oczach innych mieszkańców Prus: dzięki szerokiemu programowi robót publicznych i budowy dróg w ciągu kilku lat mógł zameldować do Berlina o likwidacji bezrobocia w prowincji. Zamierzał teraz podjąć się jej industrializacji. Nie zdążył. Wybuch wojny sprawił, że kierownictwo partii postawiło przed nim znacznie bardziej „ambitne" zadania.

„Rajski ogród"

Po zniszczeniu Rzeczypospolitej pod władzę Kocha dostały się tereny północnego Mazowsza, z których stworzono tzw. rejencję ciechanowską. Nadprezydent w pełni korzystał z dostępnych mu narzędzi i rozpętał na podległych sobie ziemiach rasistowski terror wobec Żydów i Polaków połączony z bezpardonową grabieżą mienia ofiar. Kolejne transporty więźniów trafiały do obozu koncentracyjnego KL Stutthof i do obozu w Soldau. Koch był jednym z głównych nadzorców zagłady – zarówno Żydów, jak i polskich elit.

Błyskawiczny marsz niemieckich armii na wschód po wybuchu wojny ze Związkiem Sowieckim sprawił, że do jesieni 1941 r. większość ziem ukraińskich znalazła się pod okupacją. Naziści uznali, że należy nadać ogromnym podbitym obszarom odrębny status administracyjny. Twór ten mógłby podlegać eksploatacji gospodarczej przez kilka instytucji Rzeszy naraz, a jednocześnie z czasem jego tereny stałyby się częścią mitycznej niemieckiej „przestrzeni życiowej" w Europie Wschodniej. 1 września 1941 r. powołano do istnienia Reichskommissariat Ukraine – Komisariat Rzeszy Ukraina.

Ziemie ukraińskie – począwszy od Wołynia, a skończywszy na Zaporożu – stanowić miały „rajski ogród". Z jednym tylko zastrzeżeniem. Ten „Eden" XX w. miał powstać po zwycięskiej wojnie ze Związkiem Sowieckim i miał być zarezerwowany wyłącznie dla Niemców. Ci Słowianie, którym dane byłoby przeżyć hekatombę Zagłady (Żydów planowano wymordować co do jednego) oraz następujące po niej masowe przesiedlenia do Azji, mieliby jedynie służyć zwycięskiej „rasie panów".

Erich Koch

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ BUNDESARCHIV

Hitler nie szukał długo kandydata na stanowisko zarządcy swojego przyszłego „raju". Koch był tu oczywistym wyborem. Zanim jeszcze awansował na kata podbitych ziem ukraińskich, mógł szczycić się nowym stanowiskiem szefa administracji cywilnej Bezirk Bialystok (Okręgu Białostockiego). Został panem życia i śmierci kolejnych 1,7 mln obywateli polskich. Mógł tam dalej toczyć walkę z polskością, czyli – jak twierdził – naturalnym wrogiem niemieckości.

Podległe mu ziemie tworzyły odtąd prawdziwe imperium, państwo

eprasa.pl 1b6002f8cf

Alfred Rosenberg (w środku) i Erich Koch (z prawej) w Kijowie

FOT. WIKIQUOTE/BUNDESARCHIV

w państwie, rozciągające się 1,5 tys. km od wybrzeży Bałtyku do Morza Czarnego. Koch prowadził w nim swoją własną politykę, zachowując sporą dozę autonomii od innych organów nazistowskiego superpaństwa. Stało się to zresztą jednym ze źródeł jego konfliktu z innymi dostojnikami spod znaku swastyki: Reichsführerem-SS Heinrichem Himmlerem oraz ministrem rzeszy do spraw okupowanych Ziem Wschodnich, Alfredem Rosenbergiem. Dzięki zaufaniu wodza Rzeszy z wielu z tych kompetencyjnych sporów komisarz Ukrainy wychodził obronną ręką.

Deportacje, rozstrzeliwania, grabież – we wszystkich kluczowych aspektach budowy „Wielkich Niemiec" mógł się pochwalić efektywnością oraz całkowitą lojalnością. Obce były mu moralne rozterki. Nie miał zahamowań, bo i to, co robił, stanowiło kwintesencję jego życia. Był prawdziwym „raubritterem" (niemiecki rycerz renegat). Tyle że Koch nie miał w sobie nic z rycerskości. Podobnie rzecz miała się w przypadku jego świty. Wśród niemieckich urzędników na Ukrainie równolegle do sformalizowanego państwowego rabunku kwitły korupcja i bogacenie się „na boku".

„Projekt Ukraina"

Komisarz na każdym kroku podkreślał, jak bardzo wiernie będzie służyć chorej i zbrodniczej idei. Za jedno ze swoich głównych zadań uznał takie poróżnienie Ukraińców i Polaków, by – jak to sam ujął – spotykając jeden drugiego, chcieli się nawzajem pozabijać. Urząd pozwalał mu na zachowanie nadzoru nad zbrodniczymi działaniami gestapo i policji pomocniczej, złożonej z miejscowych kolaborantów. Z ochotą korzystał z tych uprawnień, wpisując się w niechlubną rolę jednego z wykonawców ogromnych masakr ludności żydowskiej i wszystkich innych ludzi uznanych za zagrożenie dla Rzeszy Niemieckiej.

Już na wstępie swojego urzędowania (panował z Równego na zachodnim Wołyniu) uznał, że szkoły są ludności ukraińskiej zupełnie niepotrzebne, ponieważ tego, co powinna ona umieć, nauczą jej „niemieccy panowie". Przy innej okazji stwierdził: „Jesteśmy rasą panów, która nie może zapomnieć, że najpośledniejszy niemiecki robotnik jest pod względem rasowym i biologicznym tysiąckrotnie bardziej wartościowy niż miejscowa ludność".

Tereny Komisariatu były jednym z najmocniej dotkniętych przed niemiecką politykę eksploatacyjną. Wszelkie przejawy nieposłuszeństwa spotykały się z drakońskimi karami. Za niewywiązywanie się z ogromnych kontyngentów chłopom groziły kary pieniężne, więzienie, a nawet śmierć. „Rajski ogród" miał przecież karmić nazistowskie armie walczące w głębi Związku Sowieckiego. Żywność i drewno to tylko część zasobów, których wymagała niemiecka machina wojenna. Kolejnym była siła robocza. Kiedy szybko wyczerpała się grupa osób chętnych do dobrowolnego wyjazdu na roboty do Rzeszy, smutną rzeczywistością regionu stały się prawdziwe obławy na niewolników. Doszło do tego, że wywożono również ludzi kalekich, chorych, dzieci i starców. Masowe egzekucje i krwawe pacyfikacje, połączone z rozstrzeliwaniem ludności całych miejscowości, znaczyły szlak ekspedycji karnych, które pojawiały się wszędzie tam, gdzie partyzantki sowiecka lub ukraińska nacjonalistyczna dawały o sobie znać.

W ramach Komisariatu dodatkowym źródłem grabieży był Zentralnotebank Ukraine z siedzibą w Równem. Działalność tej placówki pozwalała Niemcom na sformalizowanie kradzieży pieniędzy i nieruchomości należących do ofiar Holokaustu, a także brutalnie wyzyskiwanej ludności ukraińskiej i polskiej.

Kiedy zimą 1943/1944 niemiecki front wschodni załamał się pod Żytomierzem pod ciosami Armii Czerwonej, stało się jasne, że „projekt Ukraina" w postaci skazanej na brutalną eksploatację niemieckiej prowincji dobiega końca. Koch nie szafował zbytnio swoim życiem. Zawczasu opuścił Wołyń i przeniósł się do Rygi. Wraz z nim na północny zachód ruszyły transporty ewakuacyjne niemieckich urzędników, ich rodzin oraz ogromne ilości zrabowanego przez nich mienia. Zagrabione mienie wywożono z terenów Komisariatu tysiącami wagonów.

Mimo utraty „rajskiego ogrodu" Koch nie wypadł jednak z łask Hitlera. Kiedy tereny ukraińskie zostały przez Niemców utracone, we wrześniu 1944 r. otrzymał on posadę Komisarza Rzeszy „Wschód" (Reichskommissariat Ostland). Zaledwie kilka tygodni po tej nominacji Ryga została zdobyta przez wojska sowieckie. Koch nadzorował tworzenie Volkssturmu, formacji, która miała pomóc Wehrmachtowi i Waffen-SS zatrzymać czerwoną nawałnicę. Zdążył wysłać na pewną śmierć tysiące chłopców i starców, ale sam zbiegł z Królewca w styczniu 1945 r. Powrócił jeszcze do okrążonej Piławy (obecnie rosyjski Bałtyjsk), by uciec z niej w kwietniu.

Zdołał opuścić upadającą pruską fortecę, zanim Sowieci ostatecznie utopili Warmię i Mazury we krwi. Uciekł wbrew wcześniejszym butnym zapowiedziom o obronie do końca tego „bastionu niemieckości na wschodzie". Gdy wojna zmierzała ku końcowi, świadomy ciążącej na nim odpowiedzialności za popełnione zbrodnie przedostał się do Flensburga w północnych Niemczech. Daremnie starał się tam pozyskać dla siebie okręt podwodny, na którego pokładzie zamierzał uciec do Ameryki Południowej. Następnie ukrył się oraz zmienił imię i nazwisko. Liczył, że – podobnie jak wielu innym nazistom – uda mu się bezpiecznie zaszyć w którejś z zachodnich stref okupacyjnych.

Milczący więzień

Koch wpadł w Hamburgu dopiero cztery lata po zakończeniu wojny. Wytropiły go brytyjskie służby. W styczniu 1950 r. został przekazany wymiarowi sprawiedliwości tzw. Polski Ludowej. Na proces jednak przyszło mu czekać ponad osiem lat, co stawia jego sprawę w nie-

eprasa.pl 1b6002f8cf

zwykłym świetle. Dlaczego był traktowany na specjalnych zasadach?

Od samego początku Koch grał ofiarę systemu narodowosocjalistycznego, a nie sprawcę niewyobrażalnych tragedii ludzkich. Nie poczuwał się do odpowiedzialności za swoje czyny, za rolę, którą odegrał w ogromnej hitlerowskiej machinie ludobójstwa i eksploatacji materialnej Europy Wschodniej. Przed sądem w Warszawie stwierdził bezczelnie: „Nikogo nie zamordowałem, jestem niewinny, o tych wszystkich okropnościach popełnianych przez Niemców w czasie wojny dowiedziałem się tu, na sali sądowej, po raz pierwszy".

Szedł w zaparte do samego końca, byle tylko zachować choć cień szansy na uratowanie życia. Jednak wszystkie dowody i zeznania świadczyły przeciw niemu.

Proces zakończył się w 1959 r. Wyrok sądu był jednoznaczny. Sędzia stwierdził: „W imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej [...] uznaję Ericha Kocha za winnego popełnienia zbrodni [...], że w okresie od 1 września 1939 r. do kwietnia 1945 r. na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej przyłączonym do Prus Wschodnich jako tzw. okręg ciechanowski i okręg suwalski oraz na terenie tzw. okręgu białostockiego, jako gauleiter NSDAP, a następnie jako szef Zarządu Cywilnego Okręgu Białostockiego, działając ze względów politycznych, narodowościowych i rasowych, z własnej inicjatywy i w urzeczywistnieniu przestępczych wskazań władz państwowych III Rzeszy i NSDAP, łamiąc elementarne prawne i moralne zasady współżycia ludzi oraz przekraczając uprawnienia przyznane wojskowemu okupantowi na mocy obowiązującego prawa międzynarodowego, brał udział w dokonywaniu zabójstw osób spośród ludności cywilnej przez planowanie, przygotowywanie, organizowanie, podżeganie i udzielanie pomocy do zabójstw osób uznanych przez reżim hitlerowski za przeszkodę w utrzymaniu i ugruntowaniu władztwa hitlerowskiego na okupowanych terenach polskich".

Koch został uznany za sprawcę oraz inicjatora zamordowania co najmniej 272 tys. osób, z tego 200 tys. Żydów i 70 tys. Polaków zabitych na terenach Rzeczypospolitej, które znalazły się pod jego władzą w strukturach tzw. rejencji ciechanowskiej i okręgu białostockiego.

RYS. TRAJAN17/COMMONS.WIKIMEDIA/MARZENA WĘDCZYK

Należy jednak podkreślić, że z uwagi na poddańczy charakter ówczesnego polskiego sądownictwa wobec komunistów nie wliczono w poczet jego win okrucieństw, których dopuścił się na terenie okupowanych ziem ukraińskich i województwa wołyńskiego II RP. Trzeba przyznać, że jego „dokonania" na terenie Komisariatu Rzeszy Ukraina były pod tym względem jeszcze bardziej przerażające. Erich Koch został skazany na karę śmierci. Karę, która nigdy nie została wykonana!

Na egzekucję oczekiwał w celi zakładu karnego w Barczewie. To warmińskie miasteczko, jeszcze nie tak dawno nazywające się Wartenburg, było mu dobrze znane. Wizytował je niejednokrotnie w swoim brunatnym mundurze, w pysznej asyście, w kawalkadzie eleganckich czarnych limuzyn. Teraz musiał mu wystarczyć zgrzebny więzienny drelich. Nie miał też już swoich charakterystycznych wąsów.

„Hitler wyzwoliciel". Plakat propagandowy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Niezrozumiały – jak się mogło wydawać – wyrok komunistycznego sądu obrósł legendami. Dlaczego pozwolono Kochowi na zachowanie życia, choć powinien był ponieść śmierć? Jego winy nie podlegały przecież jakiejkolwiek dyskusji. Naziści mający dużo mniej na sumieniu trafiali na szubienicę w ramach powojennych procesów. On jednak przeżył, traktowany przez dyrekcję więzienia wyjątkowo – przebywał w jednoosobowej celi.

Czy zatem kupił sobie cztery dekady życia za cenę stopniowego ujawniania wiedzy, którą dysponował, głównie w kwestii losów słynnej Bursztynowej Komnaty? Prawdopodobnie żaden inny człowiek nie posiadał tak dużej wiedzy o skarbach ukrytych na terenie dawnych Prus Wschodnich. A może w grę wchodziło ewentualne wykorzystanie go podczas różnych gier prowadzonych na Zachodzie przez wywiad PRL? Być może już nigdy nie dowiemy się prawdy na ten temat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

FOT. JERZY GUMOWSKI

Osiemdziesiąte urodziny / Pisarz z Bibliofilandii

Gdzie leży prawda Łysiaka

Krzysztof Masłoń

Właściwie nie ma dziedziny pisarskiej, której by nie uprawiał. Swoją pisarską sławę w dużej mierze zawdzięcza jednak Napoleonowi, bo autorem, którego książki kupowało się spod lady, stał się właśnie za sprawą francuskiego cesarza

Osiemdziesiąt lat temu, 8 marca 1944 r., w Warszawie urodził się Waldemar Łysiak, pisarz i publicysta, autor ponad 50 książek, w tym wielu bestsellerów, znawca epoki napoleońskiej, bibliofil, architekt o bardzo wyraźnych poglądach politycznych, swoimi wypowiedziami bulwersujący opinię publiczną, co przysparza mu zarówno zaprzysięgłych zwolenników, jak i zaciętych nieprzyjaciół. Deklaruje się jako konserwatysta, zwolennik myśli prawicowej, polski patriota i katolik. Przez lata swojej działalności publicystycznej zamieszczał artykuły i felietony na łamach m.in. „Najwyższego Czasu", „Gazety Polskiej", „Tygodnika Solidarność" i „Do Rzeczy" (w latach 2013–2020).

Ostatnimi czasy wzbudził powszechne oburzenie, nader sceptycznie odnosząc się do nagle rozkwitłej przyjaźni polsko-ukraińskiej. Zebrał liczne inwektywy, bezsensownie zarzucono mu proputinowskość, nie zważając, co na ten temat i inne pisał wcześniej. A przypomnę tu tylko jego graniczące wtedy z szaleństwem zakwestionowanie naszego stanowiska wobec konfliktu bałkańskiego, gdy odgórnie zarządzono współczucie dla muzułmanów z Albanii i poparcie dla Amerykanów bezmyślnie bombardujących chrześcijańską Serbię. A Łysiak uczynił to publicznie, i to w programie (uwaga, uwaga!) Moniki Olejnik.

eprasa.pl 1b6002f8cf

Gdy zaczął krytycznie pisać o Lechu Wałęsie, Andrzeju Wajdzie, Tomaszu Lisie, a zwłaszcza o Adamie Michniku, „Gazeta Wyborcza" nazwała go „Lepperem polskiej literatury i publicystyki" (Antoni Pawlak), „baronem Münchhausenem IV RP" (Wojciech Czuchnowski), zazwyczaj jednak ograniczając się albo do „gumkowania" nazwiska pisarza przy każdej okazji, albo do cytowania lapidarnej opinii Adama Michnika, którego zdaniem Łysiak to „trzeciorzędny grafoman".

Kadr ze spektaklu telewizyjnego „Cena" FOT. TVP

Bandyci z bandytami

Niechęć Salonu Warszawskiego, którego organem jest od lat „Gazeta Wyborcza", pisarz tłumaczył tak: „Z mojego punktu widzenia cała III Rzeczpospolita stoi na głowie od samego początku, od dwudziestu lat. Z tej prostej przyczyny, że zbudowana została przez układ okrągłostołowy, bardzo nieczysty. Tam usiadły do rozmów dwie siły, niby opozycyjne wobec siebie, esbecja i tzw. konstruktywna opozycja, czyli opozycja KOR-owska, to, co ja nazywam michnikowszczyzną, Salonem czy udecją. Przez lata osiemdziesiąte te dwie lewicowe frakcje walczyły ze sobą o żłób. I pod koniec dziewiątej dekady zeszłego wieku postanowiły się dogadać. O takich opiniach jak moje mówi się często »oszołomstwo«, »spiskowa teoria dziejów« i opowiada, że prawda o zaraniu III RP leży gdzieś pośrodku. Otóż nie, ktoś ładnie powiedział, że prawda nie leży po żadnym środku, tylko prawda leży tam, gdzie leży. Więc prawda jest taka, że dogadali się bandyci z bandytami: »My wam oddajemy władzę polityczną, a wy nam cały majątek tego kraju«. I ten system trwa. Jarosław Kaczyński mówi wiele głupstw, ale czasami zdarza mu się powiedzieć czystą prawdę. I to mu się zdarzyło, gdy powiedział o kondominium rosyjsko-niemieckim. Całkowicie się z tym zdaniem zgadzam. Zresztą, innymi słowy, piszę o tym od dwudziestu lat w swoich publicystycznych książkach, za które jestem przez Salon flekowany".

Olgierd Terlecki podkreślał prostotę i przejrzystość języka jego książek, zarazem świadomie zbliżającego się miejscami do „bogatej barokowej prozy poetyckiej". Język Łysiaka ma jego zdaniem pozwalać „zbliżyć się literaturze do malarstwa na odległość nie większą od tej, która oddziela znającego się na rzeczy widza od ulubionego obrazu". À propos obrazów, Waldemarem Łysiak jest autorem niezwykłego wielotomowego „Malarstwa białego człowieka", cyklu albumów sztuki jakże celnie (i niepoprawnie) zatytułowanych. Z kolei architektoniczne wykształcenie pisarza (tytuł doktorski na Politechnice Warszawskiej otrzymał za pracę, nomen omen, „Doktryna fortyfikacyjna Napoleona") zaowocowało m.in. biografią amerykańskiego wizjonera i nowatora z przełomu wieków XIX i XX, Franka Lloyda Wrighta.

Wracając do języka pisarza – na pewno zdumiewa swoją barwnością, grą skojarzeń, a poza tym z jednej strony erudycyjnością, a z drugiej dosadnością. Jedno jest pewne. Czytelnik książek Waldemara Łysiaka nie ma prawa się nudzić.

A które Łysiakowe tytuły uchodzą za najlepsze? To już kwestia gustu. Osobiście we wdzięcznej pamięci przechowuję „Flet z mandragory" (1981), błyskotliwą, a także wnikliwą analizę totalitaryzmu, powieść pozornie fantastyczną i sensacyjną. Do zgoła innych, zdawałoby się, czytelników adresowane były „Wyspy zaczarowane" (1976), pełne legend, opowieści o dziełach sztuki, nawiązań do tradycji śródziemnomorskiej. „Jest tu coś z Herberta »Barbarzyńcy w ogrodzie« – pisał Piotr Kuncewicz – ale Łysiak czuje się nie tyle barbarzyńcą, co partnerem".

Książki napoleońskie z „Empirowym pasjansem" (1977) i „Cesarskim pokerem" (1978) na czele to temat sam w sobie odrębny, ale może jeszcze zwróciłbym uwagę na zgoła odmienną, a jakże ciekawą książkę „MW" (1984), której tytuł można odczytać jako „Muzeum Wyobraźni". Jest w niej wszystko, czego dusza zapragnie, a nawet więcej.

Wystarczy spojrzeć na daty edycji, by zorientować się, że najwyżej cenię (nie ja jeden) dawne książki autora „Rzeczypospolitej kłamców. Salonu" (2004). Cóż, polska rzeczywistość polityczna się zmieniła i tak też zmieniło się pisarstwo Waldemara Łysiaka.

Pieśń o ziemi naszej

Jest Łysiak wybitnym bibliofilem, swego czasu zwanym „królem kolekcjonerów polskich", mającym w swoich zbiorach rękopisy wierszy Norwida, unikatowy zestaw literatury dziewczęcej doby międzywojnia, a może przede wszystkim wspaniałe pierwodruki z „Trenami" Jana Kochanowskiego na czele.

Linia graniczna między bibliofilstwem a bibliomaniactwem niekiedy się zaciera. W „Empireum" Waldemar Łysiak opisuje historię XIX-wiecznego hiszpańskiego mnicha skazanego na śmierć za wielokrotne morderstwa, które popełniał, by zdobyć poszukiwany tom. Ostatnim życzeniem Don Vincente, bo tak się nazywał, było przekazanie jego księgozbioru bibliotece miejskiej w Barcelonie, żeby nie uległ on rozproszeniu. „To była jedyna moja miłość – oświadczył nieszczęśnik. – Czy słyszycie tę nutę erotyzmu? – pyta Łysiak. – I nie mylicie się, dla bibliofilów klasyczne »con amore« właśnie to oznacza".

Że jest tak właśnie, a nie inaczej, można było się przekonać w 2001 r., kiedy

eprasa.pl 1b6002f8cf

pisarz przekazać miał swoje zbiory z „Trenami" Jana z Czarnolasu na czele Bibliotece Kórnickiej. Odbyło się z tej okazji specjalne seminarium, przybyli oficjele i dziennikarze. Wszystko jednak diabli wzięli, gdy pisarz doszukał się nieprawidłowości w przedłożonym mu do podpisu akcie umowy, w którym nie znalazła się kategoria „dożywotniego depozytariusza". I to rozwścieczyło pisarza do tego stopnia, że trzasnął drzwiami i wrócił na swoją Saską Kępę, której swoją drogą poświęcił jedną ze swoich warszawskich książek („Historia Saskiej Kępy", 2008).

A pełny tytuł „Empireum" (2004) jest taki: „Patriotyczne Empireum Bibliofilstwa, czyli przewodnik po terenach łowieckich Bibliofilandii tudzież sąsiednich mocarstw", a za patronkę to luksusowe, dwutomowe wydanie ma… Matkę Boską.

Nieznośne bywa przeświadczenie Waldemara Łysiaka o swoich racjach i nierzadki jest manieryzm jego języka, bo o historii i tradycji pisać można równie dobrze, a pewnie i lepiej, nie popadając w staropolszczyznę, nie nadużywając archaizmów i wielkich słów, dla podkreślenia ich wagi pisanych wielką literą.

Ale gdy Łysiak pisze o Kresowianach, gdy opowiada o wydawnictwach tyczących się obrony Lwowa i Orląt Lwowskich, od pierwszego słowa wiem, że te stronice pisane są sercem. I że nie bez powodu ten pisarz, wcale niemający z Kresami specjalnych związków – mama była Wielkopolanką, ojciec urodził się w Niemczech – za symboliczną dla poruszanej przez siebie tematyki uznaje „Pieśń o ziemi naszej" Wincentego Pola i wskazuje palcem jej poznańskie wydanie z 1865 r. z miedziorytami S. Łukowskiego i stalorytami J. Outhwaite'a według rysunków Juliusza Kossaka – „Litwą", „Żmudzią", „Wołyniem", „Ukrainą", „Podolem". „Rymy Pola o tych krainach są istotnie pieśnią o ziemi n a s z e j! – czytamy. – Ziemi ukradzionej nam przez totalitaryzm".

W historii jednak – uważa Łysiak – nie ma nic na zawsze, a będąc rodzaju żeńskiego, jest ona nieprzewidywalna. Dlatego wynajdując analogie z mającymi trwać wiecznie imperiami Persów, Habsburgów, III Rzeszą i ZSRS, autor „Empireum" nie ma zamiaru wszczynać kolejnych awantur wojennych o Lwów czy Wilno, zapowiada natomiast co innego: „Usiądę na brzegu rzeki i spokojnie poczekam, aż spłyną trupy wrogów. Za 50 lat, za 100 zim, za 300 wiosen – prędzej czy później. Jestem równie cierpliwy, jak historia jest nieprzewidywalna i pomysłowa".

Kuszenie św. Mateusza

W 2011 r. wydał Waldemar Łysiak charakterystyczną dla siebie powieść „Satynowy magik", w której zmierzył się z mitem faustowskim. Nie powstał jednak nowy „Faust", a w usytuowanej przez autora w III Rzeszy, w drugiej połowie lat 30., historii Mateusza i jego diabelskiego antagonisty nie wyczuwa się też zwarcia intelektów, jak u Settembriniego i Naphty z „Czarodziejskiej góry" Tomasza Manna. Na dobrą sprawę nie jest to w ogóle powieść, a już z pewnością powieść historyczna. Czytelnik podążając za fabułą, dowie się za to m.in. o antysemityzmie Piłata i rozlicznych wersjach jego żywota i śmierci, o romansie Michała Wojnicza z Efhel Lilian Boole, w którego wyniku powstał „Szerszeń" – ulubiona książka rewolucjonistów wszelkiej maści, a i towarzysza Stalina, dokona także inwentaryzacji sławnych kobiet, które do bardzo późnych lat zachowały urodę i aktywność seksualną (z małżonką gen. Józefa Zajączka), pozna tajniki gnozy katarskiej, nauczy się na pamięć strof wierszy Eliota i Audena, wreszcie stanie się koneserem koniaku, przyswajając sobie sposoby otrzymywania tego trunku, zanim oznaczony zostanie literami VS, VSOP, a bywa, że i XO. A jakby tego mało, zahaczy z jednej strony o Franka Kimono i „harlequiny", a z drugiej o Thomasa More'a, czyli Morusa i o Antonia Gramsciego.

Wszystko to jest bardzo ciekawe, ale cały ten miks przypomina najbardziej dawne kalendarze szlacheckie, z ich nieodpartym wdziękiem i gruntownym materii pomieszaniem. Powieść ta mogłaby być jeszcze jednym wielkim zmaganiem pierwiastka anielskiego z diabelskim, freskiem „Kuszenie św. Mateusza", ale niestety, Mateusz nie jest wcale święty, na świętość nie ma nawet zadatków, i marny z niego antagonista Mefistofelesa. Ze swoją wyniesioną z domu wiarą, pasją podróżniczą i skrywaną erotomanią wydaje się wręcz sztampową kukiełką.

Ale też czytając „Satynowego magika", przypomniałem sobie, co o powstawaniu tej właśnie książki opowiadał mi autor, podkreślając, że nie miał zamiaru ścigać się z Goethem, ale skoro tylu już pisarzy napisało „Fausta" po swojemu, to i on mógł mieć taki kaprys. Dlatego wymyślił sobie nadbałtyckie miasteczko, a w nim nieistniejący uniwersytet i bohatera, który trafia na niebezpiecznego, ale jakże pociągającego mentora. A przy pisaniu tej opowieści bawił się znakomicie. To ważne zdanie, bo Łysiak nigdy nie krył tego, że uprawianie literatury sprawia mu, najzwyczajniej, przyjemność.

A z jakiego pomysłu na książkę był najbardziej zadowolony – o to spytałem go w obszernym wywiadzie przeprowadzonym dla „Plusa Minusa" w 2010 r.

– Z „Ceny" – odpowiedział Łysiak. – Na jej pomysł wpadłem w trakcie rozmowy z AK-owcami, w leśniczówce, przy wódce i bigosie. Pomyślałem wtedy, co może być genialniejszego niż dylemat: mamy piętnastu ludzi, których czeka śmierć, i gestapowiec mówi, ja ich wypuszczę, tylko musicie mi dać piętnastu innych. Nie ma dobrego wyjścia, cokolwiek pan zrobi, z tego zamkniętego pokoju wyjdzie pan jako świnia. Nic pana nie usprawiedliwi.

– A największy sentyment mam do „Konkwisty" – wyznał w innym miejscu. – Głównie dlatego, że miała to być książka byle jaka, z premedytacją pisana lewą ręką, tylko dla pieniędzy, tymczasem już po pierwszym rozdziale przełożyłem pióro do prawej ręki, ponieważ poczułem, że powieść zmierza w dobrym kierunku. A był to dla mnie okres kryzysowy, gdy zwątpiłem w wartość tego, co napisałem, i postanowiłem rzucić literaturę, wracając do zawodu architekta i konserwatora sztuki. Szybko jednak brakować zaczęło pieniędzy, pomyślałem więc: „Dobra, skoro chcecie ode mnie nowej książki, która też będzie się dobrze sprzedawała, no to napiszę wam takie byle co". Modne były niedawno powieści w rodzaju „Psów wojny" Forsytha, więc o temat się nie martwiłem i zasiadłem do pisania „Konkwisty". A potem o porzuceniu pisania już nie myślałem.

eprasa.pl 1b6002f8cf

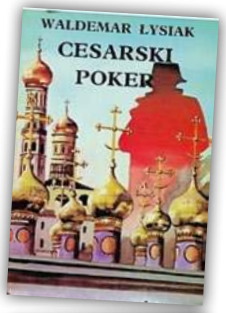

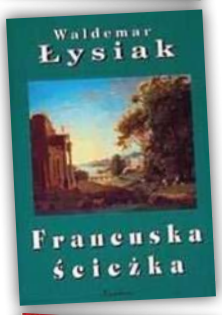

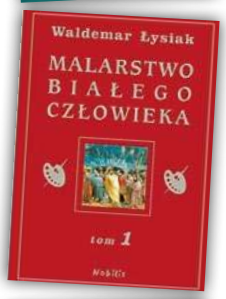

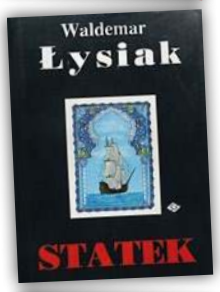

Swoją pisarską sławę w dużej mierze zawdzięcza Napoleonowi, bo autorem, którego książki kupowało się spod lady, stał się właśnie za sprawą francuskiego cesarza. Największym polskim napoleonistą nazywali go Bratkowski i Radgowski, Stanisław Zieliński i Szymon Kobyliński. Prześcigając się w pochwałach, pomijano zwykle to, co zaakcentował Olgierd Terlecki, stwierdzając, że: „Kanwa historyczna jest dla autora tylko pretekstem do błyskotliwych opowieści o wędrówkach w przeszłość i pożytecznym oparciem dla projekcji jego rozpędzonej wyobraźni".

A skąd się wzięły fascynacje, dzięki którym powstały takie książki Łysiaka jak „Empirowy pasjans" czy „Cesarski poker"?

– Może zacznę od tego, skąd wziął się Napoleon? Z ojca – wyjaśni mi pisarz. – Przyszedł ojciec i na stoliczku nocnym obok łóżka położył szczeniakowi książkę z dużym złotym „N" na okładce z zielonej skóry. I dzieciak zakochał się w Napoleonie. A czemu kochał się w nim dalej, w szkole, na studiach? Bo to było poszukiwanie idola, na co nakładały się przyczyny polityczne. Tak właśnie, polityczne! Bo ten facet, wbrew temu, co pieprzyła propaganda marksistowska, przyszedł tu i zrobił to, czego Polacy nie potrafili zrobić powstaniami i „własnymi ręcami". Skopał dupę trzem zaborcom i stworzył wolną Polskę, dał ją nam na talerzu. To, że ją nazwał Księstwem Warszawskim, pal licho, a gdyby wojna 1812 roku zakończyła się sukcesem, mielibyśmy znów Polskę od morza do morza. I jak nie kochać takiego faceta! A Napoleon dzisiaj? Powiem przewrotnie: tak go już dobrze znam, że przy całej mojej miłości do niego, gdyby pan dzisiaj chciał wynająć faceta do przyłożenia mu tak, jak jeszcze nigdy nikt mu nie przyłożył, nie znalazłby pan ode mnie lepszego kandydata. Za dużo o nim wiem, tyle że nie chcę się dzielić tą wiedzą. Inna sprawa, że – co gdzieś kiedyś powiedziałem – swój dług wobec Napoleona spłaciłem, zajmując się nim wystarczająco długo. Aż tu nagle w 2007 roku wydałem „Talleyranda", choć bardziej chodziło mi tu o Talleyranda niż Napoleona, a to dlatego, że interesuje mnie Mefistofeles jako taki. A Talleyrand był żywym jego wcieleniem.

Wiewiórki lubią orzeszki

Właściwie nie ma dziedziny pisarskiej, której by nie uprawiał. Zajmował się biografistyką i faktografią, pisał powieści, opowiadania i scenariusze, artykuły publicystyczne i felietony, eseje i słuchowiska radiowe, humoreski, reportaże, a nawet bajki. Namówiony przez córkę – Annę – z myślą o swoich wnuczętach popełnił dwa tomy takich „Bajek dla małych i dużych", wydając je w dwóch bogato ilustrowanych tomach w 2015 r. Autor nie byłby jednak sobą, gdyby i w tym wypadku nie wykazał się dość daleko idącą niepoprawnością. Trudno bowiem nie uznać za ryzykowną tezę postawioną w „Janku zoologu i zwierzakach dziwakach", jakoby to zasadnicze zmiany obyczajów, głównie seksualnych, spowodowały wyginięcie na naszej planecie smoków, wcześniej grasujących po niej bez opamiętania. „Przyczyną tej szczęśliwej zmiany – wywodził nasz bajkopisarz – była rewolucja obyczajowa ludzkiego gatunku, czyli wynalazki takie jak »emancypacja«, »tolerancja« i »wolna miłość«. Każdy bowiem rodzaj zwierząt ma swoje ulubione pożywienie. Wiewiórki lubią orzeszki, zajączki lubią marchewki, misie lubią miód, pieski lubią kość, koniki lubią siano, »grube ryby« lubią kawior, a Smoki najbardziej lubią spożywać dziewice. Niejedno miasteczko w dawnych czasach zapewniało sobie święty spokój, regularnie dostarczając dziewice do konsumpcji Smokowi mieszkającemu nieopodal grodu – mówią o tym podania ludowe wszystkich prawie ludów tej ziemi. Gdy więc wskutek »rewolucji obyczajowej« liczba dziewic zaczęła się gwałtownie obniżać, Smoki zaczęły głodować, słabnąć i padać łupem rycerzy przez utratę możliwości miotania ognia, a dzisiaj już właściwie wyginęły niczym mamuty i dinozaury, mówiąc krótko: problem wyzerowano". Nawiasem mówiąc, autor zwraca uwagę i na to, że wyginięcie jednorożców również może być powodowane tym samym niedostatkiem dziewic, teoria ta jednak „nie została bezspornie udowodniona naukowo".

Jakby komu było mało, to do lektury Łysiakowych bajek zachęcę jeszcze dorosłych odwołaniem się do pochodzących z „Przygód bociana Patafiana" rozważań wilka nad tym, co jest trudniejsze: „poderwać Czerwonego Kapturka czy iść do łóżka z babcią? Kwestie moralne i techniczne cisną się ze wszystkich stron, a właściwych odpowiedzi, trafnych decyzji, prostych rozwiązań często brakuje". No właśnie, w każdym razie dziatwie te, skądinąd urocze, opowiastki Waldemara Łysiaka przed lekturą warto, choć trochę, ocenzurować.

A rodzinne parantele pisarza uzupełnię informacją, że jego synem jest Tomasz Łysiak, scenarzysta filmów dokumentalnych i fabularnych, m.in. „Legionów" w reżyserii Dariusza Gajewskiego (2019), współautor scenariusza „Smoleńska" w reżyserii Antoniego Krauzego (2014), powieściopisarz [m.in. trylogia szalbierska: „Szalbierz" (2007), „Bliznobrody" (2008), „Psy Tartaru" (2010)] i eseista („Medalion na pancerzu", 2015), radiowiec, przez ćwierć wieku prowadzący audycję satyryczną „DeDektyw Inwektyw".

Z kolei wnukiem Waldemara Łysiaka, a synem Tomasza Łysiaka jest reżyser filmowy – Tadeusz Łysiak, w 2022 r. za „Sukienkę" nominowany do Oscara w kategorii Najlepszy Krótkometrażowy Film Aktorski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

Józef Stalin FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Książka miesiąca / Wojna Stalina

Kremlowski ster

W wydanym w 1987 r. „Lodołamaczu" Wiktor Suworow przedstawił sensacyjnie brzmiącą tezę: Armia Czerwona załamała się błyskawicznie pod ciosami Wehrmachtu, ponieważ Stalin szykował ją do uderzenia na III Rzeszę. Sowieckie wojska były przygotowywane do ataku, a nie do obrony – stąd tak gigantyczna skala strat w pierwszych dniach i tygodniach wojny. Teza ta wywołała gorącą dyskusję wśród historyków. Wraz z otwarciem sowieckich archiwów zagadnienie to zaczęli prześwietlać kolejni badacze. Powstały na tej bazie sążniste opracowania, które pokazywały jedno: na granicy z III Rzeszą, tuż przed rozpoczęciem operacji „Barbarossa", wojska sowieckie szykowały się do czegoś bardzo dużego. Do dyskusji o celu tych przygotowań dołączył też Sean McMeekin ze swoją monumentalną „Wojną Stalina".

„Przeświadczenie, z którym można się czasem spotkać w ogólnych opracowaniach na temat historii II wojny światowej, że Stalin i jego generałowie zasnęli za sterami, podczas gdy generałowie Hitlera przygotowywali się do »Barbarossy«, musi być teraz odrzucone jako absurdalne" – pisze McMeekin.

W miesiącach poprzedzających atak Niemiec Stalin robił pod adresem Niemiec różne ukłony, np. w maju wyrzucił ambasadorów państw okupowanych przez Niemcy (m.in. Norwegii czy Holandii), ale – jak zauważa autor – równocześnie szykował swoją armię do ogromnej ofensywy.

„W czasie, gdy wyciągał gałązkę oliwną do Berlina, jego komisarz obrony, marszałek Timoszenko, i szef radzieckiego sztabu generalnego, Żukow, aktualizowali plany mobilizacyjne Armii Czerwonej, dostosowując je do nowej doktryny ofensywnej ogłoszonej 5 maja. Powstały w wyniku tych prac plan wojenny, ukończony 15 maja, zakładał »nagłe uderzenie na wroga zarówno z powietrza, jak i na lądzie« – pisze McMeekin. – Idealna data rozpoczęcia radzieckiej ofensywy, określona w radzieckich grach wojennych ze stycznia, marca i maja oraz wskazywana przez harmonogram rozwinięcia wojsk, które miało nastąpić od czerwca do lipca 1941 r., przypadała na koniec lipca lub na sierpień". Według tego planu Armia Czerwona miała w ciągu miesiąca dojść do Łodzi, Krakowa i Ołomuńca. Jednocześnie McMeekin zaznacza, że wszystko to nie jest żelaznym dowodem, iż Stalin rzeczywiście podjął wiosną 1941 r. decyzję o wojnie. Wiele przemawia jednak za tezą, że sowiecki dyktator szykował swoje państwo i armię do kolejnej wojny napastniczej, tym razem jednak przeciw równorzędnemu przeciwnikowi.

Autor rozprawia się też z powszechnym przekonaniem, jakoby Stalin w ciągu pierwszych dwóch tygodni po niemieckiej inwazji miał przechodzić załamanie, które uniemożliwiało mu normalne funkcjonowanie. To nieprawda – Stalin cały czas spotykał się z najbliższymi współpracownikami i z dowództwem armii. Trzymał rękę na pulsie, choć początkowo niewiele to dawało – impet niemieckiego uderzenia mielił kolejne sowieckie jednostki. Nawiasem mówiąc, wersja o załamanym Stalinie jest jak najbardziej na rękę Moskwie. Wpisuje się bowiem doskonale w narrację o niewinnej Rosji bolszewickiej, która tak bardzo była nieprzygotowana na agresję, że nawet jej przywódca po ludzku się załamał pod ogromem nieszczęść.

McMeekin trafnie zauważa, że o ile druga wojna światowa najczęściej kojarzona jest z Hitlerem, o tyle w rzeczywistości, jeżeli mielibyśmy wybrać jedną jej twarz, byłaby to przede wszystkim wojna Stalina. To właśnie on był cały czas przy władzy w latach 1931–1945, to jego armie były zaangażowane na najważniejszych teatrach wojennych Europy i Azji i to jemu przypadło najwięcej łupów. ©℗

Piotr Włoczyk

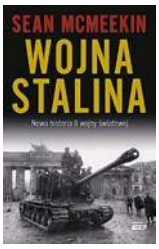

SEAN MCMEEKIN
„WOJNA STALINA. NOWA HISTORIA II WOJNY ŚWIATOWEJ"
ZNAK HORYZONT

eprasa.pl 1b6002f8cf

Dwudziesta kresowa Atlantyda

Właśnie ukazał się XX tom „Kresowej Atlantydy" prof. Stanisława Sławomira Niciei. Jest to okazja, by powiedzieć, że mamy do czynienia z niezwykłym dziełem, i to dziełem jednego autora. Profesor Nicieja pisze o kresowych miastach, miasteczkach i wsiach, głównie na południowo-wschodnich kresach II RP. Jego „Kresowa Atlantyda" nie jest suchym opisem historii miejsc i ich zabytków. Od tego są przewodniki, dawne i współczesne. Autor cyklu 20 książek – a będą i następne – opowiada głównie o Polakach, którzy na Kresach Wschodnich żyli i tworzyli tamtejszą rzeczywistość. I o tych, którzy byli zmuszeni je opuścić po 1945 r.

Dwudziesty tom „Kresowej Atlantydy" to Równe, Janowa Dolina i Korzec. Nie można jednak pominąć wstępu autora. Pisze on bowiem w nim o powstałych u samego schyłku rządów komunistów, w ostatnich latach PRL, towarzystwach i organizacjach Kresowiaków. To dzięki nim pamięć o Kresach Wschodnich nie zaginęła. Profesor Nicieja stanowczo nie zgadza się z myślą sformułowaną przez Pawła Kowala, polityka Platformy Obywatelskiej, że gen. Jaruzelski podczas swoich rządów w latach 80. kokietował Polaków, w tym Kresowiaków, zgodą na pisanie o utraconej ojczyźnie. Tak nie było! Jaruzelski dopiero jako prezydent pojechał do Lwowa, był też na cmentarzu Obrońców Lwowa. Wtedy to jeden z Polaków żyjących we Lwowie ironicznie powiedział: „Cieszymy się, że pan prezydent odnalazł nas na mapie świata".

Wcześniej Jaruzelski nie chciał się narazić Sowietom. W komunistycznej Polsce ukazały się książki „Wysoki Zamek" Stanisława Lema i „Dom pod Żelaznym Lwem" Witolda Szolgini. Czytelnik musiał się domyślać, że książki te mówią o Lwowie…

Profesor Nicieja pyta, dlaczego w Berlinie może być stała wystawa „Ucieczka, wypędzenie, pojednanie", mówiąca o losach Niemców, a w Warszawie nie może być podobnej stałej wystawy o losach Polaków z Kresów Wschodnich. Można do tego pytania dodać inne: Dlaczego obecny rząd nie życzy sobie, by w Chełmie powstało muzeum pamięci ofiar rzezi wołyńskiej? ©℗ ***Tomasz Stańczyk***

STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA
„KRESOWA ATLANTYDA. HISTORIA I MITOLOGIA MIAST KRESOWYCH", T. XX
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO, WYDAWNICTWO MS

Drugie Zakopane

Worochta była w dwudziestoleciu międzywojennym główną rywalką Zakopanego. Perła Huculszczyzny zasłynęła jako pierwsza miejscowość, która mogła się pochwalić profesjonalną skocznią narciarską (trzy lata przed tatrzańskim konkurentem!). Album Skłodowskiego urzeka przepięknymi zdjęciami. Widzimy, jak niesamowicie bogaty kulturowo był tamten zakątek Polski, przy styku granic z Czechosłowacją i Rumunią. Huculi, Polacy, Ukraińcy, Cyganie, Żydzi – ta mieszanka kultur i języków musiała robić niesamowite wrażenie. ©℗ ***(p.w.)***

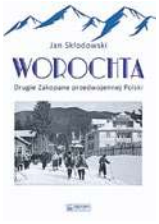

JAN SKŁODOWSKI
„WOROCHTA. DRUGIE ZAKOPANE PRZEDWOJENNEJ POLSKI"
KSIĘŻY MŁYN

STANISŁAW SROKOWSKI
„ZANIM SPŁONĘLI ŻYWCEM. UKRAIŃSKA ZBRODNIA W HUCIE PIENIACKIEJ"
FRONDA

ŚWIADECTWO RZEZI

Piorunujący obraz zagłady Huty Pieniackiej. Strażnik pamięci o ofiarach ludobójstwa ukraińskich nacjonalistów, napisał kolejną fundamentalną książkę. Wieś licząca przed atakiem ukraińskich esesmanów i upowców 172 gospodarstwa niemal w całości została bestialsko wymordowana. Autor pokazuje, jak doszło do tego niewyobrażalnego horroru. ©℗ ***(p.w.)***

JACQUES LE GOFF
„O INNE ŚREDNIOWIECZE"
ALETHEIA 2024

CZAS EUROPY

Wczesne szkice bodaj najwybitniejszego francuskiego mediewisty (zmarłego 10 lat temu). Autor pisze o „pracy, kultury i pojmowania czasu w Europie Zachodniej od V do XV wieku". Rozpoznajemy wówczas „nasze zakorzenienie w przeszłości i zrywanie z nią, naszą niespokojną nowoczesność oraz potrzebę zrozumienia zmiany będącej fundamentem historii jako nauki". ©℗ ***(L.L.)***

ANDRZEJ ZAWISTOWSKI
„KOSZYKOWA RÓG STALINA"
INSTYTUT PILECKIEGO

PIEKIELNY RÓG

Obowiązkowa lektura dla wszystkich, którzy interesują się historią powojennej konspiracji niepodległościowej. W areszcie MBP przetrzymywano najbardziej znanych żołnierzy podziemia niepodległościowego, duchownych i przedwojennych polityków. Gmach przy zbiegu ul. Koszykowej i al. Stalina był piekłem na ziemi i ta książka doskonale to dokumentuje. ©℗ ***(p.w.)***

eprasa.pl 1b6002f8cf

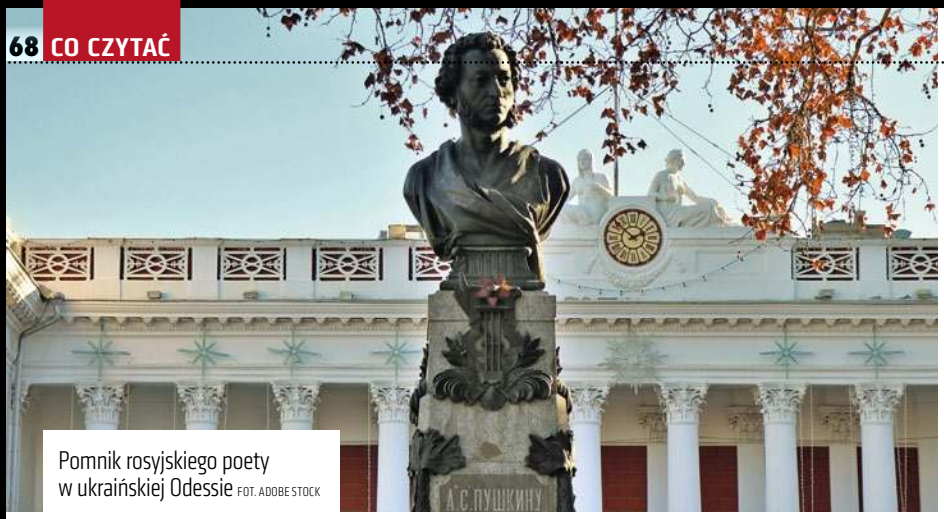

Pomnik rosyjskiego poety w ukraińskiej Odessie FOT. ADOBE STOCK

Kultura w geopolityce

Rosyjska agresja na Ukrainę w roku 2022 uwypukliła różnice geopolityczne w postrzeganiu sytuacji strategicznej między wschodnią i zachodnią częścią Unii Europejskiej. Wspomniane różnice dotyczyły preferowanych relacji z USA, Federacją Rosyjską i Chińską Republiką Ludową, ale obejmowały również kwestię zmian ustrojowych w UE i sposobu zarządzania integracją europejską" – pisze Tomasz Grzegorz Grosse. Choć wydaje się to naturalne, to jeszcze do niedawna wielu polityków i politologów było zdumionych, że konflikt na Ukrainie wykazał istnienie tak zasadniczych różnic pomiędzy państwami UE. Skąd się one wzięły? Odmienne interesy polityczne nie pojawiły się przecież z dnia na dzień. Wynikały one, co niektórzy zauważyli dopiero w pierwszej połowie 2022 r., z zupełnie różnych historycznych doświadczeń oraz innych idei politycznych (będących pochodnymi tychże doświadczeń), którymi kierują się państwa członkowskie UE.

Autor stawia tezę, że nie tylko geopolityka, wynikająca z „twardych" uwarunkowań geograficznych, ma wpływ na to, jak kształtowane są cele strategiczne danego państwa. Równie ważne są umocowanie cywilizacyjne, dzieje danej społeczności, wynikające z tego doświadczenia, wartości oraz religia i idee, które jej towarzyszą. „O geopolityce decyduje czynnik ludzki i społeczny. Tym samym zanurzona jest ona w kulturze" – pisze prof. Grosse. W pracy pojawia się niezwykle ważna konkluzja mówiąca, że tylko państwa o silnej kulturze i tożsamości są w stanie stworzyć trwałe normy społeczne oraz mocną wspólnotę polityczną, a co za tym idzie – zbudować niezależność na płaszczyźnie ekonomicznej i własną suwerenność. Bez poczucia siły własnej kultury (która oddziałuje na inne kraje) dane państwo popadać będzie w peryferyjność, preferując w końcu podrzędność wobec silniejszych bytów. Oprócz rozważań teoretycznych w książce znajdziemy przede wszystkim bardzo wiele konkretnych przykładów, np. jak geokultura kształtowała i kształtuje politykę poszczególnych państw. ©℗

Anna Szczepańska

TOMASZ GRZEGORZ GROSSE
„GEOKULTURA"
OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ

Czary i namiętności na Kresach

Pułkownik Wacław Kostek-Biernacki nie ma dobrej opinii. Był komendantem twierdzy w Brześciu, gdy przetrzymywano tam w 1930 r. i fatalnie traktowano polityków opozycji uwięzionych na rozkaz marszałka Piłsudskiego. Był wojewodą poleskim w czasie, gdy na podległym mu terenie funkcjonował obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej, przeznaczony głównie dla wrogów państwa polskiego: komunistów i nacjonalistów ukraińskich. Z tego powodu komuniści demonizowali Kostka-Biernackiego jako rzekomo odpowiedzialnego za brutalne traktowanie osadzonych w obozie, co nie było prawdą.

Kostek-Biernacki był oficerem bezgranicznie oddanym Piłsudskiemu. Ale oprócz tego był także utalentowanym pisarzem. Akcja opowiadań zebranych w znakomitych „Opowieściach niesamowitych" dzieje się na Kresach Wschodnich: Polesiu, Wołyniu, Podolu. Narratorem jest Kostia, Ukrainiec, którego gawędy, przedstawione w urzekającej kresowej polszczyźnie, przedstawiają świat, w którym pojawiają się czary i czarty, wkraczające w rzeczywistość ludzką złożoną z miłości, ze zdrad, z krwawych czynów i okrucieństwa. Jest to świat pełen namiętności i brutalności, na co wpływ mają działania złych duchów. ©℗

Tomasz Stańczyk

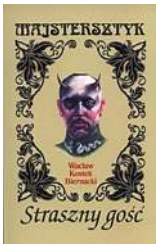

WACŁAW KOSTEK-BIERNACKI
„STRASZNY GOŚĆ"
VIS-À-VIS ETIUDA

eprasa.pl 1b6002f8cf

„Sanktuarium” Vietcongu

Operacja „Cedar Falls” to jeden z ciekawszych epizodów wojny w Wietnamie. Tytułowy Żelazny Trójkąt to obszar znajdujący się w pobliżu Sajgonu, na którym zlokalizowany był kompleks baz Vietcongu (VC). Opierał się on na podziemnym systemie tuneli łączących różne miejscowości, wpiętym w stworzony przez komunistycznych rebeliantów szlak przerzutowy z Kambodży do Wietnamu. Niewielka odległość tego swoistego „sanktuarium” partyzanckiego od stolicy Republiki Wietnamu niepokoiła Amerykanów, obawiających się ataku na Sajgon.

Z tego powodu gen. William Westmoreland postanowił przeprowadzić na terytoriach Żelaznego Trójkąta i przyległych obszarach operację oczyszczająco-pacyfikacyjną. Trwała ona od 8 do 26 stycznia 1967 r. Głównymi związkami taktycznymi biorącymi w niej udział były 25. Dywizja Piechoty, 196. Brygada Piechoty i elementy 7. Pułku z 5. Dywizji Piechoty ARW (Armia Republiki Wietnamu). Jednostki te tworzyły pozycję „Yankee” – 25-kilometrową linię blokującą wzdłuż rzeki Sajgon, nazywaną „kowadłem”. Zadanie zepchnięcia w tym kierunku oddziałów VC, czyli wykonanie pracy tzw. młota, a przy okazji zniszczenie ich, przydzielono 2. i 3. Brygadzie z 1. Dywizji Piechoty, 173. Brygadzie Powietrznodesantowej i 11. Pułkowi Kawalerii Pancernej. Głównym celem operacji „Cedar Falls” nie było unicestwienie siły żywej wroga, lecz zniszczenie infrastruktury VC. Aby to przeprowadzić, planowano ewakuację ludności cywilnej do obozów położonych poza terenami oddziaływania komunistycznej partyzantki.

Siłami amerykańskimi dowodzili generałowie Frederick Weyand i William DePuy. Operacja „Cedar Falls” przebiegła w sferze militarnej w zasadzie bez większych zakłóceń (podczas operacji użyto obok wojsk lądowych samolotów B-52 do bombardowania terenu Żelaznego Trójkąta). Vietcong praktycznie nie stawiał większego oporu. Doszło tylko do pojedynczych starć z wrogimi oddziałami wielkości plutonu czy drużyny. W trakcie operacji zabito 720 partyzantów, 227 schwytano, zatrzymano jako podejrzanych 515 osób. Po stronie US Army poległo 72 żołnierzy, a 372 odniosło rany. Ponadto zginęło 11 żołnierzy ARW, a ośmiu raniono. Amerykanie zniszczyli 9445 m tuneli, 60 schronów partyzanckich, 27 obozów, wykarczowali 10,9 km kw. dżungli oraz przejęli 672 tony ryżu, 590 sztuk broni ręcznej i 60 tys. sztuk amunicji. Dużym sukcesem było poddanie się, dzięki skutecznej akcji propagandowej, znaczącej liczby jeńców. Aż 606 rebeliantów poddało się i przeszło na stronę rządu sajgońskiego. Niestety, większość z nich władze sajgońskie w późniejszym okresie próbowały wcielić do ARW, co zakończyło się ich powrotem w szeregi VC. Najważniejszą zdobyczą przechwyconą podczas operacji były tajne dokumenty. Zawierały one m.in. nazwiska członków Vietcongu, skład poszczególnych oddziałów, nazwiska sympatyków oraz agenturę komunistyczną pracującą w sajgońskich administracji i wojsku.

Pomimo odniesionego zwycięstwa militarnego operację „Cedar Falls” trudno ocenić za udaną. Choć ustabilizowała na krótko sytuację w pobliżu Sajgonu, to jednak siły Vietcongu wkrótce wróciły na teren Żelaznego Trójkąta. Do jej największych mankamentów trzeba zaliczyć niewłaściwie przeprowadzoną ewakuację cywilów (5987 osób). Odbiło się to Amerykanom w przyszłości czkawką, ponieważ spora część z przymusowo przesiedlonych do obozów ewakuacyjnych, zirytowana panującymi w nich złymi warunkami, wkrótce została sympatykami lub członkami VC. ©℗ ***Arkadiusz Karbowiak***

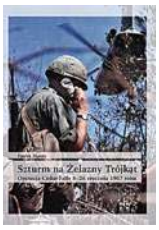

PATRYK MASNY
„SZTURM NA ŻELAZNY TRÓJKĄT. OPERACJA CEDAR FALLS 8–26 STYCZNIA 1967 ROKU”
WYDAWNICTWO INFORTEDITIONS

Królewski cud

Kultowa książka Marca Blocha uchodzi za pierwszą pracę z zakresu antropologii historycznej. Francuski historyk, założyciel szkoły Annales i jeden z twórców nowoczesnej metodologii historycznej, w swojej pracy skupia się na niezwykle ciekawym zjawisku, jakim były przypisywane królom francuskim i angielskim zdolności uzdrawiające. Nie jest to jednak praca, jak mogłoby się wydawać, poświęcona jedynie samemu rytuałowi rzekomego leczenia chorych ze skrofułów, czyli z gruźlicy węzłów chłonnych. Obrzęd ten, choć będący centralnym punktem książki, jest tylko pretekstem do ukazania szerokiej perspektywy. Praca przedstawia przede wszystkim społeczeństwo dawnej Europy Zachodniej i jego mentalność, a także unaocznia, w jaki sposób lud postrzegał monarchę namaszczonego świętymi olejami. Bardzo ważną częścią pracy jest również analiza, jak królowie Francji i Anglii, sprawując władzę, wykorzystywali swą uświęconą przez Boga pozycję do realizowania polityki wobec Kościoła, innych władców i swoich poddanych, a także we wzajemnych stosunkach. „W grę wchodziła również prestiżowa walka dwóch monarchii, a ściślej dynastii: Kapetyngów i Plantagenetów” – pisze autor. Praca ma także inną, uniwersalną wartość. Bloch wiele razy udowadnia, że pisząc o historii, wszystkie źródła należy rozpatrywać z perspektywy epoki, w której powstały. ©℗ ***Anna Szczepańska***

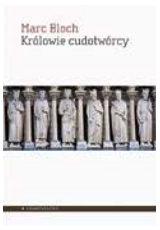

MARC BLOCH
„KRÓLOWIE CUDOTWÓRCY”
ALETHEIA

eprasa.pl 1b6002f8cf

/ Felieton

Rafał A. Ziemkiewicz

Prawdziwe

„Psy wojny”

W sławnej powieści Fredericka Forsytha „Psy wojny” wielka korporacja za pomocą najemników osadza w afrykańskim państwie swój rząd, by położyć rękę na tamtejszych złożach. Większości czytelników przejęcie przez koncern całego państwa wydało się zapewne czystą literacką fikcją i w istocie zadzierzgnięcie przez mistrza thrillerów fabuły było nieco oderwane od rzeczywistości. Wielkie koncerny nie musiały organizować ryzykownych i kosztownych rajdów zbrojnych. Znacznie prościej było kupować miejscowe elity.

W świetnej książce „Świat na sprzedaż” Javier Blas i Jack Farchy opisują np. numer, który wykonał jeden z traderów nieistniejącej już (dlatego o tym wiemy) firmy Marc Rich + Co, przez wiele lat występujący jako Monsieur N’Dolo i udający Afrykańczyka, choć w istocie urodził się i wykształcił na Zachodzie. Pan N’Dolo wykorzystał w latach 80. istnienie „ruchu państw niezaangażowanych”, inspirowanej z ZSRS politycznej organizacji rządów tzw. Trzeciego Świata, w której ramach m.in. państwa producenci ropy naftowej zaoferowały preferencyjne, znacznie niższe niż dla bogatego Zachodu ceny tego surowca biednym państwom członkom ruchu. Wspomniany trader wszedł w prosty układ z rządem najbiedniejszego państwa świata, republiki Burundi – 20 centów od każdej baryłki ropy dla was, poza księgowością – i stanął na czele państwowej, burundyjskiej firmy obracającej paliwami, z siedzibą w Brukseli. Przez wiele lat kupował dla Burundi ropę w rewolucyjnym Iranie, który nie tylko dał rzekomemu Burundczykowi preferencyjną cenę, lecz także superkorzystne warunki płatności: z odroczeniem dwuletnim. Przy czym Allach (a może jakieś inne czynniki) tak zaślepił ajatollahów, że nie zauważyli, iż zacofane Burundi zużywa tak znikome ilości paliw, że jeden tankowiec wystarczałby tam na sześć lat. A tankowców odprawiano z irańskich portów znacznie więcej, by, zgodnie z papierami, rozładowywać je w Mombasie.

Gdzie rozładowywano je naprawdę, tego Monsieur N’Dolo nie powiedział, zapewniając, że w każdym razie dokumenty były nie do podważenia. W istocie jednak ostatecznie ropa zasilała gospodarkę RPA, która obłożona była wtedy, w ramach międzynarodowych sankcji, ścisłym zakazem importu surowców energetycznych – Pretoria płaciła więc ceny znacznie powyżej rynkowych 20–30 dol. za baryłkę, co więcej – płaciła praktycznie od ręki. Na samych odsetkach od kapitału, którym obracał przez dwa lata, zanim musiał uregulować rachunki w Iranie, N’Dolo zarobił dla swej firmy skromne 42 mln dol. (a mówimy o dolarach sprzed 40 lat). Nic dziwnego, że Marc Rich był zachwycony i kazał takich firm tworzyć jak najwięcej w innych afrykańskich państwach – i stworzono ich co najmniej jeszcze pięć, ale o nich autorzy wspomnianej książki szczegółów się dowiedzieć nie zdołali.

Polecam tę historię i inne zawarte w „Świecie na sprzedaż” wszystkim, którzy szczerze wierzą w moc międzynarodowych sankcji nakładanych na tych lub owych. I wszystkim szczerze zdziwionym, jakim cudem np. w strąconych nad Ukrainą dronach i rakietach Putina znajdowane są nowiutkie, najbardziej zaawansowane technologie z USA i innych zachodnich krajów, których państwa te bardzo starannie pilnują, by nie zostały nigdzie sprzedane bez ich wiedzy i zgody. To znaczy – tak się ich rządom wydaje, że bardzo starannie. ©℗

Allach (a może jakieś inne czynniki) tak zaślepił ajatollahów, że nie zauważyli, iż **zacofane Burundi zużywa tak znikome ilości paliw, że jeden tankowiec wystarczałby tam na sześć lat**

eprasa.pl 1b6002f8cf

W połowie stycznia tego roku premier Słowacji Robert Fico złożył kwiaty na jednym z bratysławskich cmentarzy na grobie Gustáva Husáka, komunistycznego władcy Czechosłowacji w latach 1969–1989. W Polsce i w Czechach nazwisko Husáka kojarzy się jak najgorzej. To on przejął władzę po Alexandrze Dubčeku po zmiażdżeniu przez sowieckie czołgi Praskiej Wiosny" w latach 1968–1969. Husák był symbolem tzw. normalizacji, czyli aresztowań setek ludzi za wspieranie prób demokratycznych reform. To za jego czasów dziesiątki tysięcy ludzi pozostawało bez pracy, a jeśli już proponowano im jakieś zajęcie, to były to najmarniejsze posady. Zwolnieni z uczelni profesorowie musieli pracować jako palacze w kotłowniach lub jako czyściciele szyb.

Piotr Semka

/ Felieton

Nad grobem Gustáva Husáka

Ale o ile Czesi gardzą Husákiem, o tyle już na Słowacji opinie na jego temat są podzielone. Aby to zrozumieć, trzeba się zagłębić w paradoksy specyficznej mieszanki postkomunizmu i nacjonalizmu słowackiego, który stał się programem dla wielu zwolenników wojennego, kolaboracyjnego państwa ks. Jozefa Tiso. W czasie wojny wspierali oni III Rzeszę, ale potem, gdy sowieckie czołgi zajęły Słowację wiosną 1945 r., po pewnym czasie przemalowali się z koloru brunatnego na czerwony. I to właśnie oni przyjęli „porządki" wprowadzone przez Husáka po zmiażdżeniu Praskiej Wiosny za swój program. Dla wielu Słowaków Husák był narzędziem zemsty na Czechach za długie dekady dominacji Pragi nad Bratysławą. Słowacki polityk wprowadził bardzo rygorystyczną federalizację i równouprawnienie obu narodów, z czym wcześniej nie było najlepiej.

Część biskupów uległych wobec władzy komunistycznej bardzo chwaliła Husáka za to, że w latach 70. wynegocjował ze Stolicą Apostolską stworzenie nowych diecezji słowackich, które ostatecznie zlikwidowały czysto formalne podporządkowanie ziem słowackich dawnej metropolii arcybiskupiej w węgierskim Ostrzyhomiu. Jeszcze inni starzy Słowacy mile wspominają wyraźny wysiłek Husáka w latach 70. i 80., aby zlikwidować podział Czechosłowacji na uprzemysłowiony czeski zachód i zdominowaną przez rolnictwo Słowację.

Czesi podejrzewali dla odmiany Husáka o uleganie słowackim nacjonalistycznym resentymentom. Faktem jest, że Husák w czasie wojny, mimo że był działaczem Komunistycznej Partii Czechosłowacji, według licznych źródeł utrzymywał bardzo bliskie relacje z szefem tzw. Hlinkowej Gwardii – Alexandrem Machem. Według politycznych legend Husák odwzajemnił się za ten swoisty parasol z lat wojny uchronieniem Macha od kary śmierci i zwolnieniem go z aresztu w 1980 r. Dopiero na tle tamtych uwarunkowań z czasów komunistycznej Czechosłowacji zrozumieć można demonstracyjny kult Husáka w wykonaniu obecnego premiera Słowacji Roberta Ficy. W polskich warunkach odpowiednikiem tego dziwnego konglomeratu są starzy działacze PAX Bolesława Piaseckiego, którzy bronią pazurami gen. Jaruzelskiego jako polskiego patriotę. No cóż… W obu krajach spadkobiercy części prawicy musieli po wojnie ratować głowy. Dziś nadają temu pozór wzniosłego wyboru ideowego. Te same tendencje można zauważyć zarówno nad Wisłą, jak i nad słowackim Dunajem. ©℗

/ W polskich warunkach odpowiednikiem tego dziwnego konglomeratu są starzy działacze PAX Bolesława Piaseckiego, którzy bronią pazurami gen. Jaruzelskiego jako polskiego patriotę

eprasa.pl 1b6002f8cf

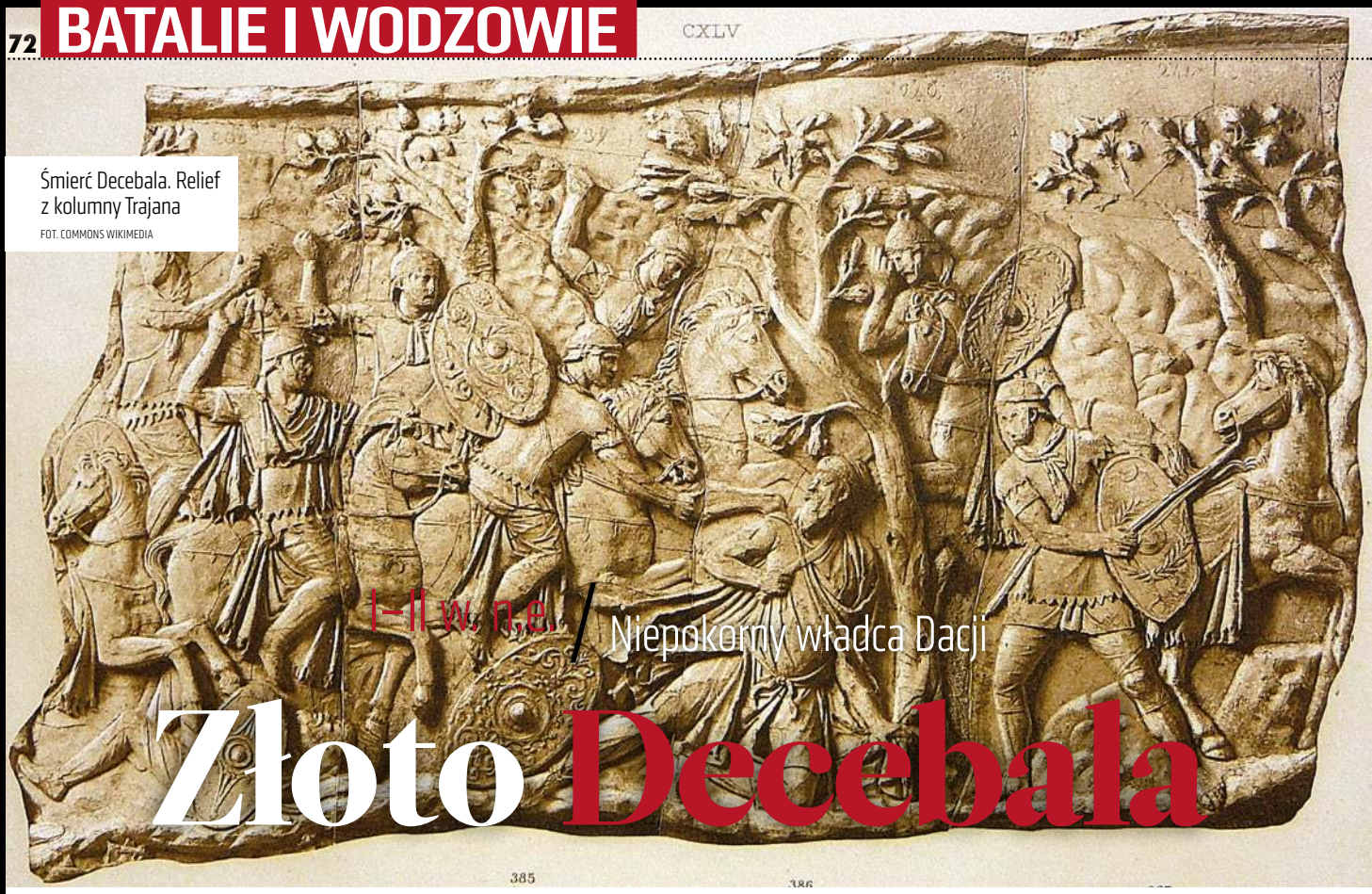

Śmierć Decebala. Relief z kolumny Trajana

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

I–II w. n.e. / Niepokorny władca Dacji

Złoto Decebala

Grzegorz Janiszewski

Na samym początku naszej ery na terenach dzisiejszej Rumunii panował przebogaty władca, którego poczynania przez długie lata przyprawiały o ból głowy rzymskich cesarzy. Dziedzictwem Decebala Rumuni szczycą się do dzisiaj

Już w I w. p.n.e. król Burebista zjednoczył dackie plemiona na terenach daleko wykraczających poza dzisiejszą Rumunię. Angażował się nie tylko w wygrane wojny z okolicznymi barbarzyńskimi plemionami, lecz także w handel z greckimi koloniami na wybrzeżu Morza Czarnego, a nawet włączył się w rzymską wojnę domową Cezara z Pompejuszem. Po jego śmierci w 44 r. p.n.e. państwo Daków się rozpadło. Dackie plemiona ponownie skonsolidował król Duras pod koniec I w. n.e. Zimą 85/86 r. n.e., razem ze swoim bratankiem Diurpaneusem, zbrojnie najechał rzymską prowincję Mezję. Jej gubernator, Oppius Sabinus, miał do dyspozycji tylko Legion V Macedonica i szybko uległ przeważającym siłom Daków. Sam został zabity. Najeźdźcy wycofali się do Dacji, zagarniając duże łupy i uprowadzając ze sobą tysiące niewolników.

Cesarz Domicjan nie mógł wybaczyć takiej zniewagi. W 87 r. n.e. do Mezji zostały ściągnięte posiłki z zachodu. Na czele pięciu lub sześciu legionów stanął prefekt pretorianów Cornelius Fuscus, który przekroczył Dunaj po moście stworzonym ze statków i wkroczył do Dacji od strony dzisiejszego Banatu. Diurpaneus ze swoimi oddziałami czekał na niego w zasadzce, w górskim wąwozie w pobliżu fortu Tapae, prawdopodobnie w pobliżu dzisiejszych Żelaznych Wrót. Miejsce było dobrze wybrane. Rzymianie nie mogli tam stosować swojej tradycyjnej i skutecznej taktyki walki w ciasnym szyku na otwartym polu. W bitwie prawie do nogi został wybity Legion V Alaudae, a jego najświętszy symbol – aquila Gwardii Pretoriańskiej, czyli orzeł niesiony przed oddziałem – dostał się w ręce wroga. W bitwie poległ też sam Fuscus. Rozmiary klęski zaczęły przypominać tę poniesioną w Lesie Teutoburskim prawie 80 lat wcześniej.

Bogaci i zwycięscy

Gdzie kryła się tajemnica sukcesu Daków? Na północnym zachodzie kraju znajdowało się wiele kopalni złota. Wartość rocznego wydobycia kruszcu mogła przekraczać milion sestercji. Dakowie gospodarowali na żyznych ziemiach, hodowali bydło, byli zdolnymi rzemieślnikami, zwłaszcza w obróbce metali szlachetnych i żelaza. W odróżnieniu od innych barbarzyńców ich wojownicy

eprasa.pl 1b6002f8cf

w większości byli uzbrojeni w żelazne miecze, co było nie lada wyzwaniem dla Rzymian. Tajną bronią Daków były fortyfikacje wybudowane w górach Orăştie. Przemyślny system obronny, w którego skład wchodziły drewniane i kamienne budowle z wałami, palisadami i murami, dozorowany przez wieże obserwacyjne, otaczał ufortyfikowaną stolicę Sarmizegetusę. Dakowie byli znakomitymi wojownikami. Jak pisał Herodot: „Mieli pogardę śmierci, bo gorąco wierzyli w nieśmiertelność duszy i jej wędrówkę".

Po bitwie pod Tapae Diurpaneus zmienił imię na Decebal, czyli Zwycięski, i został wybrany na dackiego króla. Przydomek dobrze oddawał jego cechy. Jak pisał o nim grecki historyk Kasjusz Dion: „Decebal był biegły w prowadzeniu wojny i działał sprytnie, wiedząc, kiedy zaatakować i kiedy się wycofać, mistrz zastawiania pułapek, dzielny w boju, wiedział, jak walczyć, żeby zwyciężyć, i jak uciec przed klęską, sprawiał, że Rzymianie bali się go jako wroga".

Imperium nie miało zamiaru puścić tego płazem. Niecałe dwa lata później wkroczył tam Tetiusz Julianus na czele czterech legionów. Tym razem pobił Daków pod Tapae, ale Rzymianie nie mogli wykorzystać zwycięstwa, bo w tym samym czasie rozpoczęła się rewolta legionów nadreńskich pod wodzą Lucjusza Saturninusa. Na wieść o tym do Mezji z północy wkroczyli Jazygowie i Kwadowie, pustosząc prowincję. Julianus, zagrożony okrążeniem z północy i z południa, wycofał się do Mezji, gdzie przebywał Domicjan. Decebal zaoferował cesarzowi pokój, ale ten odrzucił propozycję i pomaszerował do Panonii, żeby zaatakować Dację od północnego zachodu. Tam jednak bunt podnieśli Markomanowie. Domicjanowi nie pozostało nic innego, jak ponownie wycofać się do Mezji i przyjąć ofertę Decebala. Dacki wódz miał się stać Rex Amicas – przyjacielem Rzymu. Imperium miało zapewniać Dakom inżynierów i rzemieślników, machiny wojenne i corocznie wypłacać 8 mln sestercji – oficjalnie na cele ochrony granic. W rzeczywistości jednak było to upokorzenie Rzymu. Wojsko nie było zadowolone z takiego zwycięstwa, traktatu nie zaakceptował senat. Zwłaszcza że Decebal nie wydał jeńców ani części broni, co przewidywał układ. Jak pisał

Rekonstrukcja ruin świątyń w Sarmizegetusa Regia

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/LYSY

Kasjusz Dion, Dakowie „bezkarnie lżyli majestat Rzymu". Niektóre źródła podają, że miała to być bezpośrednia przyczyna zabójstwa Domicjana w 96 r. Wybrany po jego śmierci na cesarza Nerwa był mało energiczny i koncentrował się na uspokojeniu sytuacji w państwie. Żeby udobruchać żołnierzy, wzburzonych zabójstwem Domicjana, adoptował Marka Ulpiusza Trajana – doskonałego dowódcę legionów w Germanii. Wkrótce po tym Nerwa umarł, a Trajan w styczniu 98 r. został cesarzem.

Energiczny cesarz miał dalekosiężne plany. Dacja znalazła się na jego celowniku. Od czasów Nerona, który obniżył zawartość złota w monetach, Rzym popadał w coraz głębszy kryzys finansowy. Dackie złoto z pewnością pomogłoby z niego wyjść. Rzymianie rozpuszczali wieści o szykowaniu się Decebala do nowej wojny. Jednocześnie zaczęli przygotowania do „obrony". Zgodnie ze starą zasadą imperium najlepiej było zaskoczyć i rozbić przeciwnika na jego własnym terenie. Wzdłuż brzegu Dunaju wybudowano strategiczną drogę z Egety do Taliaty (dzisiejszej Serbii) o długości ponad 100 km, z czego połowa została wykuta w klifach skalnych wznoszących się kilkadziesiąt metrów nad falami Dunaju. Upamiętniła ją tablica wykuta w skale nad rzeką, zwana Tabula Traiana. Można ją podziwiać do dzisiaj, chociaż 22 metry wyżej. Podczas budowy zbiornika na Dunaju w latach 1967–1969 ważący 350 ton blok skalny został wycięty wraz z fragmentem drogi i w jednym kawałku umieszczony nad nowym poziomem lustra wody.

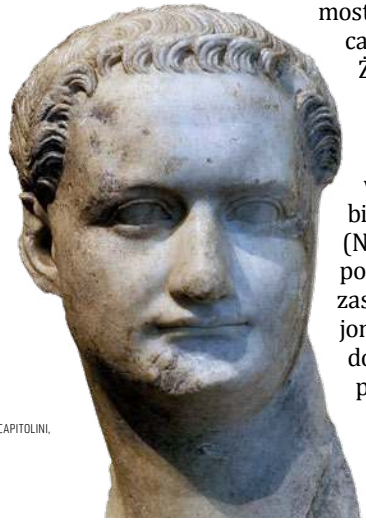

Domicjan

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MUSEI CAPITOLINI, JASTROW

Trajan oprócz dziewięciu legionów stacjonujących nad Dunajem na wyprawę wezwał dwa dodatkowe – X Gemina i XI Claudia; kazał też utworzyć dwa nowe. Na czele tych sił ruszył w stronę Sarmizegetusy dwiema kolumnami, które przeprawiły się przez Dunaj po mostach pontonowych. Pierwsza, idąca od zachodu, sforsowała przełęcz Żelazne Wrota, druga od południa przeszła przełęczą w pobliżu dzisiejszej wsi Teregova. Plan Trajana był prosty i wyrażał się w jednym zdaniu: „Inde Berzobim, deinde Aizi processimus" (Najpierw nacieramy na Berzobim, potem na Aizi). Dakowie znowu zastawili na Rzymian pułapkę w rejonie Tapae. Przed bitwą posłańcy dostarczyli Trajanowi oryginalny podarunek. Grzyb gigant, z wyciętym na trzonie łacińskim napisem, ostrzegał przed zapuszczaniem się w głąb kraju. Trajan zlekceważył to i ruszył

eprasa.pl 1b6002f8cf

Moneta z wizerunkiem Trajana FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BRITISH MUSEUM, PGHCOM

dalej, pokonując Daków. W czasie bitwy rozpętała się burza. Dakowie uznali to za znak od bogów i wycofali się, jednak w zwartym szyku, zadając Rzymianom spore straty. Bitwa była ponoć tak zacięta i krwawa, że pod koniec cesarz darł swoją togę na bandaże dla rannych żołnierzy.

Dalszą drogę do stolicy zamykały fortyfikacje na wzgórzach Orăştie. Zbliżała się zima i legiony założyły hiberny w pobliżu dackiej stolicy. Ofensywa na głównym kierunku, czyli na Sarmizegetusę, miała być kontynuowana wraz z nadejściem wiosny. Decebal postanowił to wykorzystać i wraz ze swoimi sojusznikami ze wschodu – Roksolanami i Bastarnami – po zamarzniętym Dunaju przeszedł do Mezji, chcąc zmusić Trajana do wycofania się z Dacji. Naprzeciw Decebalowi wyruszył gubernator prowincji, zdolny gen. Maniusz Laberiusz Maximus. Do decydującej bitwy doszło pod Adamclisi, gdzie Rzymianie pokonali barbarzyńców. Ich wojska były osłabione, ponieważ wielu wojowników potopiło się podczas przeprawy przez Dunaj, gdy załamał się zbyt cienki lód. Decebal musiał prosić o rozejm. Trajan przystał na to, ale na o wiele korzystniejszych dla Rzymu warunkach.

Rzymianie zajęli więc dogodną strategicznie pozycję w łuku Karpat i zaczęli zdobywać twierdze w górach Orăştie. Ostatniej z nich, położonej na wzgórzu Muncel, miały bronić wojowniczki o śnieżnobiałej skórze, prawdopodobnie kapłanki bogini Księżyca i łowów Bendis. Nic to jednak nie pomogło, a po jego zdobyciu droga do Sarmizegetusy stała otworem. Decebal, żeby oszczędzić mieszkańcom ciężkiego oblężenia, wysłał do Rzymian posłańców, którzy padli przed cesarzem na twarz, prosząc o pokój.

Tym razem jego warunki były ciężkie. W Sarmizegetusie i w Berzobii (dzisiejsza Berzovia) miały stacjonować rzymskie jednostki, Dakowie musieli wydać całą broń i machiny wojenne. Rzymscy inżynierowie i dezerterzy mieli powrócić do ojczyzny. Część dackiego terytorium miała zostać scedowana na imperium, a fortece w górach Orăştie zburzone. Skończyło się płacenie trybutu. Decebal miał zarzucić niezależną od Rzymu politykę zagraniczną i stać się jego prawdziwym przyjacielem. Musiał też paść na twarz przed Trajanem, odrzucając broń. Cesarz wrócił do Rzymu, gdzie senat zarządził triumf na jego cześć. Otrzymał też honorowy tytuł Dacicus.

Spokój trwał trzy lata, podczas których Decebal udowadniał, że nie jest przyjaznym królem. Zaczął szykować wojsko do walki. Podburzał sąsiednie plemiona, gromadził złoto na sfinansowanie wojny i odbudowywał fortece. Trajan też nie zasypiał gruszek w popiele. Pamiętając, jakie trudności wiązały się z przekraczaniem Dunaju, kazał słynnemu architektowi Apollodorowi z Damaszku wybudować most przez rzekę. Prace zaczęły się już w 103 r. W ich wyniku powstał cud techniki niemający sobie równych w starożytności. Wybudowany w okolicy dzisiejszego miasta Drobeta-Turnu Severin w Rumunii rozciągał się na ponad kilometr, 45 metrów ponad lustrem Dunaju. Według Kasjusza Diona most miał 20 filarów, wybudowanych co 170 greckich stóp, czyli ok. 50 m. Filary były budowane z betonu i cegieł, a następnie okładane kamiennymi płytami. Na nich opierały się drewniane przęsła z poręczami szerokości od 13 do 19 m. Przyczółki wybudowano z kamienia. Przęsła można było łatwo spalić. Dakowie nie byliby w stanie ich odtworzyć w razie próby kontrataku.

Decebal nie czekał na dokończenie mostu i w 104 r. zaczął blokować i oblegać twierdze Rzymian w Dacji. Działania nie szły jednak po jego myśli. Latem skłonił więc tamtejszego zarządcę wojskowego Gnejusza Longinusa do przyjęcia zaproszenia na rozmowy o zawieszeniu broni. Potem aresztował go i próbował zmusić do wydania planów ataku Trajana na Dację. Gdy ten odmówił, Decebal próbował wymienić go na zajęte przez Rzymian tereny i równowartość kosztów wojny. Odpowiedź Trajana była wymijająca, przez co Decebal wciąż głowił się, jak wykorzystać jeńca. Sprawę przeciął w końcu sam Longinus, wypijając truciznę. Wiosną 105 r. Dakowie prowadzili już regularną wojnę, atakując wiele rzymskich fortów.

W tym samym czasie Trajan z Gwardią Pretoriańską przepłynął Adriatyk i zaczął przygotowania do kampanii

Cud techniki

W marcu 102 r. Trajan wznowił kampanię. Tym razem wdarł się do Dacji trzema kolumnami liczącymi ok. 100 tys. żołnierzy. Połączyły się one ok. 20 km na południe od Sarmizegetusy, po drodze zdobywając kolejne dackie forty. Decebal zaskoczony szybkością ataku wysłał poselstwo pokojowe do Trajana. Ten zażądał od Daków bezwarunkowej kapitulacji. Na to nie chciał się zgodzić Decebal, który wciąż miał niepokonane w polu oddziały.

Podobizna Decebala na skale nad przełomem Dunaju FOT. FACEBOOK/GEORGE DUFAN

eprasa.pl 1b6002f8cf

Mapa Imperium Rzymskiego za czasów Trajana FOT. COMMONS WIKIMEDIA

w Dacji. Przekonał wodzów barbarzyńskich plemion graniczących z nią do wspólnego ataku albo chociaż neutralności. Latem następnego roku główne siły przeszły przez most na Dunaju i posuwały się w stronę stolicy drogą kontrolowaną przez forty obsadzone przez Rzymian. Tam połączyły się z drugą kolumną, zmierzającą od Sucidavy. Dwie inne kolumny pustoszyły kraj, skutecznie odcinając stolicę od posiłków.

Sarmizegetusa z początkiem lata została zaatakowana siłami legionów II Audiutrix, IV Flavia Felix i vexillatio, czyli grupą zadaniową wydzieloną z legionu VI Ferrata. Zdobywanie potężnie ufortyfikowanego miasta nie było łatwe i trwało wiele tygodni. Rzymianie zaangażowali do tego machiny oblężnicze i zbudowali rampę prowadzącą na koronę wałów obronnych. Odcięli też obrońców, budując wokół stolicy wał nazywany „circumvallation". Podjazdowe walki toczyły się też w górzystych okolicach stolicy. Z końcem lata 106 r. obrońców do poddania zmusiły brak wody pitnej i groźba Rzymian, że podpalą miasto. W końcu legioniści wdarli się do najświętszego miejsca w dackiej świątyni i złożyli tam hołd Trajanowi. Część dackich przywódców popełniła samobójstwo. Sarmizegetusa została zrównana z ziemią.

Decebal uciekał doliną rzeki Maruszy w kierunku niedostępnych terenów w Karpatach. Po drodze przyłączali się do niego lokalni władcy z północy Dacji, ale siły te nie były już w stanie powstrzymać rozpędzonych Rzymian. Król został otoczony w pobliżu dackiej fortecy nazwanej później przez Rzymian Apulon, ok. 20 km na północ od dzisiejszego Alba Iulia w Rumunii. W beznadziejnej sytuacji poderżnął sobie gardło. Ścigający go weteran wojen z Dakami, konny zwiadowca Tyberiusz Maximus, odciął królewską głowę i sprezentował ją Trajanowi przebywającemu w położonym niedaleko obozie Ranisstorum. Dzięki zdrajcy, którym był zaufany Decebala Bicilus, Rzymianie dobrali się też do legendarnego skarbu. Miał on spoczywać w specjalnej skrytce, zbudowanej w korycie rzeki Sargetia. Po zmianie jej biegu Rzymianie wydobyli ponad 165 ton złota i 330 ton srebra. Były one warte prawie 4 mln sestercji, czyli tyle, ile imperium wydawało na wojsko przez sześć lat.

Rumuński miks

Główny problem rzymskiej polityki zagranicznej, którym przez dwie dekady była Dacja, został rozwiązany. Cesarz wrócił do Rzymu, prowadząc ponad 50 tys. jeńców. Zarządził trwające 123 dni obchody zwycięstwa, podczas których w igrzyskach wystąpiło 10 tys. gladiatorów, w tym pojmani Dakowie. Zarżnięto 10 tys. zwierząt na uczty. W 113 r. w Rzymie powstała kolumna Trajana, na której wyobrażono obydwie dackie wojny. Środki ze skarbu Decebala i z dackich kopalń złota posłużyły m.in. do rozbudowy Circus Maximus i Forum Trajana w Rzymie, portu w Ostii czy bodowy nowych dróg i mostów. Zasobność rzymskiego skarbu pozwalała też na rozdawanie zboża biedocie i zorganizowanie systemu opieki nad sierotami. Między innymi dlatego Trajan uważany jest za jednego z najlepszych rzymskich cesarzy, a jego rządy zaliczane są do tzw. złotego wieku Rzymu.

Południowa część Dacji została włączona do imperium jako jego prowincja. Tereny te były następnie intensywnie kolonizowane. Dobre ziemie, łagodny klimat i bogactwo krainy nazywanej Dacia Felix, czyli „szczęśliwa", sprawiały, że osiedlało się tu wielu legionistów, a także zwykłych osadników. Zdobycie Dacji naruszyło jednak dotychczasowe status quo północnej granicy imperium. Od czasów Augusta opierała się ono na Renie i Dunaju. Teraz barbarzyńskie plemiona, w tym i Dakowie spoza prowincji, poczuły się zagrożone i zaczęły jednoczyć się przeciwko Rzymianom.

Hadrian kazał spalić most na Dunaju już prawdopodobnie w latach 20. II w. W kolejnym stuleciu Dacja była wielokrotnie najeżdżana przez Gotów, Gepidów i Karpów. Do 275 r. n.e. prowincja została ewakuowana. Część zromanizowanych mieszkańców pozostała na miejscu, co w XIX w. dało rumuńskim elitom bodziec do wywodzenia narodu rumuńskiego od starożytnych Rzymian i budowania świadomości narodowej w opozycji do otaczających ich Słowian. Nie była to do końca prawda. Około 30–40 proc. słownictwa zostało wówczas zapożyczone z łaciny, francuskiego i włoskiego, bardzo zmieniając mowę Rumunów. Sprawia to jednak, że nawet dzisiaj podróżując przez rumuńskie wioski, można poczuć się prawie jak na Forum Romanum za czasów Trajana. Decebal i Dakowie są również istotnym elementem rumuńskiej tożsamości. Na początku XXI w. na skale nad Dunajem wyrzeźbiona została ogromna, ponad 40-metrowa głowa dackiego króla, spoglądającego w kierunku Tabula Traiana, znajdującej się 2 km dalej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

Kozak w czajce z samopałem

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Istotną składową dawnej kozackiej sztuki wojennej były działania na morzu. Pomysłowa taktyka zapewniła wiele sukcesów w walkach z flotą osmańską

Czajki, których używali Zaporożcy (a także ich pobratymcy Dońcy), były pełnomorskimi łodziami, a nie okrętami wojennymi w pełnym tego słowa znaczeniu. Posiadając wiele ograniczeń wynikających z ich niewielkich rozmiarów, skazane były teoretycznie na porażkę w starciu z tureckimi galerami mającymi silne uzbrojenie artyleryjskie rozmieszczone na dziobie. Dobrze wyszkoleni tureccy puszkarze mogli rozstrzygnąć starcie już na dalszym dystansie, ponieważ każdy celny strzał z działa dużego wagomiaru w zasadzie unicestwiał czajkę. Kozackie łodzie były tego atutu pozbawione. Choć wielu ówczesnych obserwatorów podkreślało dobre wyposażenie czajek w armaty, a Guillaume le Vasseur de Beauplan – Francuz w służbie Rzeczypospolitej – wspominał (zapewne z przesadą) o czterech–sześciu lekkich działach/falkonetach na każdej łodzi, to jednak ich kaliber uniemożliwiał poważniejsze uszkodzenia dużych jednostek osmańskich. Starcie jeden na jeden na bliskim dystansie, w przypadku gdy obaj przeciwnicy byli przygotowani do walki, także stawiało Kozaków w gorszej sytuacji. Wyższe burty galer ułatwiały obronę w trakcie abordażu i ułatwiały ostrzał z ręcznej broni palnej. Bardzo istotna była także przewaga liczebna zaokrętowanych tureckich żołnierzy. Szansą kozackich flotylli był atak z zaskoczenia, a przede wszystkim uzyskanie przewagi liczebnej w sile żywej, co mogło mieć miejsce tylko w przypadku, gdy na jedną sułtańską galerę przypadało kilka lub kilkanaście czajek. Tutaj kluczowe było sprawne i szybkie manewrowanie, co było o tyle ułatwione, że ster umieszczano zarówno na dziobie, jak i rufie, dzięki czemu nie trzeba było wykonywać czasochłonnych zwrotów (wystarczyło zacząć wiosłować w przeciwną stronę). O wyniku bitwy decydowała bezpośrednia walka. Dlatego tak istotną rolę odgrywało uzbrojenie indywidualne załóg czajek, wśród których wszyscy w zasadzie byli żołnierzami (galernicy byli niewolnikami niebiorącymi udziału w walce bezpośredniej). Było ono oczywiście identyczne z tym, którego używano w kampaniach lądowych – stanowiły je szable i długa broń palna. Wśród tej ostatniej zdecydowaną większość stanowiły zapewne lekkie muszkiety z zamkami krzosowymi (skałkowymi) typu moskiewskiego. W owym czasie zwano je samopałami, co wynikało niewątpliwie z tego, że do odpalenia ładunku nie był potrzebny lont. Zamki tego typu rozpowszechnione były w XVII w. zwłaszcza na północy Europy i dość wcześnie zaadoptowano je także w państwie moskiewskim. Kozacy kupowali broń w Rosji, jako że sami jej nie produkowali (wytwarzali natomiast proch – i to znaczne ilości). Broń z zamkiem skałkowym była znacznie wygodniejsza w użyciu i nie wymagała tak skomplikowanych czynności (także w kontekście taktycznym), jak w przypadku lontowych muszkietów. Była w każdej chwili gotowa do strzału, co znacznie ułatwiało działanie z zaskoczenia. Na morskie wyprawy każdy Kozak zabierał przynajmniej dwa muszkiety i oczywiście spory zapas prochu i kul. Na

eprasa.pl 1b6002f8cf

ilustracji z epoki uwieczniono turecko-kozackie stracie na Morzu Czarnym (zbiory Biblioteki Brytyjskiej, domena publiczna).

„Kopaczka do kartofli”

Wśród genialnych wynalazków legendarnego amerykańskiego konstruktora broni strzeleckiej Johna Mosesa Browninga były m.in. karabiny maszynowe. Najbardziej udaną konstrukcją okazał się chłodzony wodą cekaem M1917, ale znacznie wcześniej na karty historii trafił M1895 oparty na oryginalnym pomyśle – zasadzie odprowadzania gazów prochowych przez boczny otwór w lufie. Z uwagi na dźwigniowe połączenie tłoka gazowego i suwadła (znajdujących się pod lufą) oraz wahadłowy ruch tłoka karabin zyskał popularną nazwę Potato Digger („kopaczka do kartofli”). Cekaem produkowany w Colt’s Patent Firearms

Manufacturing Company of Hartford przyjęła na uzbrojenie marynarka USA (Navy) i z niezłym skutkiem wykorzystała m.in. w wojnie z Hiszpanią na Kubie w 1898 r. Tymczasem armia (Army) nie okazała nim szczególnego zainteresowania, kupując ledwie 156 sztuk. „Kopaczka” okazałaby się zapewne nic nieznaczącym epizodem, gdyby nie wybuch pierwszej wojny światowej i gwałtownie rosnące zapotrzebowanie na jakąkolwiek funkcjonalną broń maszynową. Ponad 15 tys. zmodernizowanych coltów (lżejsza żebrowana lufa w miejsce ciężkiej, z zewnątrz gładkiej), oznaczonych teraz jako M1914, trafiło do carskiej Rosji. Kolejnych kilka tysięcy licencyjnych karabinów wyprodukowały zakłady Marlin Firearms Company of New Haven, Connecticut; te także w większości wysłano carowi. W 1917 r. Marlin opracował zmodyfikowaną wersję – M1917 – gros z ponad 42 tys. wyprodukowanych sztuk przystosowano dla lotnictwa, a nieliczne „piechotne” M1917 wykorzystano w procesie szkolenia, już po przystąpieniu USA do pierwszej wojny światowej. Na zdjęciu: karabin ze zbiorów Muzeum Wojska w Pradze.

Na bagnety!

Umiejętność bicia się na bagnety i brak oporu przed starciem wręcz uchodzą za oznakę bojowej sprawności, hartu i wysokiego morale. Także w Polsce. Atak na falenckiej grobli prowadzony przez księcia Poniatowskiego podczas bitwy pod Raszynem (1809) czy dramatyczne zmagania o Olszynkę w trakcie batalii grochowskiej (1831) na trwałe wryły się w narodową świadomość. Biegłością w walce na bagnety odznaczali się legioniści Piłsudskiego, a także żołnierze odrodzonego Wojska Polskiego. W wojnie 1920 r. przeciwnik nie był w stanie dotrzymać pola polskim piechurom, co potwierdza opracowanie pt. „Czerwona Armia Bolszewicka” pióra mjr. Stefana Roweckiego, późniejszego Komendanta Głównego ZWZ-AK, i kpt. Seweryna Elterleina: „O ile dawniej dzięki dobremu wyszkoleniu wojska rosyjskie miały dużo skłonności do ataku na bagnety, o tyle obecnie bolszewicy zdradzają niepowstrzymaną chęć do ucieczki, gdy są przez nas atakowani na bagnety […]. W ciągu całej obecnej kampanii spotkać się można było jedynie z kilkoma wypadkami ataków lub kontrataków

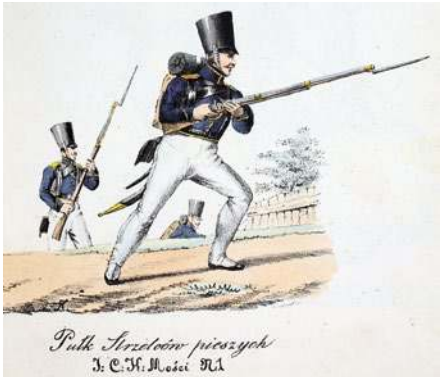

bolszewickich na bagnety. 12 września 1939 roku 1. Dywizja Piechoty odbiła w nocnej walce Kałuszyn. Jej uczestnik, porucznik Michał Schmal, wspominał: »Walka jest krótka i gwałtowana. Niemcy odgryzają się ostro; kłuci bagnetami i bici kolbami, usiłują uciekać. Znowu niesamowita kotłowanina i huki naszych granatów obronnych. To już nie natarcie, lecz rzeź«”.

Piki Szwajcarów

Kluczową rolę w szwajcarskich zwycięstwach epoki późnego średniowiecza odgrywała zwartość szyku oraz dyscyplina. H. Delbrück w słynnym dziele pt. „Nowożytna sztuka wojenna” pisał: „Zaskakująca moc szwajcarskiego systemu walki opierała się na efekcie masy wielkich, zamkniętych czworoboków oraz pewności siebie każdego żołnierza, ukształtowanej przez 200 lat nieprzerwanych zwycięstw”. Szwajcarów cechowała pomysłowa kombinacja rozmaitych broni zaczepnych występujących w jednej formacji. Tworzyli zazwyczaj trzy potężne czworoboki, przedni, główny i tylny, liczące nawet po kilka tysięcy żołnierzy, które posuwały się w szyku skośnym w pewnych odstępach od siebie. Dzięki temu mogły się wzajemnie wspierać i zapobiegać okrążeniu jednego ze zgrupowań. Taktyka była wybitnie ofensywna. W połowie XV w. najważniejszą bronią szwajcarskiej piechoty były piki; mniej licznych halabardników grupowano wewnątrz szyku. Mawiano, że „każdy, kto może nosić pikę, powinien ją nosić”. Mierzyła 5,5 m i miała stalowy 25-centymetrowy grot. Pikinierzy mieli zadanie rozbić szyk nieprzyjacielski, wyzyskując długość swej broni, groźnej w równym stopniu dla piechoty i kawalerii. Potem do walki włączali się halabardnicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

Maszyna papiernicza. Grafika z XIX w. FOT. ADOBE STOCK

XIX w. / Potęga prasy

Koła zębate powieści

Tymoteusz Pawłowski

Kulturę i sztukę przedstawia się niemal wyłącznie jako domenę natchnionych artystów, całkowicie lekceważąc to, że podstawowym czynnikiem leżącym u podstaw każdego dzieła sztuki nie jest natchnienie, ale możliwości techniczne. I dlatego bez rewolucji przemysłowej nie byłoby powieści

Fryderyk Chopin jest najwybitniejszym pianistą świata dlatego, że to za jego życia metalurgia umożliwiła wytwarzanie właściwych fortepianów. Podobna sytuacja występuje w literaturze, z tym że jest bardziej skomplikowana, w grę wchodzi bowiem dużo więcej czynników technicznych i społecznych. Najlepiej widać to na przykładzie powieści, które związane są z rozwojem prasy codziennej. Oczywiście powieści pisano w dawnych wiekach: Cervantes napisał „Don Kichota" w wieku XVII, a Krasicki „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki" w wieku XVIII. Tylko że mało kto je czytał. Przede wszystkim dlatego, że mało kto czytał książki. Podobnie było z gazetami – istniały, ale miały bardzo ograniczoną liczbę odbiorców.

Sytuacja zaczęła zmieniać się po rewolucji francuskiej 1789 r. Najpierw nauczyli się czytać niemal wszyscy Francuzi – była to konieczność, ponieważ z poddanych króla stali się samodzielnymi obywatelami. Później czytać nauczyli się Prusacy, którzy chcąc dorównać Francuzom, zaczęli wprowadzać w 1810 r. przymusową edukację. W ich ślady poszli inne nacje europejskie oraz Brytyjczycy. W drugiej ćwierci XIX w. większość „miastowych" Europejczyków umiała już czytać i – co ważne – chciała to robić.

Popyt na litery zaspokajali głównie wydawcy gazet, które stały się dużo tańsze w produkcji. W 1801 r. bracia Robertowie – Francuzi, którzy kilkanaście lat wcześniej zbudowali pierwszy balon na wodór – wynaleźli urządzenie do masowej produkcji papieru z pulpy drzewnej. Na rynki europejskie wprowadzili je po kilku latach brytyjscy bracia Fourdrinier i technologia znana jest pod ich nazwiskiem. Papier gazetowy z pulpy drzewnej był gorszy, ale wielokrotnie tańszy od papieru z pulpy bawełnianej, z którego robiono eleganckie książki. W tym samym czasie Bawarczyk Alois Senefelder wynalazł druk litograficzny („lithos" to „skała" po grecku). Nie trzeba było czcionek czy grawerowanych płyt metalowych, wystarczyło na gładkiej płycie kamiennej narysować wzór mieszaniną mydła i wosku i pokryć ją farbą. Farba przylegała tylko do tych miejsc i wzór można było łatwo i tanio nanosić na papier.

Rewolucja w natarciu

Impulsem dla rozwoju prasy był jednak rozwój kolei: 15 września 1830 r. rozpoczęło działalność przedsiębiorstwo Liverpool and Manchester Railway – pierwsza publiczna linia kolejowa. W latach 40. XIX w. stolice większości państw europejskich były połączone z miastami na prowincji lub z zagranicą: Paryż z Lyonem i Brukselą, Warszawa z Sosnowcem i Wiedniem. Wiedeń miał połączenie z Berlinem, a Berlin z Brukselą. Pozwalało to nie tylko na szybkie uzyskiwanie informacji o wydarzeniach

eprasa.pl 1b6002f8cf

Rozsyłanie gazet, Paryż, 1848 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

na prowincji lub za granicą, lecz także na rozwiezienie nakładu codziennej prasy stołecznej po kraju (z reguły nie rozwożono zresztą gazet, tylko matryce, które służyły do drukowania stołecznych gazet w miastach prowincjonalnych). Do tej pory gazety prezentowały wiadomości lokalne lokalnym mieszkańcom. Teraz – wydarzenia Wiosny Ludów przyśpieszyły ten proces – nie było już wiadomości lokalnych, tylko ogólnokrajowe.

W 1826 lub w 1827 r. Nicéphore Niépce zarejestrował „Widok z okna w Le Gras", który uchodzi za pierwszą udaną trwałą fotografię – jej wykonanie zajęło ok. ośmiu godzin. Z kolei w 1836 lub 1837 r. jego uczeń Louis Jacques Daguerre zarejestrował obraz paryskiego Boulevard du Temple – jego wykonanie zajęło cztery–pięć minut, dzięki czemu jest to pierwsza zachowana fotografia przedstawiająca człowieka (pucybuta i jego klienta). Dagerotypia – fotografowanie na płycie metalowej – upowszechniła się pod koniec lat 40. XIX w. Natomiast w latach 50. dagerotypia konkurowała z kalotypią – fotografowaniem na błonach papierowych, lepiej nadających się do reprodukowania w prasie. Pojawiły się nawet specjalne magazyny ilustrowane; pierwszym był „The Illustrated London News", wydawany od 1842 r. Pierwszeństwo publikacji pionierskich fotografii prasowych przypadło jednak paryskiemu „L'Illustration", publikującemu obrazki z rewolucji czerwcowej 1848 r.

Magazyny ilustrowane były oczywiście droższe od zwykłych gazet. W tych pierwszych stosowano cylindryczne – a później rotacyjne – maszyny drukarskie, w których matryce drukujące były zaokrąglone, co przyspieszało cały proces. Płaskie płyty kamienne stosowane w litografii nie nadawały się do tej technologii, ale pracowano nad odpowiednimi płytami metalowymi. W pełni sprawna maszyna rotacyjna została opatentowana w 1847 r. Użył jej angielski „Times" w roku 1853.

Wszystkie te wynalazki sprawiły, że gazety stały się powszechnie dostępne. Według danych brytyjskiego urzędu skarbowego – podatek za egzemplarz gazety wynosił jednego pensa – w 1836 r. wydrukowano 39 mln gazet, a w roku 1854 – już 122 mln. Nadchodziły złote lata prasy codziennej.

Sienkiewicz w odcinkach

Czy można być pisarzem bez prasy codziennej? Można być dramaturgiem, żyjąc z opłat wnoszonych przez trupy teatralne pragnące wystawić napisaną sztukę. Można pisać powieści, mając odziedziczony majątek – jak Krasicki. Utrzymanie się z samych powieści – chociażby najlepszych i uznanych przez krytykę – było niemożliwe nawet dla Cervantesa. Nie było to możliwe nawet w pierwszej połowie XIX w., wystarczy spojrzeć na kariery dwóch najznamienitszych amerykańskich prozaików: Edgar Alan Poe zmarł w biedzie, natomiast Nigel Hawthorne wydawał większość prac własnym sumptem, a najlepsza z nich – „Szkarłatna litera" – miała pierwszy nakład w wysokości 1 tys. egzemplarzy. Później nastąpiły dodruki, ale w ciągu kilkunastu lat do śmierci zarobił na nich tak niewiele, że dziś nie mógłby kupić w antykwariacie nawet jednego egzemplarza swojej powieści z pierwszego wydania (uwzględniając zmianę wartości dolara).

Illustrirtes Wiener Extrablatt.

№ 263. Wien, Dienstag, 23. September 1874. 3. Jahrgang.

Die Führer der Nordpol-Expedition.

Ilustrowana gazeta „Wiener Extrablatt" z podobiznami dowódców wyprawy polarnej, 1874 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Prasa codzienna zmieniła wszystko. Czytelnicy chcieli czytać, a jeszcze ważniejsze było to, że wydawcy gazet chcieli zadbać o ich wierność. Najłatwiej uczynić to, umieszczając w gazecie cykl artykułów albo powieść w odcinkach. Ten drugi pomysł sprawdził się znakomicie, a jedną z pierwszy powieści, która napędzała sprzedaż gazet, byli „Trzej muszkieterowie" Aleksandra Dumasa. Podobny sukces osiągnęły „David Copperfield" Charlesa Dickensa z 1850 r. czy też „Wspomnienia z domu umarłych" Fiodora Dostojewskiego z 1860 r. Ta ostatnia powieść publikowana była w miesięczniku, co w pewien sposób pokazuje opóźnienie, z jakim idee zachodnioeuropejskie trafiały na wschód kontynentu.

W Polsce gazety codzienne i powieści stały się modne w latach 80. XIX w., gdy dzieci chłopów pańszczyźniany uwłaszczonych w powstaniu styczniowym nauczyły się czytać i interesować prasą. W 1884 r. pojawiło się „Ogniem i mieczem" Sienkiewicza, a w roku 1887 „Nad Niemnem" Orzeszkowej oraz „Lalka" Prusa. Dzisiejszy kanon literatury polskiej był niczym więcej, jak powieściami w odcinkach, publikowanymi dla uciechy czytelników gazet codziennych (Orzeszkowa jako dama publikowała w „Tygodniku Ilustrowanym").

Koniec XIX w. to jednocześnie początek prawdziwych dziejów polskich powieści. Były nowatorskie i natchnione, ale miały swoje wady wynikające ze sposobu publikacji. Mistrzostwo osiągnął – według niżej podpisanego – Stefan Żeromski, unikając wielu błędów swoich poprzedników. Dziś powieść to martwy gatunek, tak jak martwa jest prasa codzienna, która przeniosła się do Internetu. Najprawdopodobniej za sto lat „Trylogia" będzie zapomniana, a lekturą obowiązkową będą fragmenty social mediów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

Dom w Dżaninie wysadzony przez Brytyjczyków

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/PALESTINE REMEMBERED

Bliski Wschód / Wojna stuletnia – konflikt bez wyjścia

Tragedia wioski Al-Bassa

Piotr Zychowicz

Pierwsze powstanie palestyńscy Arabowie wywołali w roku 1936. Zostało ono brutalnie stłumione przez Brytyjczyków

O pancerzone samochody marki Rolls-Royce z rykiem silników wyłoniły się zza wzgórz. Ciężkie karabiny maszynowe umieszczone na pojazdach pluły ogniem. Pociski posypały się na gęste zabudowania arabskiej wioski. Zaskoczeni mieszkańcy rozbiegli się z krzykiem w poszukiwaniu schronienia.

eprasa.pl 1b6002f8cf

Partyzanci palestyńscy schwytani przez Brytyjczyków FOT. COMMONS WIKIMEDIA/KEDEM

Wioska była otoczona. Ucieczka była niemożliwa. Po 20 minutach morderczego ostrzału brytyjscy żołnierze wkroczyli między zabudowania. Zaczęli plądrować, podpalać i wysadzać w powietrze budynki. Napotkani cywile byli bici kijami i kolbami karabinów. Cztery osoby zostały zastrzelone.

Następnie zaczęła się łapanka. Brytyjczycy wyłapywali mężczyzn. Część z nich została uprowadzona do pobliskiej bazy wojskowej i poddana torturom. Kilku wychłostano z tak sadystyczną brutalnością, że „w powietrzu latały kawałki mięsa".

Około 50 nieszczęśników zostało zapakowanych przez Brytyjczyków do autobusu. Arabowie, którzy spanikowali i próbowali ucieczki, zostali zastrzeleni na miejscu. Następnie do wioski przybyli saperzy z Królewskiego Korpusu Inżynieryjnego. Żołnierze ci położyli na drodze minę.

„Kierowca autobusu został zmuszony do przejechania tą drogą – wspominał brytyjski policjant Harry Arrigonie – i najechania na minę zakopaną przez żołnierzy. Autobus został całkowicie zniszczony i pokiereszowane, okaleczone ciała rozsypały się na wszystkie strony. Wieśniacy zostali zmuszeni do wykopania dołu i bezceremonialnego wrzucenia do niego trupów".

Inny policjant, który przybył na miejsce – posterunkowy Rickie – zdążył zrobić makabryczne zdjęcia zmasakrowanych ciał.

Te szokujące wydarzenia rozegrały się 7 października 1938 r. w dużej arabskiej wiosce Al-Bassa w pobliżu Akry. Wiosce zamieszkałej w większości przez chrześcijan. W miejscowości znajdowały się dwa kościoły i chrześcijańska szkoła średnia.

Sprawcami masakry byli żołnierze z 11. Regimentu Huzarów i Królewskich Strzelców Ulsteru. Dzień wcześniej czterech ich kolegów zginęło na drodze w eksplozji miny pułapki. Brytyjczycy w odwecie postanowili spacyfikować najbliższą wioskę. Padło na Al-Bassę.

Opisana po latach przez brytyjskiego badacza prof. Matthew Hughesa zbrodnia wojenna nie była odosobnionym przypadkiem. Pacyfikowanie wiosek i mordowanie zakładników było standardową procedurą stosowaną przez brytyjską armię podczas arabskiego powstania w Palestynie w latach 1936–1939.

Profesor Hughes w swoich pracach opisuje wiele zbrodni wojennych dokonanych przez brytyjskie siły policyjne i wojskowe. Choćby akcję antypartyzancką przeprowadzoną w maju 1939 r. we wsi Halhul położonej przy drodze między Hebronem a Betlejem.

Wieś zaatakowana została przez szkocką jednostkę Regiment Czarnej Straży. Żołnierze utworzyli dwie „klatki". W jednej z nich zamknęli schwytanych mężczyzn pod gołym niebem bez wody i jedzenia. Drugą umieścili w cieniu i wsadzili do niej dużą ilość wody i jedzenia. Aby przejść ze „złej" do „dobrej" klatki, wystarczyło wyjawić informację, gdzie jest ukryta broń.

Problem w tym, że Bogu ducha winni arabscy wieśniacy nie mieli zielonego pojęcia, gdzie rebelianci ukryli broń. Efektem były wielogodzinne katusze w morderczych promieniach słońca. Zdesperowani ludzie pili własną urynę. Dziesięciu nieszczęśników zmarło, inni doznali straszliwych poparzeń.

„A jeszcze rok temu z czystym sumieniem deklarowałem, że brytyjska Armia nie robi takich rzeczy i wszystkie te straszne opowieści są całkowitą fabrykacją – pisał w dzienniku angielski lekarz Elliot Forster. – Brytyjczycy mogliby pewnie nauczyć Hitlera niejednego o prowadzeniu obozów koncentracyjnych".

Powstanie arabskie było wymierzone w brytyjskie władze mandatowe Palestyny i wspieranych przez nie syjonistów. Brytyjczycy w odpowiedzi na jego wybuch zastosowali zasadę „zero tolerancji" i utopili rebelię w morzu krwi. W ten sposób przetrącili kręgosłup palestyńskiego ruchu narodowego w przededniu rozstrzygającej walki o Ziemię Świętą, która rozegrała się w roku 1948.

Z kolei rozmaite żydowskie formacje paramilitarne walczące w latach 30. u boku Brytyjczyków (Policja Pomocnicza, Policja Osadnicza, samoobrona kibuców, Specjalne Oddziały Nocne) otrzymały od swoich protektorów lekcję, jak radzić sobie z oporem ze strony Arabów – dławić go przy pomocy najbrutalniejszych środków, stosując zasadę odpowiedzialności zbiorowej.

Izraelskie Siły Obronne, które powstały po ogłoszeniu niepodległości w 1948 r., stosują się do tej zasady do dzisiaj. W pierwszych dziesięcioleciach trzon izraelskiego wojska stanowili bowiem żołnierze służący wcześniej pod komendą Anglików. Na czele ze słynnym gen. Mosze Dajanem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b6002f8cf

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

MARIA WITTEK JUŻ JAKO NASTOLATKA ANGAŻOWAŁA SIĘ W DZIAŁALNOŚĆ PATRIOTYCZNĄ. DZIAŁAŁA W III POLSKIEJ DRUŻYNIE HARCERSKIEJ, A OD 1917 ROKU W POLSKIEJ ORGANIZACJI WOJSKOWEJ, GDZIE UKOŃCZYŁA KURS WYWIADOWCZY I SZKOŁĘ PODOFICERSKĄ. JEJ MARZENIEM BYŁY STUDIA I JAKO PIERWSZA KOBIETA DOSTAŁA SIĘ NA WYDZIAŁ MATEMATYKI UNIWERSYTETU W KIJOWIE. JEDNAK WKRÓTCE MUSIAŁA PRZERWAĆ NAUKĘ...

PRZEDOSTAŁA SIĘ DO POLSKI, GDZIE WSTĄPIŁA DO WOJSKA POLSKIEGO, PEŁNIĄC SŁUŻBĘ W WYWIADOWCZĄ W SZTABIE DOWÓDZTWA 6. ARMII. ZA UDZIAŁ W OBRONIE LWOWA ZOSTAŁA ODZNACZONA SREBRNYM KRZYŻEM ORDERU VIRTUTI MILITARI.

PO ZAKOŃCZENIU WOJNY POLSKO-BOLSZEWICKIEJ ANGAŻOWAŁA SIĘ W TWORZENIE SŁUŻBY WOJSKOWEJ KOBIET. NAJPIERW W OCHOTNICZEJ LEGII KOBIET, A OD 1922 ROKU KIERUJĄC WYDZIAŁEM SZKOLENIA W KOMITECIE SPOŁECZNYM PRZYSPOSOBIENIA KOBIET DO OBRONY KRAJU. SWOJĄ DZIAŁALNOŚĆ KONTYNUOWAŁA W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ JAKO KOMENDANTKA WOJSKOWEJ SŁUŻBY KOBIET KOMENDY GŁÓWNEJ ARMII KRAJOWEJ. WZIĘŁA CZYNNY UDZIAŁ W POWSTANIU WARSZAWSKIM, ZA CO ODZNACZONO JĄ PONOWNIE ORDEREM VIRTUTI MILITARI I AWANSOWANO DO STOPNIA PUŁKOWNIKA.

PO ZAKOŃCZENIU WOJNY PRACOWAŁA W PAŃSTWOWYM URZĘDZIE WYCHOWANIA FIZYCZNEGO I PRZYSPOSOBIENIA WOJSKOWEGO, A PO JEGO LIKWIDACJI KIEROWAŁA WYDZIAŁEM KOBIECYM NOWEJ STRUKTURY – POWSZECHNEJ ORGANIZACJI „SŁUŻBA POLSCE". JEDNAK WKRÓTCE...

RAZEM Z NIĄ ARESZTOWANO WIELE JEJ WSPÓŁPRACOWNIC Z CZASÓW WOJNY – ZARZUCANO IM PRZYNALEŻNOŚĆ DO ARMII KRAJOWEJ. PO KILKU MIESIĄCACH ZWOLNIONO JĄ Z ARESZTU, JEDNAK NIE MOGŁA WRÓCIĆ DO WCZEŚNIEJ WYKONYWANEJ PRACY. AŻ DO EMERYTURY PRACOWAŁA W KIOSKU RUCHU.

W 1970 ROKU ZAINICJOWAŁA POWSTANIE KOMISJI HISTORII KOBIET W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ, KTÓREJ ZADANIEM BYŁO STWORZENIE ARCHIWUM DOKUMENTUJĄCEGO HISTORIĘ WOJSKOWEJ SŁUŻBY KOBIET. ANGAŻOWAŁA SIĘ RÓWNIEŻ W DZIAŁALNOŚĆ SOLIDARNOŚCI. W UZNANIU JEJ WSZYSTKICH ZASŁUG, W 1991 ROKU ZOSTAŁA MIANOWANA NA STOPIEŃ GENERAŁA BRYGADY, JAKO PIERWSZA KOBIETA W HISTORII. ZMARŁA 19 KWIETNIA 1997 ROKU.

Z INICJATYWY GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ, W 2007 ROKU NA DZIEDZIŃCU MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO W WARSZAWIE ODSŁONIĘTO POMNIK MARII WITTEK.

eprasa.pl 1b6002f8cf

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA WOJCIECH ROSZKOWSKI: „KOMUNIZM ŚWIATOWY"

Książka ta dowodzi, jak szybko może rozprzestrzeniać się zło, jeśli nie napotka od razu zdecydowanego sprzeciwu. Komunizm nie zaczął się od łagrów, mordów i zniewolenia narodów. Zaczął się od teorii – zupełnie utopijnej, ale pozornie niezwykle zatroskanej o dobro całej ludzkości. Wielu dało się nabrać; jak się to skończyło, to Polacy wiedzą najlepiej. Posługujący się ideą marksistowsko - leninowską bolszewicy stworzyli przyczółki do swej imperialnej ekspansji dosłownie na całym świecie. Idee te zatruły niejeden umysł, także na Zachodzie, i zachwiały systemami politycznymi. Dzięki wybitnemu znawcy tematu i znakomitemu pisarzowi prof. Wojciechowi Roszkowskiemu poznajemy rozwój komunizmu w skali całego świata. Autor przestrzega:

„Oba najbardziej znane dwudziestowieczne totalitaryzmy – nazizm i komunizm – nie miały precedensu w historii. Obrońcy komunizmu argumentują, że ich sprawa była słuszna, a straszliwe środki, miliony pomordowanych, często ukryte przed światem, usprawiedliwiał cel. Tymczasem cel był utopijny, a podejmowane środki – przestępcze i nie przybliżające celu. Trafnie przewidział to już w XIX wieku markiz Astolphe de Custine, pisząc, iż despotyzm nigdy nie jest tak straszliwy jak wtedy, gdy obiecuje dobro. Wtedy najgorsze postępki są usprawiedliwiane przez dobre intencje. Granice zła przestają wtedy istnieć. Oczywista zbrodnia tryumfuje krótko, fałszywe wartości na zawsze prowadzą ducha ludzkiego na manowce. Na nieszczęście słowa te są prawdziwe również dziś. Odwracanie się od rzeczywistości jest reakcją patologiczną. Praktykowane przez przywódców politycznych i rozpowszechnione w szerokich kręgach społeczeństwa doprowadzi do nowych postaci totalitaryzmu".

Żywo napisane i klarownie podzielone dzieło prof. W. Roszkowskiego przyciąga uwagę także bogatą warstwą graficzną; 140 ilustracji dodatkowo dokumentuje tę historię światowego komunizmu. Książka-ostrzeżenie. Podstawowa lektura dla tych, którzy chcą wiedzieć, w jakim kierunku może pójść świat.

157 zł

oszczędność 87 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 1b6002f8cf

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

eprasa.pl 1b6002f8cf